



Piotr Lisiewicz
DAJ NAM TO SZCZĘŚCIE,
KTÓRYM ŻYJE ROBAK



Bohdan Urbankowski
LENIN
ODCZAROWANY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 9% VAT)
www.nowe-panstwo.pl
nakład 16 320
cena z 211 000
#135 05/2017



WIWISEKCJA

politycznej hołoty III RP

fot. Stanisław Rogalski/PAP

Przekrojowa wiwisekcja politycznej hołoty III RP / 4

fot. Michał Półka/CC

Co zostało z carpe diem / 14

ilustracja Sylwia Caban

Daj nam to szczęście, którym żyje robak / 22

fot. mat pass

Powtórka ze „Smoleńska” / 56

fot. AP/Newscom

Piekło dla chrześcijan / 66

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Wielgucki „Matka Kurka”

Przekrojowa wiwisekcja politycznej hołoty III RP 4

Dawid Wildstein

I kto tu jest chamelem? Rzecz o polskim faszystym 8

Wojciech Mucha

Drugi obieg gorszego sortu 10

Ryszard Czarnecki

Smoleńsk i *déjà vu* 13

IDEE

Małgorzata Matuszak

Co zostało z *carpe diem* 14

Tomasz Terlikowski

Pentekostalizacja i jej wrogowie 18

HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Daj nam to szczęście, którym żyje robak 22

Dariusz Jarosiński

Pozorny triumf postkomuny 28

Magdalena Złotnicka

Sasza, czyli przypadki pewnego profesora 34

Bohdan Urbankowski

Lenin odczarowany 40

Agnieszka Kowalczyk

Głos z lochów Szlisselburga 46

Zygmunt Nowakowski

Dziwy propagandy 52

KULTURA

Krzysztof Karnkowski

Powtórka ze „Smoleńska” 56

Jakub Kozłowski

Chirurgiczne cięcie legendy hard rocka 59

Sylvia Krasnodębska Polskie Radio

Jazz to chaos, tylko uporządkowany 60

Krzysztof Karnkowski

Rok Pietrzaka 62

ŚWIAT

Hanna Shen

Piekło dla chrześcijan 66

Olga Doleśniak-Harczuk

Niemiecki bastion Erdogana 70

Antoni Rybczyński

Trump zaskoczył Rosję 74

Tomasz Terlikowski

Islamistyczni mordercy z Afryki 79

Stefan Czernecki

Pokuta i modlitwa, czyli życie w epoce tajemnic 82

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji 92

tłum. Antoni Rybczyński

Estoński kontrywiad o Rosji 94

Stale rubryki



Katarzyna Gójska-Hejke

Polityka kłamstwa smoleńskiego

NA POZĄTEK

3



Piotr Hofman

Budownictwo jako koło zamachowe gospodarki

SŁOWEM O GOSPODARCE

21



Małgorzata Matuszak

Czym jest... paideia

KATECHIZM INTELIGENTA

55



Ryszard Czarnecki

List z Turkmenistanu

CZARNECKO TO WIDZĘ

73



Olga Doleśniak-Harczuk

Bankruci na życzenie

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Marcin Wolski

Zdżyczenie obyczajów

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Siła Polonii

OSTATNIE SŁOWO

99

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrów 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLITYKA, KULTURA, HISTORIA

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czernecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRZEPISACH

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRZEPISÓW

47124010531111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Polityka kłamstwa smoleńskiego

Dzisiaj bardziej rozproszone i anonimowe grupy dziczy napadające w połowie 2010 r. na Obrońców Krzyża Pamięci zostały zastąpione lepiej zorganizowaną strukturą tzw. Obywateli RP. Ale cel pozostał ten sam, tak jak i medialne wsparcie, które dwoi się i troi, by plucie na człowieka, który odwiedza grób swojego brata, przedstawić jako oryginalną akcję społeczną.

Pogarda jest nieodłącznym elementem polityki kłamstwa smoleńskiego. Tak było już 10 kwietnia i jest do dziś. Ma za zadanie zohydzać ofiary, poniżać upominających się o pamięć o nich i o prawdę, odwracać uwagę opinii publicznej od niespójności moskiewskiej wersji przyczyn śmierci polskiej delegacji. Po tragedii w pobliżu lotniska Siewiernyj niemal cała aktywność ówczesnej głównej partii rządzącej była nakierowana na umacnianie kłamstwa smoleńskiego. Na jego utrwalenie pracowały zatem większość parlamentarna, instytucje rządowe, gros mediów i celebrytów. I potrzebna była ekstrema, która przekraczając wszelkie obowiązujące w polskiej tradycji granice – przede wszystkim szacunku dla zmarłych, dla wdów, sierot – będzie torowała władzy drogę do ostrego reagowania na wszelkie żądania uczciwości w sprawie Smoleńska. Na Krakowskim Przedmieściu późną wiosną i latem musiały szaleć grupy serwujące pokazy niebywałego wręcz zdziwienia – inspirowane przez służby, bez wątpienia cieszące się otwartą przychylnością władzy i sprzyjających jej tzw. autorytetów – by politycy Platformy w imieniu państwa mogli, w obronie kłamstwa smoleńskiego, pogardzać ludźmi domagającymi się prawdy, a niekiedy ich zastraszać. Właśnie w tym kontekście trzeba patrzeć na wszystko to, co

działo się przed Pałacem Prezydenckim w 2010 r. Krzyż z puszek po piwie, obsikiwanie modlących się kobiet, wszelka wulgarność wobec ofiar, szczególnie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, były narzędziem utrzymania władzy przez Donalda Tuska. Dzisiaj bardziej rozproszone i anonimowe grupy dziczy napadające w połowie 2010 r. na Obrońców Krzyża Pamięci zostały zastąpione lepiej zorganizowaną strukturą tzw. Obywateli RP. Ale cel pozostał ten sam, tak jak i medialne wsparcie, które dwoi się i troi, by plucie na człowieka, który odwiedza grób swojego brata, przedstawić jako oryginalną akcję społeczną. Ludzie kłamstwa smoleńskiego, tak jak i ono samo, są już niewolnikami pogardy – ona jest ich jedyną szansą na utrzymanie się na powierzchni: muszą zohydzać, bo nie mają argumentów. Pozostało im jedynie zagłuszenie wszelkich prawdziwych informacji o Smoleńsku. Muszą rozkręcać wokół tej sprawy piekło, które odstrasza znaczną część Polaków od racjonalnego przyjrzenia się ujawnionym faktom. Dokładnie z tego powodu nigdy nie dojdzie do rzeczowej dyskusji pomiędzy członkami komisji Millera a ekspertami z podkomisji powołanej przez MON. A pogarda skończy się wówczas, gdy politycy i dziennikarze uczepieni kłamstwa smoleńskiego znikną z życia publicznego. ■

Piotr Wielgucki
„Matka Kurka”

Przekrojowa wiwisekcja politycznej hołoty III RP



**Polityczna hołota
zmieniła swoją strukturę,
straciła zdolność do
budowania społecznych
emocji i co więcej seria
skandali z udziałem
wodzów rewolucji
kompromituje ich
z każdym dniem coraz
bardziej.**

Pryznając, że biorę się za tę robotę z obrzydzeniem i chętnie bym komuś zapłacił, aby się za mnie ubrał analizą marginesu społecznego, w dodatku potraktowaną przekrojowo. Trochę żartuję, ale nie do końca, naprawdę nie widzę nic przyjemnego w pisaniu o tym, jak funkcjonuje hołota i do czego jest wykorzystywana. Istnieje jednak bardzo ważny powód, który każe z tematem się zmierzyć, w przeciwnym razie obecność hołoty stanie się czymś akceptowalnym, do czego człowiek cywilizowany dopuścić nie ma prawa.

► Światowcy w garniturach

Patrząc na polską rzeczywistość ukształtowaną po 1989 roku, jedno musimy zauważyć i oddać pewną sprawiedliwość. Mniej więcej do roku 2005 siły III RP nie stosowały takich narzędzi, jak uliczne prowokacje i właściwie na scenie politycznej nie było partii, którą cechowało polityczne chuligaństwo. Za pewien wyjątek wypada uznać Samoobronę, ale ten przykład jest o tyle nieadekwatny, że cokolwiek by o Lepperze i jego ekipie mówić, to jednak nigdy nie byli akceptowani przez salony, wręcz przeciwnie. Postkomuniści i tak zwani liberałowie cały czas stosowali jedną technikę, pokazywali się w garniturach i mieli okragłe słowa bez używania „wyrazów”. W ten sposób stali się wzorcowymi budowniczymi naszej młodej demokracji. Pełna kultura „ą”, „ę”, do której się zmusili po latach „wicie, rozumiecie”, podkreślała światowość niedawnych sekretarzy. Kto miał w tamtym czasie więcej niż 15 lat, ten doskonale pamięta, że za ideał polityka dyplomaty uchodziły takie postaci, jak: Józef Oleksy, Andrzej Olechowski, że o droгим profesorze Geremku nie wspomnę. Oni i im podobni we własnym mniemaniu uchodzili za elitę, w gardle stawał im pospolity schabowy z kapustą, zachwycali się zachodnim stylem życia i śmiali z tureckich sweterków, które parę lat wcześniej nosił Adam Michnik. Na punkcie światowości miały elity bzika i potrafiły opowiadać niestworzone głupoty, które prawdziwym światowcom nigdy nie przyszłyby do głowy. Zanim Jolka Kwaśniewska popisywała się w TVN, przed żonami dawnych prezesów „Społem”, wiedzą w zakresie piłowania bezy, Andrzej Olechowski pokazywał w TVP skarpetki naciągnięte pod kolaną i triumfalnie oznajmiał, że to taki męski szyk dyplomatyczny. Po latach podobne występy bezlitośnie ośmieszają zakompleksionych światowców z PRL-u, a nie Polaków, którzy mieli usłyszeć, jacy są prowincjonalni ze swoimi przyzwyczajeniami i tradycjami. Pamiętać jednak trzeba, że na starcie „przemiany ustrojowej” takie i jeszcze bardziej żalosne prelekcje robiły większe wrażenie niż kawa rozpuszczalna wy-



foto: Stanisław Rzepczak/PAP

pierająca kawę „po turecku”. Podział był jasny, polityczna elita popisywała się zdjęciami z europejskich gabinetów i z pogardą patrzyła na demonstrujący tłum domagający się podwyżek pensji.

► Chlew na ulicy

Wszystko nagle się zmieniło, gdy w 2005 roku PiS przejęło władzę. Wówczas pierwszy raz światło polityczne elity wyszły na ulicę i od razu zrobiły chlew. W mediach Tusk bez skrępowania naśladował Leppera i krzyczał o obywatelskim nieposłuszeństwie, by zaraz potem zorganizować blokadę „Błękitny marsz”. Z hotelowego balkonu przemawiał Niesiołowski, Komorowski i w końcu sam Donald Tusk, witając tłum, ogłosił krótki manifest: „Żeby cała Polska zobaczyła, jak wygląda Polska!”. Wieńcząc

teczny nestor, który na zawołanie zaczął krzyczeć o „bydle” i „dyplomatkach”.

► Formuła się wypaliła

Wszystkie gwałtowne reakcje i zmianę politycznej strategii wywołał jeden czynnik – panika po utracie monopolu na władzę. Wprawdzie utrata monopolu nastąpiła już na samym początku, bo w 1991 r., gdy na chwilę premierem został Jan Olszewski, ale wówczas komuna z kapusiami SB była tak scementowana, że rozwiązała problem natychmiast i bez wyprowadzania ludzi na ulicę. W 2007 roku odebranie władzy PiS nie wystarczyło, prezydentura Lecha Kaczyńskiego ciągle powodowała niepohamowaną wściekłość, ponieważ nie dało się jej znieść intrygą „Nocnej Zmiany”. Narastający poziom agresji dopro-

NARASTAJĄCY POZIOM AGRESJI DOPROWADZIŁ DO PRZEKROCZENIA WSZELKICH BARIER, A TRAGICZNY SMOLEŃSKI FINAL PRZEMYSŁU POGARDY NA ZAWSZE POZOSTANIE NARODOWĄ TRAUMĄ.

hołota, natchniona słowami wodza, obwiązała sznurkiem portret śp. Lecha Kaczyńskiego w taki sposób, aby symbolizował stryck. Mijając Pałac Prezydencki, dotąd kulturalni budowniczywie młodej demokracji, krzyczeli „Spieprzaj dziadu” i tak im się ta zabawa spodobała, że nie wiedzieli, kiedy przestać. Przypominam tę historię wyłącznie dlatego, że niemal wszyscy analitycy wskazują Palikota jako pierwszego przywódcę marginesu społecznego, który nadał fatalny ton debacie publicznej. Nie jest to prawda, pierwszym był Donald Tusk, zresztą to Tusk wymyślił Palikota i później rzeczywiście oddał mu brudną robotę. Palikot uzupełnił szeregi „elity”, zaciągając artystów, dziennikarzy oraz ludzi nauki. Wszyscy razem fizycznie lub werbalnie zaczęli sikać do zniczów po „zimnym Lechu”, co słusznie nazwano przemysłem pogardy. Puścili wszelkie hamulce i całkowicie zaniknął model polityka wypracowany przez Józefa Oleksego. Media codziennie podawały coraz ostrzejsze, prymitywne, nierzadko kłoczne wyczyny i wypowiedzi celebrytów. Brylowały dyżurne błazny, w gatunku Wojewódzkiego, Peszek czy młodego Stuhra, ale nie brakowało wśród nich takich ludzi, jak Władysław Bartoszewski, niegdyś sta-

wadził do przekroczenia wszelkich barier, a tragiczny smoleński finał przemysłu pogardy na zawsze pozostanie narodową traumą. Obawiam się również, że ostatnia rozlutowana trumna nie jest końcem symbolicznej i rzeczywistej przemocy firmowanej przez polityczną hołotę III RP. W 2015 roku nastąpiło przesilenie, symbolem społecznego znużenia złymi emocjami stało się wyborcze i medialne odstrzelanie Palikota. Bezskuteczne wysiłki Wojewódzkiego i pozostałych artystów, którzy usiłowali z Komorowskiego zrobić idola młodzieży i przywódcę inteligencji, potwierdziły, że formuła się wypaliła. Polacy powiedzieli dość, nie tyle przemysłowi pogardy, ile nudzie, jakkolwiek brutalnie to brzmi. Wyborcy znudzili się poniewieraniem moherowych babć, sztydzeniem z Kaczyńskiego, przestali się śmiać z kota, konta, prawa jazdy. Naturalnie sama nuda to za mało i bez afery podsłuchowej połączonej z innymi skandalami, PiS nie odniosłoby podwójnego zwycięstwa.

► Beznadziejny kamuflaż

Druga długotrwała utrata władzy wywołała świeżą wściekłość politycznej hołoty III RP. Kaczyński

w jednym z wywiadów mówił, że mamy do czynienia ze znacznie większą falą agresji i upadku obyczajów, niż to miało miejsce po 2005 roku. Prawda, ale to na szczęście zupełnie inny rodzaj agresji, nacechowanej chaosem i brakiem pomysłu, przez co używanie politycznego marginesu przestało być skuteczne! Główne przyczyny tego stanu rzeczy to brak społecznej emocji i beznadziejny kamuflaż. Hadacz wraz z Joanną od krzyża bardzo długo odgrywali „moherów”. Sam się nie dałem nabrać, ale nie sposób porównać tej prowokacji na niezłym esbeckim poziomie z dzisiejszymi topornymi akcjami. Po zdemaskowaniu Hadacza ludzie zaczęli rozumieć, jak to działa, z kolei mocodawcy i prowokatorzy pod wpływem frustracji wywołanej sromotną porażką, poszli na taką łatwiznę, że prawie każda ofensywa przeradzała się w farsę. Powołanie KOD z beznadziejnym trybu-

czyńskiemu drogi do grobu brata jest po ludzku nie-dopuszczalne i politycznie zabójcze.

► Słoma z butów...

Zmieniła się jeszcze jedna rzecz. Pierwszy raz od czasów pochodów majowych, na których aktorzy i dziennikarze machali balonikami przed trybuną towarzysza Gierka, „elity” artystyczne przeprosiły się z ulicą. Na barykadach walki o demokrację nie znajdujemy rolników, górników czy pielęgniarek, za tłum robią Agnieszka Holland, Tomasz Lis, Krystyna Janda, Marek Kondrat, Daniel Olbrychski. Uliczne demonstracje zasilają też zdemoralizowani sędziowie, adwokaci, prezesi poważnych instytucji. Widać zatem że sztucznie generowane emocje nie wywołują gniewu ludu, przynajmniej na miarę kryterium ulicznego, ale

ROZBUDOWANYCH WYKŁADNI PRAWNYCH PRZECIĘTNY ZJADACZ CHLEBA NIE TRAKTUJE EMOCJONALNIE, PONIEWAŻ NIC Z TEGO NIE ROZUMIE, A ZAKLINANIE KOŃCA DEMOKRACJI NIE MA ŻADNEGO PRZEŁOŻENIA NA RZECZYWISTE OGRANICZENIA PRAW I WOLNOŚCI OBYWATELSKICH.

nem ludowym Mateuszem Kijowskim to kompletna kłapa. Towarzystwo skupione wokół Kijowskiego jest równie żałosne i czytelne, z tej przyczyny trudno takim ludziom, jak pułkownik Mazguła udawać „mohera”. Identyczne problemy ma cała grupa kawiorowych lewaków, którzy chcą uchodzić za proletariata. Gdy na asfalcie położył się i rannego udawał „happener” Wojciech Diduszko, prywatnie mąż feministki z „Krytyki Politycznej”, Internet błyskawicznie to wychwycił i zaczął pękać ze śmiechu. Marni przywódcy i prowokatorzy produkują marne pomysły. Próba odzyskania władzy na ulicy, poprzez obronę Trybunału Konstytucyjnego, musiała się skończyć porażką. Rozbudowanych wykładni prawnych przeciętny zjadacz chleba nie traktuje emocjonalnie, ponieważ nic z tego nie rozumie, a zaklinanie końca demokracji nie ma żadnego przełożenia na rzeczywiste ograniczenia praw i wolności obywatelskich. Na domiar wszystkiego polityczna hołota zaczęła naruszać tabu i na tym przegrywa, co szczególnie widać przed Wawelem w wykonaniu „Obywateli RP”. Kiedyś takie zwyrodnienie było skuteczne i dlatego popierane albo przemilczane przez „elity”. Obecnie nawet Kolenda-Zaleska alarmuje, że blokowanie Jarosławowi Ka-

gromadzą na ulicach tych, którzy do niedawna „awanturnictwem” się brzydzili i nazywali je „podpalaniem Polski”. W stu procentach sprawdzają się stare prawdy ludowe, na czele z tą o wychodzeniu słomy z butów. Rolę Samoobrony, Hadacza i Palikota przejęły „wyższe sfery” III RP, tracące wpływy i pieniądze. Światowcy przekształcili się w hołotę, co zresztą nie jest żadnym zaskoczeniem, jedynie zmaterializowaniem tego, co zawsze sobą reprezentowali. O ile w latach 2005–2015 polityczna hołota była niezwykle niebezpiecznym i skutecznym narzędziem politycznym, o tyle teraz można mówić o jej pożytecznej roli. Dopóki Polacy będą widzieć kładącego się przed samochodem błazna, który po chwili się otrzępuje i wstaje, dopóki będą widzieć Lisa i Jandę podjeżdżających na wiece SUV-ami za 300 tys. złotych, nie ma szans na powrót do władzy PO w jakimkolwiek układzie koalicyjnym. Polityczna hołota zmieniła swoją strukturę, straciła zdolność do budowania społecznych emocji i co więcej seria skandali z udziałem wodzów rewolucji kompromituje ich z każdym dniem coraz bardziej. Jeśli tempo autokompromitacji się utrzyma, trzeba będzie znów się ubrać, ale już nie wiwisekcją, tylko sekcją zwłok politycznego marginesu III RP. ■



Dawid Wildstein

I kto tu jest chamem? Rzecz o polskim faszyzmie

Po 10 kwietnia 2010 r. po raz pierwszy w dziejach III RP Polskę, w jakiejś mierze, udało się wyprowadzić z Europy w kierunku ponurych standardów azjatyckich.

Przez ostatnie lata jednym z najważniejszych terminów w polskiej debacie politycznej i medialnej okazał się tzw. polski cham. Bezpośrednim wydarzeniem, które wspomnianą debatę zogniskowało, było oczywiście wprowadzenie Programu „Rodzina 500 plus”. To, co ujawniła ta dyskusja, było po prostu przerażające. Jeśli w ostatnich latach w polskiej polityce, przy pełnej akceptacji znacznej części tzw. autorytetów, salonów, „Europejczyków” – tu mogą sobie czytelnicy wstawić dowolne określenie – pojawiła się narracja rzeczywiście faszystowska bądź do faszyzmu podobna – to przy tej okazji.

► „Motłoch” kontra „elity”

Celebryci i politycy, i „intelektualiści”, nawijający o brudnym, defekującym, wiecznie pijanym, obleśnym plebsie, brzydalach i tuściochach bez mózgu, co paszytują na społeczeństwie i na mądrych, i lepszych, a co najgorsze, żrą paskudne rzeczy i robią kupy na plażach – idealnie wchodzili w rolę „nadludzi”, którym gorsze wersje człowieka przeszkadzają, ośmielając się dzielić z nimi jedną przestrzeń życiową. Dynamika tego dyskursu, tak skwapliwie podchwyconego przez media mętnego nurtu, nie bawiła się w żadne eufemizmy. Eksponowano biologiczną obrzydliwość zwykłego człowieka, rodaka, plawiąc się w opowieściach o tym, jak on jest fizycznie i psychicznie gorszy. Opisywano, jak ten motłoch i plebs przekazuje swój brud, patologie, alkoholizm swoim dzieciom, przez pokolenia, ledwo co powstrzymując się od stwierdzenia, że to w genach, że to w krwi (bo tak ostro jednak nie wypada). Następnie ten bełkot, te intelektualne wymioty podnoszono do rangi „postępowego i europejskiego myślenia”. Opowieść ta musiała mieć jednak określone „słupy przekaznikowe”. Była więc podpierana wypowiedziami celebrytkami, które, takie śliczne i czyste, są przeciwwagą dla motłochu. Niektóre w przypływie podniecenia opowiadały nawet, że przez ten motłoch czuły się jak ży-

dowskie dziecko podczas Holocaustu. Znane piosenkarki, w stanie ewidentnie wskazującym, na wizji opowiadały, jak to strasznie jest na plaży, gdzie jest dużo Polaków, i one się czują jak w średniowieczu. Inne autorytety tłumaczyły, czym są te niedostępne wyżyny człowieczeństwa, na które motłoch nigdy się nie wespnie. Tak więc profesor Król zajmował się opiewaniem prawdziwej europejskości, objawiającej się w tym, że wiemy, gdzie należy jeść ostrygi i pić wino, w Bretanii i Toskanii przypomnę, jakby ktoś chciał być prawdziwym Europejczykiem.

► Niczym azjatyckie hordy

Nie jest trudno określić źródła tej narracji. Tego typu pogardę zaczęto eksponować po 10 kwietnia 2010 r. Wtedy po raz pierwszy w dziejach III RP Polskę, w jakiejś mierze, udało się wyprowadzić z Europy w kierunku ponurych standardów azjatyckich. Uznano, że ci, którzy nie wierzą Putinowi, to „oszołomy”, bo to człowiek „godny zaufania” i „prawdziwy demokrat”. Pokrzykiwano, że mamy „nowe rodzanie w stosunkach z Rosją”. Kpiono z tych, którzy chcieli międzynarodowej komisji – czy po prostu walczyli o to, żeby rodziny ofiar były traktowane z godnością. Wyzywano takich ludzi od bydlaków i oszołomów. Zachwycono się metodami działania służb rosyjskich. Zamiana zwłok ofiar? Nic takiego. Zaszywanie rękawiczek w twarzy Anny Walentynowicz? To „metoda identyfikacji”. Walające się szczątki ludzkie po całym miejscu katastrofy jeszcze tygodnie po tragedii? To „nic takiego”. Tak samo jak wrzucanie petów do worków ze zwłokami. Żartowano z cierpienia bliskich ofiar. Powtarzano największe brednie i powielano chamstwo rosyjskiej propagandy – o pijanych pilotach itd. Gdy okazało się, że Rosjanie niszczą dowody i fałszują sekcje zwłok – „oj tam, oj tam, kto by się przejmował”. Palikot i jego pomagierzy (w tym cała banda pseudoautorytetów itd.) zapraszali na „krwawą Mary” czy „kaczkę po smoleńsku”. Bara-

chło, jakie zgromadził, wrzeszczało: „jeszcze jeden, jeszcze jeden”; „zimny Lech”, „mohery na stos”. Pseudo-dziennikarze, tacy jak błaznowie Wojewódzki z Figurskim z ich piosenką „po trupach do celu”, stawali się nowymi autorytetami. Powtarzano ruskie wrzutki o kłótni na lotnisku, o pijanym Blasiku... Wymieniać można w nieskończoność. Państwo to pamiętają, ale zawsze warto przypomnieć.

Choć trochę lat minęło, sytuacja dziś jest w znaczącej mierze analogiczna. Pałeczkę po Palikocie przejęli „Obywatele RP” i chociaż Platforma usiłuje nieudolnie się od nich odciąć, to gdy przychodzi co do czego, nie ma problemów, by wysłać swoją młodzieżówkę na akcje organizowane przez tę grupę. Tak zwane liberalne elity nie zmieniły się w żaden sposób. Gdy tylko zagląda im w oczy widmo utraty monopolu na władzę, tracą wszelkie hamulce. I to nawet wśród, zdawałoby się, tej bardziej „cywilizowanej” części tychże elit. Tak jak kiedyś Magdalena Środzie, Agacie Bielik-Robson i reszcie profesorów bądź filozofów nie przeszkadzało stanie obok Palikota i jego ludzi (a przypomnijmy, zbierał on najgorszą hołotę przestępców i postkomunistycznych złodziei umoczonych w najczarniejsze karty PRL), tak dziś nie przeszkadza występowanie razem z członkami tzw. Komitetu Obrony Demokracji – nawet jeśli oskarżani są o przestępstwa. I nie chodzi tu tylko, jak w wypadku Kijowskiego, o niepłacenie alimentów bądź znaczne nieprawidłowości finansowe w rozliczeniach KOD. Niedawno przecież okazało się, że szef kapeli KOD jest oskarżony o... handel kobietami! Jak widać, tym salonom, które przecież same epatują swoją to niby „lewicową wrażliwością”, nie przeszkadza kupczenie żywym towarem czy okradanie własnych dzieci bądź organizacji. Ta hipokryzja jest zresztą stałą cechą naszych „europejskich” elit. Sikorski, pierwszy do oskarżania innych o antysemityzm, gdy chce uderzyć w PiS, nie hamuje się przed tekstami w stylu: „Jak kończą się pieniądze to, jak zwykle, do Żyda...”. Zresztą naszym niby to wojującym z antysemityzmem autorytetom nigdy nie przeszkadzały jawnie antyżydowskie działania Palikota czy Tomasza Lisa. Kolejny kamyczek do kamieniolołu hipokryzji, jaka cechuje te środowiska. Podsumowując: mamy tu prawdziwy ogród „zalet” – kpiny ze śmierci, faszystowska pogarda dla innego człowieka, próba biologicznego zdeprecjonowania go, upokorzenia, obrzydzenia go nawet w wymiarze fizycznym. I to są prawdziwe chami dla dzisiejszej Polski. Tacy ludzie udają, że stoją za wartościami takimi jak tolerancja? Przypomina mi to fragment z Platona, gdy opisuje on miasto, w którym osły i świnię chodzą po ulicach, jakby były wielkimi damami. Mogę nie być wielkim fanem tego stereotypowego Janusza, w sandałach ze skarpetkami, piwnym brzuszkiem i wąsem, piwkiem w łapie, rozkładającego grilla

na plaży przy dźwiękach disco polo. Jestem jednak pewny, że cechuje go większa wrażliwość na innego człowieka niż nasze „liberalne” elity.

► Unijny wilczur i warczące pieski

Matka Kurka w swoim tekście, drukowanym w tym numerze, słusznie zauważa, że nasze pseudoelity – od momentu pierwszego zwycięstwa PiS-u, dokonały radykalnego przeobrażenia. Z grupki egzaltowanych, groteskowych snobów, wciąż plawiących się w swojej europejskości, z faktu, że zapraszają ich jako gości drugiej kategorii na salony Berlina czy Paryża, zamienili się w, cytując Matkę Kurkę, „radykalną hołotę”. Niesamowicie agresywną w wymiarze języka, stosującą przemoc i prowokację, przekraczającą kolejne, cywilizacyjne granice. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że to, co się dzisiaj dzieje w Polsce, jest ściśle związane z przemianami, jakie możemy obserwować w całym establishmentie unijnym. Oczywiście, różnice, nazwijmy je „estetyczne”, są dość wyraźne. Jednak na Zachodzie standardy są inne i o ile możemy obejrzeć pijanego Junckera przed papieżem, to raczej nie niż się on do werbalnej kloaki charakteryzującej jego odpowiedników w Polsce. Jednak wzrost agresji i radykalizmu eurokratów europejskich staje się wprost proporcjonalny do problemów, które wygenerowali w samej Unii. A ich wtyki w Polsce reagują na tę zmianę trochę jak małe warczące pieski, które widząc kierunek wskazywany przez wilczurą, pozwalają sobie na coraz intensywniejsze harce. W ten sposób to, co się dzieje w Polsce, należy traktować jako szerszy element przemian w Unii. Przemian zainicjowanych butą eurokratów, które mogą przynieść nam bardzo groźne konsekwencje.

Dotychczas byłem święcie przekonany, że postacie takie jak chociażby Le Pen czy inni politycy reprezentujący tego typu prorosyjski, antynatowski populizm przybrany w szatki prawicowości, to pożyteczni idioci nie tylko Moskwy, lecz także establishmentu eurokratów pokroju Junckera. Elity Unii używały ich, żeby kompromitować prawicę, żeby sukcesywnie implementować swoje idee i stojące za nimi interesy, strasząc wyborców i polityków tym „czarnym ludem”, w końcu – wrzucając sensowną krytykę i projekty reformy UE do worka populizmu. Ostatnie wydarzenia każą zrewidować ten pogląd. Jeśli we Francji antyunijni, antynatowscy, zachwycający się Putinem politycy są w stanie zdobyć ponad 40 proc. głosów wyborców (pamiętajmy, że jeśli chodzi o geopolitykę, przedstawiciel skrajnej lewicy francuskiej, Mélenchon, jest bardzo podobny do Le Pen, zdobył prawie 20 proc.), to wszystko wskazuje na to, że teraz Juncker i jego banda stali się pożytecznymi idiotami prorosyjskiego populizmu, będącego realnym zagrożeniem zarówno dla UE, jak i dla Polski. A jego polscy pomagierzy tym samym stają się naszą wersją pijanych ludzików. ■



fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

Wojciech Mucha



DRUGI OBIEG GORSZEGO SORTU

Dzisiejsza opozycja nie ma nawet co marzyć o powtórzeniu sukcesu, jakim był potężny ruch społeczny, który powstał w opozycji do rządów Platformy Obywatelskiej. I nie tylko dlatego, że głównym katalizatorem tego ruchu był odruch po katastrofie smoleńskiej. Także dlatego, że brak jest po „drugiej stronie” zdolności intelektualnych i mobilizacyjno-organizacyjnych.

Był 15 marca 2011 r. W jednej z krakowskich piwnic, jeszcze jako student przysłuchiwałem się zorganizowanej w ramach „Klubu Wtorkowego” dyskusji. W zadymionej i wypełnionej po brzegi sali odbyła się debata pod roboczym tytułem „co robić”. Wzięli w niej udział działacze społeczni, byli politycy samorządowi i biznesmeni, a także dziesiątki zainteresowanych. Nie było wśród nas nikogo z pierwszych stron gazet.

„Nasze spotkanie to próba zastanowienia się, co konkretnie możemy robić w tej rzeczywistości. Zastanowienie się nad pomysłami działalności obywatelskiej prowadzonej niezależnie od władzy i polityków. Chodzi o pomysły na działania obywatelskie wypełniające braki w życiu społecznym i kulturalnym. Braki w edukacji i pamięci narodowej” – mówił wówczas Krzysztof Budziakowski, otwierając wielogodzinną dyskusję.

► Wyjście z Matrixu

W latach 2010–2015 jak Polska długa i szeroka podobnych dyskusji po piwnicach, kawiarniach i w salkach katechetycznych odbyły się setki, jeśli nie tysiące. Kluby „Gazety Polskiej”, inicjatywy takie jak wspomniany „Klub Wtorkowy”, Klub Ronina, koła Radia Maryja – wszędzie ludzie wymieniali doświadczenia, kwitł ferment intelektualny. Na spotkania przybywali pisarze, historycy, dziennikarze, politycy, działacze społeczni – wszyscy ci, którzy z powodu niepisanego zakazu nie pojawiali się w zabetonowanym przekazie „mediów głównego nurtu”.

Ale myli się ten, kto pomyśli, że spotkania owe polegały na jednostronnym wysłuchiwanie elaboratów przygotowywanych przez „gadające głowy”. Jako wychowany na telewizyjno-medialnej papce młody leming byłem zdumiony, odkrywając piosenki Andrzeja Kołakowskiego czy dyskutując z historykami IPN, przedstawianymi przez „Gazetę Wyborczą” jako „policjanci pamięci”. To był realny „drugi obieg”. Media (poza „Gazetą Polską” i raczkującym „Do Rzeczy”) ani myślały zniżyć się do poziomu naszych piwnic. A zaczęły bużować.

Oczywiście asumptem do takiego działania była katastrofa smoleńska. Poczucie utraty elit sprawiło, że tysiące ludzi poczuły się w obowiązku „zrobienia czegoś”. Jak grzyby po deszczu kwitły więc inicjatywy obywatelskie, w najlepszym razie ignorowane przez ówczesną władzę (o tym, czy zostały w pełnym stopniu zagospodarowane przez ówczesną opozycję, przyjdzie jeszcze czas napisać). To był realny ferment. Bez większego wsparcia instytucjonalnego, bez pomocy „zza granicy”. Nikt po prawdzie o tym nie myślał. Cotygodniowe spotkania były

okazją do przedyskutowania „strategii” na kolejne siedem dni „uświadamiania lemingów” w szkołach, uczelniach, w pracy.

► Smoleńsk uczył odpowiedzialności

Równoległe tworzył się ruch społeczny wokół kwestii wyjaśnienia tragedii smoleńskiej i pamięci o jej ofiarach. Katalizatorem były oczywiście codzienne kłamstwa dotyczące przebiegu katastrofy, a także haniebne wydarzenia sprzed Pałacu Prezydenckiego. Do dziś w całej Polsce odbywają się zapoczątkowane wówczas miesięcznice, wiele lokalnych środowisk na własną rękę doprowadziło do upamiętnienia w swoich „małych ojczyznach” śp. Prezydenta Kaczyńskiego i innych poległych. To również pozwoliło ludziom się poznać, policzyć i zrozumieć siłę, która przekładała się na inne działania o charakterze obywatelskim i samorządowym.

Warto do tego dodać wydawnictwa, filmy, media, koncerty – to wszystko, co działo się w kulturze i popkulturze – niechciani w mediach pieśniarze i zespoły hiphopowe, książki, sprzedawane w setkach egzemplarzy podczas reklamowanych pokątnie spotkań. Poskutkowało to wszystko nie tylko budową aksjologii, ignorowanej przez „pierwszy obieg”. Odcisnęło także trwałe ślad intelektualny, budowało poczucie dysonansu i konieczność przekonywania do swoich racji „trwających w Matrixie”. Jak bowiem usiedzieć spokojnie przy rodzinnym stole czy w towarzystwie znajomych, słuchając „przekazów dnia” lub bon motów ze „Szklą kontaktowego”?

O aktywności polityków ówczesnej opozycji również można sporo powiedzieć. Jak wspomniano, nie wykorzystali oni w pełni ani wówczas, ani dziś „zasobów ludzkich drugiego obiegu” – czy to klubów „Gazety Polskiej”, czy choćby ludzi zrzeszonych w nieocenionym Ruchu Kontroli Wyborów. Dość powiedzieć, że powszechne są pogłoski o tym, jak po 10 kwietnia 2010 r. biura poselskie Prawa i Sprawiedliwości były dosłownie zalewane wnioskami o przyjęcie do partii. Wiele z nich nie doczekało się realizacji, co trwale zraziło ludzi.

► Grać, jak przeciwnik pozwala

Ale nie wszystko zrobiono źle. W obliczu dominacji w przekazie medialnym „jedynie słusznej opcji” część polityków „obozu niepodległościowego” postawiła na bezpośredni kontakt, choćby podczas spotkań jak wyżej opisane. W działalności parlamentarnej, w obliczu niemożności prowadzenia realnej debaty czy w sytuacji odrzucania przez koalicję PO-PSL poprawek do ustaw, czy braku realnej debaty, Prawo i Sprawie-

dliwość szukało „innej drogi” także na niwie sejmowej. Poskutkowało to wysypem zespołów parlamentarnych – jak kierowany przez Antoniego Macierewicza, badający katastrofę smoleńską, czy sejmowy Zespół Obrony Demokratycznego Państwa Prawa, kierowany przez prof. Krzysztofa Szczerskiego. Tego typu inicjatyw nie dało się już kompletnie marginalizować w mediach. Było to zresztą pokazanie elektoratowi, że działa się w sposób „konstruktywny”. Parlamentarzyści działali także bardziej spektakularnie. W czasie afery taśmowej w PSL posłowie PiS Dariusz Jankiewicz i Przemysław Wipler wkroczyli do spółki Elewarr, domagając się ujawniania dokumentów. Równolegle zbierano podpisy pod dziesiątkami różnych inicjatyw i protestów. Wszystko mobilizowało ludzi do działania. I do wychodzenia na ulice – jak w przypadku marszów w Obronie Wolnych Mediów czy przy okazji uroczystości patriotycznych.

Te wszystkie rozproszone inicjatywy w połączeniu z krącową niewygodnością obozu władzy, aferą taśmową, aferą Amber Gold, kolejnymi kompromitacjami poszczególnych polityków, ucieczką Donalda Tuska do Brukseli czy wołającą o sprawiedliwość i prawdę kwestią Smoleńska – to wszystko doprowadziło do „dobrej zmiany”. Warto, by rządzący dziś Polską pamiętali o tym.

► **Obrony status quo**

Ale to wszystko warto przypomnieć jeszcze z jednego powodu. By porównać to z działalnością dzisiejszej opozycji. Co więksi dowcipnisie podnoszą bowiem, że oto w Polsce mamy do czynienia z „wielkim przeciwnym wobec władzy”. To dość zaskakująca teoria, biorąc pod uwagę nie tylko sondaże, lecz także analizując liczbę i jakość opozycyjnych inicjatyw.

Od Komitetu Obrony Demokracji przez tzw. kluby obywatelskie czy ostatnio aktywnych Obywateli RP, wszelkie obecne w mediach inicjatywy wyrosłe w sprzeciwie do Prawa i Sprawiedliwości charakteryzuje wspólny mianownik – chęć powrotu do *status quo* z lat 2007–2015.

Wystarczy posłuchać monologów polityków Platformy, byłych dziennikarzy mainstreamowych mediów czy demiurgów III RP w typie Adama Michnika, wizytujących opustoszałe sale podczas spotkań pod szyldem KOD, by dostrzec, że jest tam wszystko oprócz intelektualnego fermentu. Jest nie trafna diagnoza co do przyczyn ich własnej klęski, jest przekonanie o własnej nieomyślności i niebywała agresja. Jest niezrozumienie problemów Polaków i są złe diagnozy rzeczywistości.

Co więcej, opozycyjne środowiska mieniające się obywatelskimi, nie dość że raz po raz kompromitują się (*casus* Kijowskiego), to jeszcze nie zdążywszy się dobrze zawiązać, dzielą się i konfliktują, wyciągając brudy. A kto potrafi wskazać choćby jedną wartościową pozycję wypuszczoną spod skrzydeł opozycji? Coś, z czym można polemizować na poziomie innym niż przekrzykiwanie się przez kordon policji podczas miesięcznicy? Jak dyskutować z kimś, kto zagłusza modlitwy lub blokuje sejmową mównicę, walcząc *de facto* o miano „lidera totalnej opozycji”.

► **Nie dawać paliwa**

Owe opozycji nie pomoże nawet to, że jej poczynaniom kibicuje zaangażowana prasa w Polsce i za granicą. Kibicuje część polityków za granicami, podejmują kolejne uchwały, inicjując dyskusje „o Polsce” i goszcząc przyjmującego postawę męczennika Mateusza Kijowskiego. Na nic zda się kolejne wezwanie Lecha Wałęsy do „wyjścia na ulice” czy rozdzieranie szat przez skompromitowanych celebrytów. Wszystko to podsyte jest tak mocno fałszem, że w podobne szopki wierzą jedynie nałogowi zjadacze „Gazety Wyborczej”. Ale przede wszystkim oprócz sztuczności w tym wszystkim brak jest szerszego paradygmatu, myśli, sposobu działania, w którym odnaleźć można by się poprzez wartości inne niż negacja i agresja. Nie ma nic odkrywczego w krzykach, które znamy od 2010 r., a które dziś brzmią jak dawno zgrana płyta.

Zagrozenie dla „dobrej zmiany” płynie dziś z nas samych. Z tych, którzy w piwnicach zastanawiali się, „co robić”. Nie możemy myśleć, że nasza praca jest skończona, że nie mamy już nic do roboty. Jest – kontrola i korekta. To my musimy być whistleblowerami – bez skrupułów nagłaśniać nielegalną i szkodliwą działalność. Ostrożni i rozważni muszą być jednak przede wszystkim politycy obozu rządzącego. I choć do tej pory zdają się raczej wyciągać wnioski z porażki poprzedniej ekipy i na nich za chwilę może zasadzić się pycha, znużenie czy przekonanie o niezniszczalności.

Pomimo arytmetycznej przewagi rząd Prawa i Sprawiedliwości nie jest dziś wcale w komfortowej sytuacji. Bardzo poważny układ polityczno-medialny pragnie wbrew wszystkim wskaźnikom przekonać, że „Polska jest w najgorszym momencie w historii”. Co więcej, usiłuje się przekonać „zagranicę”, że sytuacja nad Wisłą jest przejściowa, a więc nie ma co szukać silniejszych związków z rządem w Warszawie. I choć rolą rządzących jest wychodzić naprzeciw takim działaniom, to muszą oni robić coś jeszcze – nie dostarczać opozycji paliwa. ■



Ryszard Czarnecki

Smoleńsk i déjà vu

Mam poczucie déjà vu. Obserwując to, co działo się 10 kwietnia A.D. 2017, ale przecież tak naprawdę słuchając establishmentu medialno-politycznego w Polsce od wielu tygodni poprzedzających tę rocznicę, mam wrażenie, że ktoś zupełnie wbrew mojej woli wsadził mnie w wehikuł czasu i przeniósł do roku 2010 czy 2011.

Ta sama nienawiść. Ten sam język pogardy. Ta sama, praktykowana – nawet jeśli ci tak samo zajadli, jak i nieoduczeni państwo z salonu nie wiedzą czyja – dewiza Goebbelsa: „kłamstwo powtarzane sto razy staje się prawdą”. I ta sama ucieczka od faktów, a choćby i pytań, i wątpliwości, które są udziałem wielu ludzi. Także moim. I tu refleksja osobista. Tak jak bardzo wielu Polaków 10 kwietnia 2010 r. – oraz przez wiele następnych miesięcy – myślałem, że tragedia smoleńska to katastrofa lotnicza, straszny pech, wstrząsający dramat w „ruchu lotniczym”. Że to „po prostu” efekt rosyjskiego bardaku plus polskiego bałaganu. Z czasem zacząłem sobie zadawać pytania, na które nie tylko strona rządowa nie znajdowała odpowiedzi, lecz wręcz reagowała na nie agresją. Tych pytań, podobnie jak moi rodacy, mam dziś już multum i coraz bardziej uważam, że nie był to tylko potwornie nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Między 2010 r. a czasem obecnym zmieniło się w Polsce bardzo wiele: Bogu dzięki rząd, Bogu dzięki prezydent, społeczne nastroje, ale jedna rzecz nie zmieniła się w zasadzie wcale – to alergiczna reakcja na „sprawę smoleńską”. Dzieje się to za sprawą setek czy może tysięcy ludzi, którzy wtedy o Smoleńsku kłamali i jeszcze wiedzieli, że to robią, albo też kłamali, powtarzając cudze grepsy, które miały zakryć rzeczywistość. Dzisiaj ci sami ludzie muszą bronić swoich kłamstw, aby nie pokazać sobie i bliźnim, że swoje kariery i pozycję zawodową, polityczną, medialną budowali na gigantycznym kłamstwie połączonym z niespotykaną nienawiścią. Nie powiedzą dziś, że błądzili, że ktoś ich podpuścił, dali się użyć, zostali zmanipulowani czy po pro-

stu byli cynicznymi świniami. Nie zrobią tego, bo byłoby to przyznanie się albo do swojej skrajnej podłości, albo – nie wiem, czy częściej, czy rzadziej, i czy to lepiej, czy gorzej – skrajnej, przerażającej głupoty. Nie oczekuję od tych ludzi, aby patrząc w lustro, zaczęli płuć. Nie mam żadnych złudzeń, że uderzą się w piersi, posypią głowy popiołem, przyznają rację tym, którzy prawdy o Smoleńsku szukali, a nie ją skrzętnie, z pogardą dla rodzin ofiar i własnej Ojczyzny ukrywali.

I tu analogia. Nie oczekuję od ludzi, których języki kłamały i raniły bliskich poległych Polaków, a ich uszy były zamknięte na prawdę, aby popełnili samobójstwo zawodowe i po przejściu *katharsis* przyznali, że byli po „złej stronie mocy” – tak samo jak nie oczekuję od zakłamanych polityków Europy Zachodniej, Północnej i Południowej, aby teraz nagle przyznali się, jak bardzo okłamywali swoje społeczeństwa, swoje narody w kwestii polityki migracyjnej. Sprawy są różne, ale mechanizm samozakłamania i ucieczki od odpowiedzialności jest identyczny. Dlaczego? Bo dla takiej czy innej pseudoelity byłby to koniec obecności w życiu publicznym. Koniec władzy – w różnym rozumieniu tego słowa – koniec, a przynajmniej olbrzymie ograniczenie, wpływu na rzeczywistość społeczno-polityczną. Stąd właśnie nad Wisłą, Odrą, Wartą i Bugiem słyszymy kontynuację propagandy nienawiści i kłamstw o Smoleńsku, a nad Sekwaną, Renem i w wielu innych miejscach Europy Zachodniej łatwo dostrzeżemy ciągłość gigantycznych kłamstw i progressistowskiej propagandy o, głównie islamskich, imigrantach spoza Europy.

Wart słowiański Pac zachodniego pałaca. A zachodni pałac – słowiańskiego Paca, trawestując dziewiętnastowieczne polskie powiedzenie. ■



Małgorzata Matuszak



Co zostało z *carpe diem*

„Chwytaj dzień, bo przecież nikt się nie dowie, jaką nam przyszłość zgotują bogowie...” – pisał Horacy, nawołując do cieszenia się dniem dzisiejszym, do korzystania z chwili, bez myślenia o przyszłości. Słowa te mają jednak zupełnie inne znaczenie, niż nadaje się im w dzisiejszych czasach.

Olimpijskie hasło „szybciej, wyżej, dalej” przyświeca coraz jaśniej naszej codzienności. Żyjemy szybciej, mamy mniej czasu – dla siebie i dla innych. Chcemy więcej, sięgamy wyżej, zapominając o tym, co ważne. Bo czy to, o co zabiegamy, czego tak bardzo pragniemy, istotnie jest tym, co na to zasługuje? Czy to, w czym upatrujemy sensu życia, samo ma sens? A może wcale o sens nie pytamy, po prostu żyjemy, dzień po dniu, nie pytając o całość egzystencji? Tak dobrze przyswoiliśmy sobie zasadę *carpe diem*, że nie pamiętamy już tych dni, które schwytałyśmy? A może, wręcz przeciwnie, pytamy o sens, tylko nie potrafimy mu sprostać? Uciekamy więc od pytań, znów „chwytając dzień” w zupełnie przewrotny sposób, tak naprawdę go nie przeżywając, ślizgając się po powierzchni?

► W pułapce konsumpcjonizmu

Konsumpcjonizm w prosty sposób zdefiniować można jako „postawę polegającą na nieusprawiedliwionym (rzeczywistymi potrzebami oraz kosztami ekologicznymi, społecznymi czy indywidualnymi) zdobywaniu dóbr materialnych i usług, lub pogląd polegający na uznawaniu tej konsumpcji za wyznacznik jakości życia (lub za najważniejszą, względnie jedyną wartość)”. Jeszcze prościej: to nadmierne przywiązywanie wagi do zdobywania dóbr materialnych.

Tak naprawdę konsumpcjonizm jest obecny od zawsze, w każdym społeczeństwie, zmienia się tylko jego obraz. Problem polega na tym, jak szeroki jest krąg jego działania i w jakim stopniu mu ulegamy. Dzisiejsi Polacy zachłyszeli się tym, że mogą więcej, że posiadają więcej. Z drugiej jednak strony, jesteśmy społeczeństwem wciąż na dorobku, nie osiągnęliśmy poziomu życia, który moglibyśmy uznać za wystarczający, niełatwo przecież nadrobić trudny i biedny czas, przejawy konsumpcjonizmu są więc do pewnego stopnia uzasadnione. Podkreślić w tym miejscu trzeba jednak słowa „do pewnego stopnia”. Chodzi bowiem o to, by się nie oglupiać. By „mieć” nie przesłaniało „być”, by wartości materialne nie wyparły całkowicie tych duchowych.

Trudno w tym względzie o zachowanie zdrowego rozsądku. Wymaga to czujności i mocnego osadzenia w tym, co w życiu ważne. Wszak z każdej strony zachęcani jesteśmy do kupowania. Otwieramy skrzynkę na listy – wysypują się gazetki reklamowe różnych sklepów, włączamy Internet – wciąż pokazują się reklamy produktów, które są nam koniecznie potrzebne, oglądamy telewizję bądź słuchamy radia i znów bombardowani jesteśmy reklamami rzeczy, które pozwolą być ładniejszymi, atrakcyjniejszymi, modniejszymi, nowocześniejszymi, zdrowszymi, wręcz najlepszymi wer-

sjami samych siebie, do tego będziemy mieli najlepszy dom, ogród, nasza rodzina będzie najszczęśliwsza i w ogóle wszystko w nas i wokół nas będzie lepsze. Jak tu nie kupować? Jesteśmy coraz wrażliwsi na takie sygnały, bo też – niestety – coraz bardziej liczą się dla nas wartości materialne i coraz mniej potrafimy cieszyć się ze zwykłych rzeczy. I właśnie o to chodzi w konsumpcjonizmie. Czy jednak kolejny telefon czy nowy samochód są niezbędne do życia? Dziś coraz częściej kupujemy coś nie z potrzeby, a dlatego tylko, że nam się podoba. Stajemy się „szczęśliwi”, bo coś posiadamy. Oczywiście tylko na chwilę, bo czy naprawdę te wszystkie przedmioty mogą dać nam szczęście?

Najtrudniej mają ludzie młodzi. Chociaż deklarują swój negatywny stosunek do reklam, to jednak większość z nich przyznaje, że podobają się im skie-

złego, o ile zachowuje się umiar. Skutery, quady, operacje plastyczne prezentami odpowiednimi dla dziecka w tym wieku chyba nie są...

Ile wydajemy na komunijne prezenty? Według agencji badawczej TNS Polska aż 63 proc. z nas przeznacza na ten cel od 100 do 500 zł, a co czwarty ankietowany wyda od 500 do 1000 zł. Jeśli zaś chodzi o koszty związane z przyjęciem komunijnym, z ankiety PAYBACK Opinion Poll wynika, że 75 proc. rodziców deklaruje wydatki na poziomie od 100 do 200 zł w przeliczeniu na jednego gościa. Większość ankietowanych zamierza zaprosić w tym dniu od 11 do 25 osób, więc takie przyjęcie będzie ich kosztować nawet 5 tys. zł. Jeśli doliczymy do tego koszt ubrania, pamiątek, fotografa, dla dziewczynek fryzjera i nawet kosmetyczki, zdarza się też, że i solarium, bo przecież opalona skóra ładniej

DZIŚ CORAZ CZĘŚCIEJ KUPUJEMY COŚ NIE Z POTRZEBY, A DLATEGO TYLKO,
ŻE NAM SIĘ PODOBA. STAJEMY SIĘ „SZCZĘŚLIWI”, BO COŚ POSIADAMY.
OCZYWIŚCIE TYLKO NA CHWILĘ, BO CZY NAPRAWDĘ TE WSZYSTKIE PRZEDMIOTY
MOGĄ DAĆ NAM SZCZĘŚCIE?

rowane do nich przekazy, że rozmawiają o nich i świetnie rozpoznają slogany przypisane do marki. Reklama jest dla nich głównym źródłem wiedzy o produkcie; marki nieznane, bo niereklamowane, budzą w nich poczucie niepewności.

► Majowy zawrót głowy

Konsumpcjonizm zawładnął także wydarzeniami związanymi ze sferą *sacrum*. Przykładów można wymienić wiele, w maju jednak jeden z nich daje o sobie znać z dużą mocą. Pierwsza Komunia Święta to wielkie wydarzenie w życiu dziecka. Niestety, dziś bardzo często jego przeżycia religijne nikną w obliczu przeżywania tego, jakie prezenty z tej okazji się dostanie. I nawet jeśli dziecko słyszy, że to nie rzeczy materialne są w tym dniu najważniejsze, to i tak o nich przede wszystkim mówi. Oczekiwania zaś ma duże. Jeden z rankingów tegorocznych prezentów komunijnych przedstawia się następująco: 1. wyjazd do Disneylandu lub wioski Harry'ego Pottera, 2. nagranie piosenki lub teledysku, 3. okulary 3D, 4. smartwatch, 5. aparat multimedialny. Oczywiście każdy bliski chce sprawić przyjemność dziecku. Nic w tym

komponuje się z białym ubraniem, to wychodzi naprawdę spora suma. Rodzinna, kameralna w założeniu uroczystość przeradza się w małe wesele.

82 proc. badanych urzęda przyjęcie w restauracji lub innej sali bankietowej. Większość finansuje organizację komunijnego spotkania z bieżącego budżetu (45 proc.) lub oszczędności (27 proc.), jednak aż 27 proc. planuje wzięcie pożyczki z banku, od rodziny lub znajomych. Okazuje się też, że tradycyjne przyjęcia z suto zastawionym stołem to niejeden sposób na wspólne spędzanie czasu tego dnia. Uatrakcyjnić go można na wiele sposobów – w stadninie koni, w „małych zoo”, parkach linowych, na basenie albo chociaż wynająć zespół bądź chór, które będą umilać czas.

Czy naprawdę staliśmy się niewolnikami konsumpcjonizmu? Czy posiadanie i nabywanie dóbr, a także pokazywanie innym, że je posiadamy, stało się dla nas tak oczywiste, że nawet się nad jego sensem nie zastanawiamy?

► Obraz współczesnego Polaka

Centrum Badania Opinii Społecznej zadało w dniach 2–9 marca br. w ramach sondażu „Aktual-

ne problemy i wydarzenia” pytania dotyczące tego, jak często zastanawiamy się nad sensem i celem swojego życia, oraz tego, co dla nas ten sens stanowi. Wyniki porównano następnie z odpowiedziami na te same pytania z ankiety, która została przeprowadzona 20 lat temu.

Z badań wynika, że przynajmniej czasami nad sensem i celem swojego życia zastanawia się dziś niemal siedmiu na dziesięciu badanych (69 proc.), w tym ponad jednej trzeciej (36 proc.) zdarza się to często. Pozostali robią to rzadko (17 proc.) lub w ogóle nie poświęcają czasu takim rozważaniom (14 proc.). Kiedy zestawimy te odpowiedzi z tymi sprzed 20 lat, okazuje się, że zastanawianie się nad sensem swego życia nie absorbuje Polaków dziś tak bardzo jak wtedy. Zauważalnie zmniejszyła się liczba

dobnie jak przed 20 laty, najbardziej liczą się wartości religijne: wiara w Boga (4 proc.) i perspektywa zbawienia (1 proc.), dla mniejszej zaś grupy najważniejsze są wartości moralne (3 proc.), takie jak bycie dobrym człowiekiem (1 proc.), pomaganie innym i bycie uczciwym (2 proc.).

► Namysł nad sensem

Oczywiście to tylko sondaż. Zastanawiające jest jednak, dlaczego tak stosunkowo duży odsetek Polaków rzadko lub w ogóle nie poświęca czasu na rozważania nad sensem swego życia. Zadawanie tego pytania i szukanie na nie odpowiedzi stanowi wszak istotę życia człowieka, definiuje go jako takiego. Zastanawia też, dlaczego, skoro relatyw-

Z KAŻDEJ STRONY ZACHĘCANI JESTEŚMY DO KUPOWANIA. OTWIERAMY SKRZYNKĘ NA LISTY – WYSYPUJĄ SIĘ GAZETKI REKLAMOWE RÓŻNYCH SKLEPÓW, OGLĄDAMY TELEWIZJĘ – BOMBARDOWANI JESTEŚMY REKLAMAMI RZECZY, KTÓRE POZWOLĄ BYĆ NAJLEPSZYMI WERSJAMI SAMYCH SIEBIE.

osób robiących to często (o 11 proc.), przybyło z kolei tych, którzy nie mają na takie rozważania czasu lub po prostu nie interesują się tym problemem (o 9 proc.). Zdecydowanie częściej nad celem swego życia zastanawiają się kobiety, wśród mężczyzn relatywnie wielu w ogóle nie poświęca temu uwagi.

Co zatem stanowi dla Polaków sens życia? Podobnie jak 20 lat temu ponad połowa (54 proc.) za najważniejszą wartość uznaje rodzinę – jej dobro (48 proc.) i harmonijne funkcjonowanie (6 proc.), w mniejszym stopniu poprawę sytuacji finansowej (1 proc.) lub zamiar założenia rodziny (1 proc.). Częściej natomiast niż kiedyś badani odwołują się do wartości, jaką jest zdrowie i jego utrzymanie (38 proc.). Dla 9 proc. Polaków poczucie sensu życia dają praca (w 1997 r. wskaźnik ten wynosił 19 proc.), bogactwo i własny dom czy mieszkanie – dla 8 proc. (20 lat temu było to 13 proc.). Dla 8 proc. (dwie dekady temu – 5 proc.) sens życiu nadają wartości życia społecznego: spokój, porządek, sprawiedliwość, przyjaźń. Wartości egzystencjalne, takie jak godne życie, pogoda ducha, to, by coś po sobie zostawić – liczą się przede wszystkim dla 7 proc. (w 1997 r. – 13 proc.) pytaných. Dla 5 proc. badanych, czyli po-

nie niewielu deklaruje jako najważniejszą dla siebie pracę i dobrą sytuację materialną, tak łatwo damy się złapać w sieć konsumpcjonizmu? Czy staje się to aż tak łatwo, że przestajemy w ogóle dostrzegać? Określamy sens, nie zastanawiając się głębiej, co on naprawdę znaczy i jakie pociąga za sobą konsekwencje?

Carpe diem, „Chwytaj dzień, bo przecież nikt się nie dowie, jaką nam przyszłość zgotują bogowie...” – pisał Horacy, nawołując do cieszenia się dniem dzisiejszym, do korzystania z chwili, bez myślenia o przyszłości. Słowa te mają jednak zupełnie inne znaczenie, niż nadaje się im w dzisiejszych czasach. Nie oznaczają bynajmniej rzucenia się w wir uciech, zapomnienia, ciągłej zabawy, zatracenia w podążaniu za coraz nowszymi wrażeniami. Nie oznaczają też bezgranicznej wolności. Dziś myśl Horacego została bardzo wypaczona. Trzeba sobie zadać raczej pytanie, dlaczego w świecie, w którym tak wiele dóbr mamy na wyciągnięcie ręki, wciąż czujemy się nieszczęśliwi? Dlaczego nieustannie dążymy do czegoś więcej? Co nas skłania do tego, by chcieć posiadać coraz więcej? Dlaczego wciąż chcemy „szybciej, wyżej, dalej”? ■

Tomasz P. Terlikowski



PENTEKOSTALIZACJA i jej wrogowie



Kościół w Polsce błyskawicznie się zmienia. Jego dawne fundamenty przestają mieć znaczenie, bowiem zastępuje je nowy, niezwykle dynamiczny trend religijny, który – niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy – niewątpliwie ukształtuje nowe oblicze polskiego katolicyzmu.

S pór między katolikami otwartymi a tradycyjnym czy ludowym katolicyzmem to już przeszłość. I to z wielu powodów. Po pierwsze, katolicyzm otwarty powoli odchodzi do historii. Jego twórcy i propagatorzy są już, w ogromnej większości, nieobecni w debacie publicznej, a ich spostrzeżenia coraz bardziej odcięte od rzeczywistości. Ludowy katolicyzm, który do niedawna był – choćby za sprawą Prymasa Tysiąclecia – fundamentem polskiego Kościoła, także powoli, ale w coraz bardziej widoczny sposób, przechodzi do historii. I nic nie wskazuje na to, by cokolwiek miało się w tej kwestii zmienić. Szczególnie że polska religijność wcale nie zamiera, ale tylko przybiera zupełnie nowe formy.

► Błyskawiczna pentekostalizacja

O czym mowa? O błyskawicznym rozprzestrzenianiu się duchowości i religijności neopentekostalnej (tak wiem, że brzmi to strasznie, ale tak właśnie określa się ten nurt w religioznawstwie). I nie chodzi tylko o starą i obecną w Polsce od kilkudziesięciu lat Odnowę w Duchu Świętym czy nawet o rozmaite starsze ruchy charyzmatyczne, lecz o niezwykle dynamicznie rozwijający się nowy nurt charyzmatyczny, który w protestantyzmie określany jest mianem trzeciej fali charyzmatycznej. W Kościele katolickim ma ona własną charakterystykę i własne formy wyrazu, i to właśnie one zdobywają szturmem polskie parafie, klasztory i seminaria.

I tak wystarczy przyjrzeć się najczęściej i najtłumniej odwiedzanym rekolekcjom. Przeważnie ich prowadzącymi są charyzmatyczni, dynamiczni kapłani, którzy nie obawiają się modlitwy o uzdrowienie, przyzywania Ducha Świętego, egzorcizmów (a konkretniej modlitw o uwolnienie od działania złego ducha). Ich styl przekazu jest prosty, emocjonalny, celem jest nawrócenie i przemienienie słuchaczy, a także otwarcie ich na działanie Ducha Świętego. Na spotkania z nimi ciągną ludzie w każdym wieku i wielu z nich zaczyna w zupełnie nowy sposób się modlić. W wielu polskich parafiach organizuje się także spotkania ze świętymi ewangelizatorami, którzy modlą się o uzdrowienie chorych, opowiadają o swoim nawróceniu

albo o tym, jak doszło do tego, że głoszą Ewangelię i przyciągają młodych i bardzo młodych słuchaczy.

Z tym nowym (choć oczywiście jego zwolennicy zwracają uwagę na to, że ma on korzenie w Ewangelii) nurtem religijności w Kościele związane są także liczne zjawiska społeczne. Neocharyzmatycy o wiele częściej mówią o opętaniach, ostrzegają przed zagrożeniami duchowymi płynącymi z filmów, muzyki, sztuk walki itd. Oni także wprowadzają (często na nowo) do powszechnego kościelnego użytku sakramentalia, takie jak sól egzorcyzmowana czy oleje rozmaitych świętych. Oni wreszcie (do spółki z charyzmatykami poprzednich generacji), o czym też nie powinno się zapominać, wprowadzili do bardzo wielu polskich parafii tzw. msze o uzdrowienie, z których także korzysta coraz więcej osób.

► Obudzony olbrzym

Ruch charyzmatyczny (trzeciej fali) w Kościele, choć wielu w nim także księży czy zakonników, zdominowany jest przez świeckich. I chodzi nie tylko o ewangelizatorów (choć i ich nie brakuje), lecz także o organizatorów kolejnych rekolekcji, zaangażowanych katolików, którzy składają świadectwa, i wreszcie celebrytów czy artystów, którzy nawracają się pod wpływem tego niezwykle emocjonalnego przekazu. Oni są niewątpliwie siłą polskiego Kościoła.

Ale to nie wszystko. Najważniejsze wydarzenia duchowe, nawet jeśli cieszyły się poparciem Episkopatu, to i tak organizowane były (jak choćby Wielka Pokuta na Jasnej Górze czy rekolekcje „Jezus na Stadionie”) przez świeckich zanurzonych w duchowości charyzmatycznej. Oni także coraz częściej angażują się w działalność społeczną, ewangelizują bądź prowadzą rekolekcje w szkołach czy na uczelniach. Ich przekaz jest obecny w mediach społecznościowych oraz coraz częściej w mediach głównego nurtu. A jakby tego było mało, coraz mocniej schodzi on – w dół, do miejsc, gdzie do niedawna królował katolicyzm ludowy. Charyzmatycy mają tę niezwykle cechę, że są w stanie, bez większych problemów, pogodzić stare, ludowe formy wyrazu z nową, charyzmatyczną duchowością. Różaniec jest podczas ich spotkań niezwykle skuteczną i polecaną formą modlitwy. A Maryja jest czczona na wiele różnych sposobów.

Wszystko to jednak dzieje się poza bezpośrednią kontrolą Kościoła hierarchicznego, a także przybiera niekiedy formy – nawet jeśli zaaprobowane przez duszpasterzy – nie do końca zgodne z tradycyjnym rozumieniem katolicyzmu. I dlatego wiele wskazuje na to, że biskupi właśnie zdecydowali się zacząć porządkować sytuację.

► Nowe zakazy

W ciągu ostatnich kilku tygodni najpierw posyłały się zakazy i ostrzeżenia przed Wspólną Miłości i Miłosierdzia z Czatachowy, a także jej duchowym liderem ojcem Danielem (jasne dokumenty wydali na jego temat biskupi plocki i opolski, a także jego ordynariusz metropolita częstochowski), a krótko potem ordynariusz warszawsko-praski arcybiskup Henryk Hoser wydał zakaz organizacji rekolekcji dla innego, znanego charyzmatyka

w przypadku części z dynamicznie rozwijających się dzieł (a o wiele częściej akcji) tak nie jest. Po drugie, od jakiegoś czasu katolicyzm, zawsze opierający się na rozumie, zyskuje mocno irracjonalny obraz. Uzdrawień się już nie bada, a obwieszcza się je; niektórych z charyzmatycznych przejawów pobożności, choć mogą być postrzegane także jako psychomanipulacja (albo manifestacja złego ducha), już się nie bada, a każdego, kto o nie pyta, traktuje się jak osobistego wroga Ducha Świętego. Mocnemu uszczupleniu ulega też przekaz wiary, którą ogranicza się do przeżycia (nie ma co ukrywać bardzo mocnego). W efekcie Kościół w Polsce (ale nie tylko, bo to zjawisko globalne) błyskawicznie się pentekostalizuje.

I wiele wskazuje na to, że biskupi, po wielu latach obserwowania tego, co się dzieje, postanowili ponownie zabrać się za katolicyzowanie niesamowitego ruchu, jaki zmienia Kościół. Nie, nie chcą go zlikwidować, a jedynie uformować go bardziej w ka-

RUCHY WEWNĄTRZ KOŚCIOŁA, NAWET JEŚLI INSPIRUJĄ SIĘ POBOŻNOŚCIĄ
PENTEKOSTALNĄ (A NIE MA W TYM NIC ZŁEGO), MUSZĄ ZACHOWAĆ KATOLICKĄ
SPECYFIKĘ, A TAKŻE KATOLICKIE PODEJŚCIE DO DUCHOWOŚCI. A TO OZNACZA, ŻE
MUSZĄBYĆ NIE TYLKO POSŁUSZNE BISKUPOM, WIERNE KATOLICKIEJ SAKRAMENTOLOGII,
LECZ TAKŻE ROZUMNE I RACJONALNE.

z Indii ks. Jamesa Manjackala. W tym pierwszym przypadku mowa jest o braku regulacji, o tym, że pustelnik, jakim miał być ojciec Daniel, prowadzi życie ewangelizatora, a także o niejasnościach finansowych, przesadnej roli świeckich itd. W tym drugim, biskup powołuje się na poważne informacje, które uzyskał od nuncjatury. Niedługo później okazało się, że chodzi o jakieś oskarżenia z Hiszpanii o rozrzutność i brak kontroli finansowej, które miały być już dawno wyjaśnione. Ale nawet jeśli tak było, to i tak zakaz nie został zdjęty, a kapłan rekolekcji w diecezji warszawsko-praskiej nie wygłosi. Inna rzecz, że zakaz ten nie obowiązuje w innych miejscach, więc ks. Manjackal będzie je jeszcze głosił z niezwykłą mocą gdzie indziej.

Ale to w niczym nie zmienia faktu, że wygląda na to, iż przynajmniej część biskupów, doceniając zapewne korzyści z ruchu charyzmatycznego, zdecydowała się zacząć porządkować sytuację. Powodów jest zapewne kilka. Po pierwsze, kontrola finansowa, organizacyjna, a także duszpasterska musi zawsze spoczywać w rękach biskupa, a przynajmniej

tolickim niż zielonoświątkowym duchu. Ruchy wewnątrz Kościoła, nawet jeśli inspirowane pobożnością pentekostalną (a nie ma w tym nic złego), muszą zachować katolicką specyfikę, a także katolickie podejście do duchowości. A to oznacza, że muszą być nie tylko posłuszne biskupom, wierne katolickiej sakramentologii, lecz także rozumne i racjonalne. Innej drogi nie ma. Z drugiej jednak strony, i to także warto mieć w pamięci, nic nie wskazuje na to, by proces pentekostalizacji dało się całkowicie odwrócić. Duchowość charyzmatyczna odpowiada na istotne potrzeby współczesnego człowieka, jest mu z wielu powodów bliska, a to oznacza, że Kościół, walcząc o jego katolicyzację, nie może go całkowicie odrzucić. I na pewno tego nie zrobi.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w najbliższych miesiącach będzie się w Kościele w Polsce wiele działo. I trzeba mieć na to oczy szeroko otwarte, tak by nie przegapić najciekawszych wydarzeń i sporów, które toczą się już zupełnie gdzie indziej niż jeszcze kilka lat temu. I inni, często jeszcze nieznani szerszej opinii publicznej, są ich bohaterowie. ■



Piotr Hofman

Budownictwo jako koło zamachowe gospodarki

Tytuł to nie slogan, ale fakt i potwierdza to historia rozwoju wielkich gospodarek światowych. Obecnie prawie 10 proc. PKB jest wytwarzane przez branżę budowlaną. Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa (RGSWS) deklaruje wsparcie dla takich działań, które napędzą to „koło”, tym razem na rzecz polskich firm. Plan na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju diagnozuje „pułapkę braku równowagi”. 95 mld złotych trafia do zagranicznych inwestorów, dwie trzecie polskiego eksportu tworzą firmy z kapitałem zagranicznym, 50 proc. produkcji przemysłu w firmach zagranicznych. To bardzo pesymistyczne dane. Czas zatem na szybkie wyjście z tej pułapki. Szeroko pojęta branża budowlana musi być motorem zmian i liderem wyprowadzenia polskich firm na szeroką autostradę rozwoju gospodarczego. Aby tak się stało, to PNB, jako produkt wytworzony na całym świecie przez czynniki produkcji należące do polskich obywateli, musi być wyższy niż PKB – produkt wytworzony w Polsce, niezależnie od obywatelstwa właściciela czynników produkcji. Niestety, na razie proporcje są bardzo niekorzystne i stawiają nas w końcówce krajów UE. Planowane przez rząd na najbliższe lata inwestycje infrastrukturalne powinny być właśnie takim kołem zamachowym. Ministerstwo Rozwoju popiera zwiększony udział MŚP (sektor małych i średnich przedsiębiorstw) w realizacji zamówień publicznych. Minister Jadwiga Emilewicz w ostatnich wypowiedziach zwracała uwagę na konieczność stymulowania mniejszych, prywatnych podmiotów do współpracy z dużymi partnerami. Ministerstwo prowadzi w tym zakresie rozmowy z GDDKiA i PKP. Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Polski Fundusz Rozwoju mają być instytucjami, które wspierać będą MŚP w ich współpracy z dużymi graczami przy realizacji zamówień publicznych. Takie działanie ma przełożyć się na rozwój małych firm do poziomu średnich, a średnich do poziomu dużych. Niezmiernie istotna jest pomoc PFR w pozyskiwaniu kapitału na inwestycje i zbudowanie płynności finansowej, albowiem to jeden z głów-

nych problemów i bariera rozwojowa. Kolejnym obszarem jest zbyt opresyjny fiskalizm i często preferowanie zagranicznych podmiotów kosztem krajowych. Czas to ostatecznie zmienić. Wsparcie dla silnych MŚP, biorących udział w przetargach na realizację inwestycji infrastrukturalnych, to podstawa budowania krajowego kapitału i droga wyjścia z pułapki braku równowagi. Jeden z głównych programów rządowych – „Mieszkanie Plus” to długofalowy program, zaplanowany na wyrównanie opóźnień Polski w stosunku do pozostałych krajów UE w kwestii ilości i jakości zasobów mieszkaniowych. Nasza sytuacja plasuje nas na końcu europejskiej średniej z 363 mieszkaniami na 1000 mieszkańców przy prawie 440 w UE. „Mieszkanie Plus” to infrastrukturalny program rozwojowy, dający szansę wszystkim Polakom na poprawę warunków mieszkaniowych. Zatem niech będzie modelowym kołem zamachowym dla zbudowania polskiego kapitału w krajowej gospodarce. Jako program inwestycji w nieruchomości powinien również zainteresować zagranicznych inwestorów dysponujących tanim kapitałem (głównie fundusze emerytalne). Wraz z PFR mamy zatem możliwość pozyskania finansowania dla wielkiego programu zmieniającego polski rynek mieszkaniowy. Teraz najważniejsze jest to, by stworzyć i dostosować otoczenie prawne, tak aby krajowe MŚP były też jego beneficjentem. Oczywiście budownictwo to nie tylko mieszkaniówka. Niezbędne są pilne inwestycje w modernizację zasobów PKP i sieci energetycznych. Nadal wiele do zrobienia jest w obszarze inwestycji drogowych. Nie może być jednak tak, że od 10 lat to zagraniczne firmy wygrywają przetargi na ich realizację. Kapitał wypływa za granicę, podatki nie są płacone w RP, a polskie firmy jako podwykonawców doprowadza się do bankructwa. RGSWS deklaruje rozpoczęcie pracy nad założeniami ułatwiającymi udział MŚP w zamówieniach publicznych na realizację inwestycji infrastrukturalnych. Tak jak brzmi nasze motto „budujmy narodowy kapitał polskimi firmami”. Dzisiaj jest historyczny moment, aby je zrealizować. ■



Piotr Lisiewicz

Daj nam to szczęście, którym żyje robak

„Litania” – jest to największy utwór poetycki emigracji... Jest to modlitwa wiary, nadziei, miłości i skruchy, powstała w czas najniższego poniżenia i wielkiego wywyższenia ducha, w czas pięknego żalu za grzechy i silnego poczucia, czym jest Polska – pisał Melchior Wańkowicz o najważniejszym dziele Zdzisława Broncl. Broncel – przedwojenny autor „Prosto z Mostu”, a po wojnie dziennikarz BBC – pozostawił po sobie niepowtarzalne świadectwo niewoli w sowieckim łagrze oraz walki o wolnego ducha na Zachodzie.

„Istnieje typ półdziejw intelektualnych i politycznych: ludzie tego pokroju pragną z jednej strony uchodzić za obrońców wolności, za liberalów czystej krwi, a z drugiej dowodzić swego liberalizmu właśnie »tolerancyjnym« zamykaniem oczu na poniżanie zasad wolności” – pisał w 1953 r. Zdzisław Broncel o zachodnich pisarzach.

► Na korze zszytej lipowym lykiem

„Co noc bowiem zbieraliśmy się w baraku przeznaczonym dla starców i inwalidów, jako w miejscu najbezpieczniejszym i najspokojniejszym, by znaleźć pociechę we wspólnym rozważaniu spraw, niepodległych mocy, która nas więziła. Co dnia ubywał kolega z naszej gromadki, co wieczór oddawaliśmy hołd jego pamięci, po czym pod przewodnictwem prof. St. Kościółkowskiego, częstokroć poprzedzane potajemną mszą świętą, rozpoczynało się zebranie poświęcone nauce i sztuce. Słuchaliśmy więc bądź cyklu historii literatury polskiej, serii wykładów o Wilnie, odczytów o Balzaku, Flaubertie bądź prelekcji litewskich artystów o malarstwie, bądź wreszcie – skromnych wierszy, wyrażających naszą wspólną niedolę” – pisał we wstępie do swoich „Sonetów uralskich” Zdzisław Broncel.

Mógł pochwalić się, że wiersze te, napisane w łagrze koło Swierdłowska, czekały się prędko przekładów na obce języki. Ale specyficzne były to przekłady, jak i szczególne było pierwsze wydanie tomiku. „»Sonety« wkrótce po napisaniu doczekały się przekładów i wydania. Tłumaczono je na język litewski i estoński, rosyjski i żydowski. Wydano zaś, wydrapując tekst na korze brzoźowej, i takie to kartki zszywane lipowym lykiem. Jeden z tych osobliwych egzemplarzy wędruje jeszcze do dziś dnia po Środkowym Wschodzie” – pisał, gdy zdołał wydostać się z sowieckiego piekła do Persji i Palestyny.

„Kto szuka otuchy w Bogu, ten znajduje w »Litaniu« Broncl. Broncl. ucieczkę wierzących. Niektórzy słudzy Kościoła uważają, że »Litania« sięga na granicę bluźnierstwa. Sądzę raczej, że jest ona szczerym, mocnym i bezpośrednim wyrazem ostatnich przeżyć Polaków” – recenzował słynną „Litanię Loretańską do Najświętszej Marii Panny” napisaną na nowo przez poetę Marian Górecki. Co tak zachwyciło Melchiora Wańkowicza i zaniepokoiło wspomnianych przez Góreckiego czytelników?

► W ogrodach Persji słodycz tuberozy

„Litania” to długi utwór poetycki będący próbą zebrania myśli kołaczących się w głowach Polaków

po wrześnieowej klęsce 1939 r. Jest w niej wszystko – opowieść o beznadziejnej walce, o wygnaniu, o okrucieństwach okupanta, których opis ciężko przechodzi przez usta, o pragnieniu wolności, wreszcie o poczuciu winy za przegraną. Wszystko to poeta potrafił ubrać w konwencję litanii, której bluźnierczość polegać mogła jedynie na jej... bliźniaczym podobieństwie do pierwowzoru:

*Kyrie elejson! – Taki jest początek,
Który się w każdej powtarza litanii,
Dla nas – ten pacierz, to jedna z pamiątek
Jaką zabrali ze sobą wygnani,
Składając w serca poufny zakątek,
Gdzie jej rewizja nie sięgną profani
I gdzie trwać będzie, cokolwiek się stanie,
Wiara, nadzieja i święte wezwanie
– Zmiłuj się, Panie!*

*Na dróg rozstajach – O Chryste elejson! –
Drogi powrotnej prosimy u Ciebie,
Który się naszym przypatrujesz rejsom
Po wszystkich morzach i po wszystkiej glebie,
Po wszystkich łądach, jakie w ziemi tej są,
Wśród wszystkich ludów, co w powszednim chlebie
Znalazły wojnę. Przez znaki ogniste
Nad idącymi ku swej ziemi czystej
– Zmiłuj się Chryste!*

Krytyk literacki Jan Bielatowicz związany z obozem narodowym pisał o tych słowach: „Poezja Broncl'a wyrąbana jest z macierzystej gleby mowy polskiej, jak kryształ narodowego sumienia, stężyła na osi najsubtelniejszej formy. Poezja ta jest jak wyteścniiona rosa anhelizmu duszy polskiej”.

W „Litaniu” jest oczywiście powtarzająca się w podobnych wspomnieniach tęsknota za polskim krajem, przyciemniająca urok najbardziej egzotycznych i atrakcyjnych miejsc położonych na szlaku żołnierzy generała Władysława Andersa:

*W ogrodach Persji słodycz tuberozy
Płynie w alejach falując wiosną,
Topole srebro sączą nad wąwozy,
A my, nieczuli, patrzymy czy rosną
Tu siwe wierzy i płaczące brzozy.
Czy wrzos się ścięło pod samotną sosną,
Wieczór mgieł welon snuje na posłanie
I dzwoni dzwonów wieczorny różaniec
– Zmiłuj się, Panie!*

W geografii miejsc opisywanych w „Litaniu” nie brak tych kojarzących się z największymi okrucieństwami wojny. Broncel – mimo że są to sprawy świeże, a właści-

wie dziejące się współcześnie – umieszcza je w Panteonie polskiego bohaterstwa. Wzywa:

*Królowo zbitych, Królowo spalonych,
Wysłanych z dymem w zaziemskie stalagi,
Królowo wszystkich, rzucanych w wagony
Jak transport węgla w czarne sarkofagi*

Ale pada jednocześnie bardzo mocne wezwanie, które było *credo* tamtego pokolenia, z pogardą odrzucałym później przez inteligencję sowieckiego chowu:

*Daj nam to szczęście, którym żyje robak,
Odzienie trawy i los lilii polnej,
Nicość ziarn piasku, które gubi woda,
Pokorę słabych i spokój pokornych –
O raczej bij w nas nieszczęściem jak w Hioba,
Depcz i uginaj, ale zostaw wolnych!*

Profesor Wiktor Weintraub, znawca romantyzmu, napisze o tej twórczości poety: „Wiersze Broncl'a nawiązują nić tradycji wielkiej poezji romantycznej tamtej emigracji: tak jak tamta poezja są one rozprawą z losami Polski. Wszelkie ustalenie w ramach tego nawiązania hierarchii wartości byłoby ze strony recenzenta postępkem nad wyraz nierozsądnym – brak nam ku temu odpowiedniej perspektywy. Ale już sam fakt, że nawiązania tego nie traktujemy jako bluźnierstwa czy nawet niewłaściwości, mówi bardzo dużo. Charakteryzuje klasę tej poezji”.

W „Litaniu” jest też mowa o polskich winach, które czyniły kraj słabszym i przyczyniały się do tego, że bohaterstwo szło później na marne:

*Bloto, miotane w okna Belwederu,
Zgiełk bratobójczy w warszawskich Alejach,
Krew robotników i krew szwoleżerów –
Bezrobotnego, który w święto nie jadł,
Godzinę pychy polskich Luciferów,
W zgrzytanie zębów wtrącony ideał,
Godzinę zwątpień po dwudziestu latach –
Baranku, który gładzisz grzechy świata,
– Przepuść nam Panie!*

► Krople od tęsknoty

Zdzisław Broncel urodził się 14 kwietnia 1909 r. w Warszawie. W 1927 r. zdał maturę w warszawskim Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Potem studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i dziennikarstwo w Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Pierwszy tomik wierszy wydał w czasie studiów w 1928 r. W cyklu „Wiersze naiwne” odnajdujemy takie oto wygnańcze wspomnienie najmłodszych lat:

*W ulicze rzędem stoją dachy
I rośnie drzewo nad ławeczką –
Księżyc nakłada srebrne blachy
I szyld zawieszka nad apteczką.*

*I patrzy długo i uparcie,
Okrągły, jedyny, szczeroloty,
Czy w aptekarskiej, starej karcie
Są także – „krople od tęsknoty”...*

W 1932 r. Rozpoczął pracę redaktorską w piśmie „Ruch Akademicki”. Był współpracownikiem najważniejszego pisma literackiego związanego z obozem Narodowej Demokracji – „Prosto z Mostu”.

► Niemiecki wieniec dębowy

W 1936 r. publikował w „Prostu z Mostu” wyjątkowo dojrzałe jak na 27-latkę reportaże z olimpiady w Berlinie, w których opisał atmosferę w państwie Adolfa Hitlera: „Wstaje sto tysięcy widzów, wyciąga ramiona i przed stadion olimpijski wznosi się pieśń:

– Niemcy, Niemcy ponad wszystko!

Dla takiej jednej chwili dążą na stadion setki tysięcy ludzi z całej Rzeszy. Specjalne zniżki, świetna komunikacja, pozwalają mieszkańcowi nawet najdalszych zakątków Reichu przybyć tu i przeżywać niemiecki tryumf!”.

Polityczna siła rażenia olimpijskich sukcesów jest olbrzymia: „W Niemczech każda próba sił, każde zmierzenie się z cudzoziemcem jest sprawą polityczną. To nie niemieccy biegacze, sprinterzy, długodystansowcy, sztafety, osady łodzi, fechtmiistrz, bokserzy, zawodnicy w kuli, dysku i skokach wygrywają olimpiadę! Wygrywa ją Führer...”.

Reportaże Broncela nie ograniczają się do sportowych wydarzeń. Opisuje zamontowane na ulicach Berlina głośniki, czyli „tzw. usta Goebbelsa, i to bynajmniej nie jakieś reklamowe gadające pudełeczka Telefunken czy Philipsa, ale megafony zamaskowane co 20 kroków przez Ministerstwo Propagandy”.

Pokazuje on, jak idee olimpizmu przerabiane są na hitlerowską modłę i dostosowywane do celów niemieckiej propagandy. Jednym z jej motywów jest... pokój: „Pokój! Pokój! Wszędzie powtarza się w Niemczech to słowo. Nieleddie można by je wypisać na samolotach bombowych, na cokółach armatnich wspierających pomniki w Berlinie... Niemieckie zwycięstwa idą w ścisłym związku z owym hasłem pokoju. Pokój zawsze może stanowić tylko silny”.

W przeciwieństwie do wielu innych korespondentów na olimpiadzie nie ma wątpliwości, jaka ma być przyszłość owej „pokojowej” Europy: „Goście z szerokiego świata uwierzą w niemiecką wiarę pokoju i w słowa Hitlera o przyjaźni ludów. Jeśli potrafią patrzeć, zrozumieją jednak, że Niemcom śni się pax romana, pokój Caesara Augusta, posiadającego już wszystkie wieńce zwycięstw. Nad

Berlinem łopoczą białe – kolor zgody i pojednania – flagi olimpijskie. Nad Berlinem w czasie Olimpiady krążą eskadry bombowców. To jest streszczenie niemieckiego pokuju... Wieniec dębowy dla olimpijskiego zwycięzcy – Führera. To jest streszczenie współczesnych Niemiec”.

Przed wojną Broncel był także krytykiem teatralnym „Wieczoru Warszawskiego” i „Gońca Warszawskiego”. Współpracował również z „Rodziną Polską”, „ABC” i „Zwierciadłem”. W latach 1938–1939 kierował działem literackim pisma „Kronika Polski i Świata”.

W 1938 r. w Polsce powstał film „Strachy”, będący adaptacją powieści autorstwa Marii Ukniewskiej pod tym samym tytułem. To opowieść o byłych aktorkach kabaretu, które po jego plajcie trafiają do nocnego klubu, gdzie jedna z nich zachodzi w ciążę i dokonuje aborcji, a potem popełnia samobójstwo.

Broncel, który widział, jak budowana jest niemiecka potęga i jak mobilizowana jest do walki tamtejsza młodzież, obawiał się, że podobne dzieła nie tworzą atmosfery pozwalającej Polsce obronić się przed agresją. Jego akcję w tej sprawie przypominał „Kwartalnik Filmowy” z 1997 r. (nr 18): „W lutym 1939 roku Józef Relidziński... zwołał na naradę przedstawicieli wszystkich środowiskowych organizacji i poświęcił ją tematyce polskich filmów. Stwierdził, iż filmy produkowane w Polsce w języku żydowskim oddają rzeczywistość żydowską w świetle właściwym, tj. ciepłym, i należałoby sobie życzyć, aby filmy polskie tę rzeczywistość polską co najmniej równie dobrze reprezentowały... W imieniu niezależnej krytyki filmowej głos zabrał Zdzisław Broncel – inicjator krucjaty przeciwko »Strachom« – który doszedł do wniosku, iż film w Polsce musi być z ducha polski i głęboko moralny, ponieważ obecnie należy dążyć do wychowania takiego typu obywatela, którego wymaga sytuacja kraju, który jest barierą między Niemcami a Rosją Sowiecką”.

► Bohaterski Hel

O tym, że jego obawy o słabość Polski nie były bynajmniej przesadą przekonać miał się niebawem. Bohaterską obronę Helu Broncel opisał we wzruszającym wierszu „2.X.1939”, który krąży dziś po Internecie kolportowany przez młodych patriotów:

*... A siedmiokrotnie niżli Holandia,
Czterykroć jak Serbia, dwakroć jak Grecja,
Dwakroć jak Belgia, jak Narvik, jak Kandia,
Tyleż co Francja,*

– i dłużej

*Zbrojny w czerwień i biel,
Umocniony honorem,
Bronił się polski piasek nadmorski*

– niż Singapore,

– Hel.

O końcu Polski, która potrafiła po rycersku przeciwstawić się wrogom, napisał w wierszu „Pożegnanie”:

*Dzwonią wierszem ostrogi nad mogiłą Wieniawy,
Malarz zamknął kostiumy w portretowej kasecie,
Klascząc mazur ostatni szwależerskiej zabawy,
Biała panna dłoń niesie ulanowi-poecie.*

*Nie rwij pięści ku niebu, nie lżyj włosów zsiwiałych,
Nie mąc ciszy pogrzebu i w goryczy, lecz klęknij;
Oto szarża z Rokitny, oto szarża z dni chwały,
Powtórzona w dniach klęski – dniem Warszawy
przeciętej.*

Po klęsce z września 1939 r. Broncel znalazł się w odanym przez Moskwę Litwinom Wilnie, gdzie współpracował z Teatrem Polskim na Pohulance i publikował teksty w „Kurierze Wileńskim”.

► Charkoche azjatyckie „ural”

Ale 15 czerwca 1940 r. Sowieci zajęli ponownie Wilno. Miesiąc później zaczęły się wywózki na Syberię. Prześladowania i deportacje objęły około 35 tys. mieszkańców Wileńszczyzny, głównie polskiego pochodzenia. Broncel został aresztowany przez władze sowieckie i zesłany do łagru na Uralu, w okolicach Świerdłowska. W wierszu „Ural” napisał o miejscu, w którym się znalazł:

*W mapie zielonych dolin o białych konturach
Leży brunatną wstęgą – krawędź Europy,
O którą kontynenty wsparły swoje stopy,
Wdeptyjąc miedź i węgiel w złotodajny Ural.*

*Nazwa, w której charkoche azjatyckie „ural”,
Okrywa Donbas cierpień, kędy strumień ropy
Tryska z ludzkiej gangreny i kędy jak snopy
Pospołu las i człowiek upadają w górach.*

Do najbardziej poruszających opisów niewoli „na nie-ludzkiej ziemi” należy wiersz „Msza święta w baraku”:

*O Boże, narodzony w więziennym barłogu,
Gdzie miast osła i wołu ludzie w gnoju leżą,
Gdzie nawet siana zbrakło przy świętym połogu.*

Nawet w tych warunkach pojawia się w poezji Broncla refleksja społeczna nad niesprawiedliwościami, które osłabiały II Rzeczpospolitą. Pisał w wierszu „Chleb”:

*Przed gorzką, czarną kromką schylmy nisko czoła
I, uderzywszy w piersi, przysiegajmy wtedy,
Że gdy po latach błędzeń, w drewnianych postolach*

*Wrócimy pielgrzymami do ojczyściej schedy
Naucz nas Sybiru krwią placoną szkoła
Wyorać z pól ugomych kamień polskiej biedy.*

► Książki odnalezione w kibucach

Z sowieckiego piekła wydostał się dzięki polsko-sowieckiej umowie i powstaniu Armii Polskiej dowodzonej przez generała Władysława Andersa w 1942 r. Służył w 3 Brygadzie Strzelców Karpackich, przez Persję trafił do Ziemi Świętej. Pracował w Centrum Informacji Rządu RP i w Radiu.

Mirosław Supruniuk w artykule „Litania za poetę” w czasopiśmie „Archiwum Emigracji” pisał o jego dalszych losach: „Bardzo szybko znalazł się obok Broniewskiego i Wiktora Weintrauba w redakcji czasopisma »W drodze« (1943–1945) – wydawanego w Jerozolimie i finansowanego przez Rząd RP – zostając na koniec jego redaktorem naczelnym. Publikował też w »Orle Białym«, »Gazecie Polskiej« i »Ku wolnej Polsce«”.

To była gigantyczna praca na rzecz polskiego żołnierza i wygnańca, o której Broncel pisał w piśmie „W drodze” tak: „Dziś, po niespełna dwóch latach, Palestyna stanowi najważniejsze na emigracji centrum druków polskich. W hurtowej składnicy, kierowanej przez dr. Scharfa, skupiają się wydawnictwa Ministerstwa Oświaty i Wydawnictwa »W Drodze«, by następnie ruszyć w świat ku Anglii, Afryce, Indiom – niezadługo ku Nowej Zelandii i Meksykowi”.

Pisał, że wiele z wydawanych tam podręczników i lektur szkolnych zabierali ze sobą żołnierze, walczący na froncie włoskim. Ważną częścią jego pracy było poszukiwanie ocалonych przedwojennych wydań książek, by móc przedrukowywać je m.in. dla dorastającego pokolenia. „Znalezienie oryginałów wymagało... agentów jeżdżących po kibucach w poszukiwaniu polskich książek” – wspominał Broncel.

W Jerozolimie ukazała się w 1943 r. pierwsza poetycka książka Broncla „Łaska nocy”, zawierająca m.in. „Sonety uralskie” oraz „Litanię”. Publikował także w „Kurierze Polskim w Bagdadzie”.

► Angielski dżentelmen

Od 1947 r. mieszkał w Londynie. „Zamieszkał w Domu Pisarza, przy 312 Finchley Road, który stanowił w tamtych powojennych latach ośrodek nieoficjalnych dyskusji literackich i politycznych. W »Finchleyu« mieszkali wówczas Irena i Jan Bielatowiczowie, Lidia i Adam Ciołkoszowie, Bronisław Przyłuski, Tadeusz Nowakowski, Kazimierz Sowiński, Krystyna i Czesław Bednarczykowie, Krystyna i Gustaw Herling-Grudziński, Władław Zbyszewski, Tadeusz Sułkowski i wielu innych” – pisał Mirosław Supruniuk w „Archiwum Emigracji”.

Wspomniany Bednarczyk pisał: „Każdy z mieszkańców był na swój sposób ciekawy i oryginalny. I każdy troszeczkę śmieszny. Ale każdy szlachetny w globalnym ujęciu. Zdzisław Broncell [takiej pisowni nazwiska również używał – przyp. P.L.] np. wyróżniał się ubiorem w stylu angielskiego dżentelmena i pierwszy w Domu kupił sobie parasol”.

Przez kilka miesięcy był pracownikiem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, natomiast przez niemal dwa dziesięciolecia sekcji polskiej BBC (1952–1971). Pisał i reżyserował słuchowiska radiowe, prowadził też audycję „Przegląd kulturalny”. Jak wylicza Supruniuk, zrealizował tam „dziesiątki audycji literackich, wywiadów i rozmów oraz słuchowisk i adaptacji teatralnych”, w tym własne słuchowiska „Polonez”, „W imieniu króla”, „Ucieczka do Egiptu” oraz „Wół i osioł”.

Pisał do emigracyjnych czasopism, w tym londyńskich „Wiadomości” i paryskiej „Kultury”, której redaktora Jerzego Giedroycia poznał w czasie wojny, prawdopodobnie w Palestynie.

► Istoty nieme i głuche

23 sierpnia 1953 r. na czołówce londyńskich „Wiadomości” ukazał się chyba najważniejszy publicystyczny tekst Broncella „Zmowa obecnych”. Dotyczył on haniebnego zjazdu PEN Clubów, międzynarodowego stowarzyszenia pisarzy.

Broncell pokazał zahamowania intelektualistów przed potępieniem... komunistycznej cenzury. Opisywał ów kuriozalny kongres: „System dziesięciominutowych monologów nie pozwalał na dyskusję i stworzył metodę przemawiania do istot niemych, a może nawet i głuchych. Swoiście stosowana zasada „apolityczności” literackich obrad sprawiała, że w Dublinie bieg historii zatrzymywał się pocziwie, ilekroć to było wygodne”.

Z pasją pisał o ślepotcie pisarzy: „Od świata oddzielała zjazd matowa szyba, za którą ulicami Dublina przeciągał pochód bezrobotnych, w Berlinie zbliżało się powstanie robotnicze, a gdzieś daleko pakowano właśnie do więzienia redaktorów ostatniego stosunkowo niezależnego tygodnika za Żelazną Kurtyną. Pod narkozą uwielbienia dla sztuki czystej, wolnej i nie interesującej się życiem nie zauważano, że z listy stałych uczestników kongresów P.E.N. Clubów zniknęły nazwy kilkusetu narodów”.

Kpił z autocenzury pilnujących sowieckich interesów zachodnich literatów: „nawet formuła uchwały, oddającej hołd pisarzom – ofiarom walki o wolność myśli »na Wschodzie i na Zachodzie (à l’Est et à l’Ouest)«, wzbudziła zastrzeżenia. Demaskujące słowo »Wschód« naruszało tabu nietykalności”.

Ale mieszkając w Londynie, Broncell był mocno związany z paryską „Kulturą”. I gdy w 1956 r. reprezen-

tujący twardszą postawę wobec komunizmu Londyn, mający przewagę w emigracyjnym związku pisarzy opowiedział się za tym, by nie publikowali oni w PRL, Broncell poparł przeciwnie stanowisko „Kultury”.

► Kolory biedy z barwą życia

Większość jego tekstów zarówno w „Wiadomościach”, jak i „Kulturze”, dotyczyła tematyki literackiej i kulturalnej, dominowały recenzje. „W dziesiątkach artykułów w prasie londyńskiej, w książkach zbiorowych pisywał o Mickiewiczu, Towiańskim, Wyspiańskim, Conradzie; jako tłumacz współpracował z amerykańskimi »Tematami« Pawła Mayewskiego, jako »młody« i niezależny myśliciel z londyńskimi »Kontynentami« i »Wiadomościami«. Był jednym z założycieli Klubu »Piątego Koła«, skupiającego literatów wyobcowanych z »głównego« środowiska literackiego, do którego należeli m.in.: pisarze – Zbigniew Grabowski, Bogumił Andrzejewski i Lew Sapieha, znakomity socjolog i współpracownik »Encountera« – Leopold Łabędź, malarze – Stanisław Frenkiel i Aleksander Werner i inni” – charakteryzował Supruniuk.

Pisał też rzeczy niezwiązane z Polską, traktujące o światowej sztuce, jak w wierszu „Chagall”:

*Zielony ptak po skrzypcach skacze
I kogut kwitnie na weselu,
Cztery uliczki w cztery strony
Tańczą w szabasu noc zadumy
Korń na biegunach z narzeczonym
Wyfruwa w świecach w słubne niebo,
Szczęśliwe suknie i welony
Dzieli się z gośćmi wspólną biedą.
Kolory śmierci, kolory biedy z barwą życia
Razem się wiążą i całują
I zakochani w sen wtuleni
Szukają szczęścia poza ziemią.*

W 1952 r. otrzymał nagrodę „Wiadomości” za najlepszy szkic literacki lub esej, a w 1954 r. nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za twórczość krytyczną.

Dożył prawie 90 lat. „Żył we własnych wspomnieniach i rzadkich męczących, lecz przez to bardziej wyciekanych, rozmowach ze starymi i nowymi przyjaciółmi, z których wielu dane mu było przeżyć, czekając na reedycję wydanych w 1943 roku wierszy. Ostatni raz wystąpił z własnym tekstem w książce zbiorowej poświęconej 50-leciu Biblioteki Polskiej w Londynie w 1995 roku; na udział w książce »Wiadomości« i okolice, dedykowanej pamięci Mieczysława Grydzewskiego, do której bardzo namawiałem, nie miał już sił...” – pisał Supruniuk. Broncell zmarł 7 grudnia 1998 r. w Londynie. ■



Dariusz Jarosiński



POZORNY TRIUMF POSTKOMUNY



W Polsce, niestety, wciąż pokutują stereotypy na temat żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych wyniesione z czasów komuny. Środowiskom lewicowym, liberalnym, dysponującym silnym aparatem propagandowym zależy na ustawicznym szerzeniu czarnej legendy NSZ. Żołnierze tej formacji nadal, jak w czasach Jakuba Prawina, Luny Brystigerowej, Stefana Michnika, są przedstawiani jako faszysti, antysemita, kolaboranci Niemiec.

Lewicowi i liberalni intelektualiści zakwestionowali prawo do nazwania lubelskiej ulicy imieniem Leonarda Szczęsnego Zub-Zdanowicza, cichociemnego, oficera Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, uhonorowanego Krzyżem Virtuti Militari za kampanię wrześniową 1939 r., Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Narodowego Czynu Zbrojnego z Mieczami II Klasy, odznaką spadochronową, czterema odznaczeniami europejskimi, Złotą Gwiazdą za Wojnę 1939–1945 (The Golden Star), medalem francuskim i Mieczami Hallerowskimi. Zub-Zdanowicz „Ząb” walczył w kampanii norweskiej, francuskiej, a po pobycie na Wyspach Brytyjskich został zrzucony w 1942 r. do kraju jako cichociemny. W czasie skoku doznał kontuzji i w związku z tym pozostawał długi czas w rezerwie organizacji dywersyjnej Armii Krajowej. Przebywał i leczony był na kwaterze Narodowych Sił Zbrojnych. W 1943 r. znużony bezczynnością zorganizował na Lubelszczyźnie oddział partyzancki, który podporządkował dowództwu NSZ. W 1944 r. otrzymał na Kielecczyźnie nominację na szefa sztabu Brygady Świętokrzyskiej NSZ, z którą związał swój los do końca wojny. Jak pisze jego biograf, prof. Marek Jan Chodakiewicz: „Mimo że Zub-Zdanowicz związał się organizacyjnie z Narodowymi Siłami Zbrojnymi właściwie przez przypadek, a ideologicznie nie miał z ich zapleczem politycznym nic wspólnego, zgadzał się on jednak z NSZ-owską taktyką walki konspiracyjnej”.

► Problem natury... pocztowej

W październiku ubiegłego roku wpłynął do lubelskiej Rady Miasta wniosek lokalnych organizacji: Okręgu Lubelskiego Związku Żołnierzy Narodowych

1. Leonard Zub-Zdanowicz „Ząb”, rotmistrz kawalerii Wojska Polskiego, major Narodowych Sił Zbrojnych

2. Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej NSZ

3. Generał Władysław Sikorski w ośrodku szkoleniowym cichociemnych w Audley End. W pierwszym szeregu po cywilnemu, drugi z prawej por. Leonard Zub-Zdanowicz „Dor”

Sił Zbrojnych, Fundacji i Stowarzyszenia im. Kazimierza Wielkiego, Grupy Rekonstrukcji Historycznej im. I Pułku Legii Nadwiślańskiej Ziemi Lubelskiej Narodowych Sił Zbrojnych, Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Akademickiego Klubu Myśli Społeczno-Politycznej „Vade Mecum”, Korporacji „Concordia” oraz Fundacji Amor Patriae o nadanie imienia Leonarda Zub-Zdanowicza ps. „Ząb” jednej z ulic. Dotychczas ulica ta nosiła imię Lucyny Herc (Hertz), komsomolskiej aktywistki.

Zespół do spraw Nazewnictwa Ulic i Placów Publicznych, który jest społecznym ciałem opiniodawczo-doradczym prezydenta Lublina, negatywnie rozpatrzył wniosek o nadanie ulicy imienia Zub-Zdanowicza (na siedem głosów jeden był za). Reprezentujący w owym Zespole Instytut Pamięci Narodowej historyk Maciej Sobieraj zagłosował wbrew opinii tegoż Instytutu. Uznał, że mjr Leonard Szczęśny Zub-Zdanowicz nie jest godzien, by jego imię nosiła lubelska ulica. Maciej Sobieraj zarzucił żołnierzowi sprzeniewierzenie się przysiędze, dezercję z Armii Krajowej i przejście pod rozkazy dowództwa Narodowych Sił Zbrojnych, które wedle opinii historyka nie walczyły o wolną i suwerenną Polskę, a były jedynie orężem partyjnym narodowców. Zdaniem Sobieraja Narodowe Siły Zbrojne były organizacją nielegalną, bo nie wchodziły wcześniej w skład Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. O poziomie merytorycznym komisji (a może humorystycznym) może świadczyć fakt, że jedna z członkiń zespołu, Henryka Jarosławska, stwierdziła, że nazwa ulicy będzie za długa, przez co ciężko będzie wypełniać pocztowe druki, zaś przewodnicząca Halina Danczowska uznała, że skoro Leonard Zub-Zdanowicz nie poniósł śmierci w walce i udało mu się – jak to określiła – „urządzić się”, to nie zasługuje na uhonorowanie. Takie mamy elity dużego miasta wojewódzkiego, ważnego w Polsce, jakim jest niewątpliwie Lublin. Za nadaniem ulicy imienia Zub-Zdanowicza głosował jedynie radny Prawa i Sprawiedliwości Stanisław Brzozowski.

Jak już wspominałem, Maciej Sobieraj reprezentował w Zespole Nazewnictwa Ulic i Placów Publicz-

nych nie siebie, a Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie. Jednak nie przedstawił merytorycznej opinii IPN, jednoznacznie pozytywnej, przygotowanej przez dr. Krzysztofa Tochmana, historyka rzeszowskiego Oddziału IPN, znawcę Narodowych Sił Zbrojnych, autora „Słownika biograficznego cichociemnych”, a wypowiedział własne zdanie. Niewątpliwie to jego opinia, historyka, miała największy wpływ na wynik głosowania. W wypowiedziach Sobieraja pobrzmiewa ton z czasów PRL i... III RP, że żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych nie są godni upamiętnienia, a każdy pretekst, nawet mało wiarygodny, by ich znieważać, jest dobry.

► W obronie Sobieraja, ale nie prawdy

W związku z zaistniałą sytuacją dyrektor Oddziału IPN w Lublinie, Dariusz Magier, poprosił Macieja Sobieraja o wyjaśnienia. Reprimenda dyrektora IPN została odebrana przez lewicowe środowiska intelektualne jako zamach na niezależność historyka – jak to podkreślają – z kombatancką przeszłością. W „Gazecie Wyborczej” i zaprzyjaźnionych mediach posyłały się teksty o cenzurze rodem z PRL, o ataku na zasłużonego naukowca. Tytuły grzmiały: „IPN wyrzuca historyka za »żołnierza wykletego«”, „Historyk przedstawił krytyczne dokumenty o jednym z żołnierzy wykletego. Teraz IPN chce go zwolnić”, „Naukowcy w obronie Macieja Sobieraja. IPN się ugnie?”, „Naukowcy bronią historyka IPN przed zwolnieniem z pracy. Praktyki z okresu PRL”. Rozpętała się kampania oszczerstw wobec oficera AK i NSZ.

Obroncy rzekomo represjonowanego historyka głusi byli na wszelkie sprostowania, wyjaśnienia, choćby takie, jakie zostały zaprezentowane przez Okręg Lubelskiego Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Lewicowi intelektualiści napisali list: „Ze zdumieniem i oburzeniem przyjęliśmy doniesienia o planach zwolnienia z pracy w Instytucie Pamięci Narodowej pana Macieja Sobieraja. Jest on absolwentem historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ma w życiorysie piękną kartę opozycyjną sięgającą lat siedemdziesiątych. [...] Jest rzetelnym historykiem, pracownikiem IPN od początku istnienia tej instytucji, autorem ponad 20 publikacji naukowych. Człowiekiem wielkiej prawości i odwagi, co znalazło wyraz w jego pracach.

Przyczyną zwolnienia jest jego sprzeciw wobec nadania jednej z ulic Lublina imienia Leonarda Zub-Zdanowicza. Leonard Zub-Zdanowicz jest postacią wysoce kontrowersyjną. Ten niewątpliwie odważny żołnierz, cichociemny, przeszedł na własną rękę z będącej częścią Wojska Polskiego Armii

Krajowej do nieuznających Armii Krajowej i władz Polskiego Państwa Podziemnego Narodowych Sił Zbrojnych – Związku Jaszczurczego, co zgodnie z prawem zostało uznane za dezercję. Część NSZ, z którą się związał, konsekwentnie pozostawała wroga wobec Polskiego Państwa Podziemnego i nie była uznawana przez rząd polski na uchodźstwie. Oddział Leonarda Zub-Zdanowicza dokonał egzekucji członków Gwardii Ludowej pod Borowem 9 sierpnia 1943 r., co zostało jednoznacznie potępione przez Komendanta Armii Krajowej gen. Tadeusza Bór-Komorowskiego, organ prasowy AK »Biuletyn Informacyjny«. Jako jeden z dowódców Brygady Świętokrzyskiej podjął w grudniu 1944 r. współpracę z Niemcami, a następnie z Brygadą Świętokrzyską, wraz z oddziałami Wehrmachtu, opuścił Polskę i przedostał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Sprzeciw pana Macieja Sobieraja nie był więc bezpodstawny.

Nawet jeśli krytyka wyrażona przez pana Sobieraja dotyczyłaby osoby mniej kontrowersyjnej, to ingerencja w wolność wypowiedzi naukowca jest niedopuszczalna. Nie do przyjęcia są zarówno podawane powody zwolnienia (»utrata zaufania kierownictwa«), jak i działania formalne podjęte wobec p. Sobieraja przez jego zwierzchników. Próba cenzurowania wypowiedzi naukowca narusza wartość podstawową, jaką jest autonomia nauki. Wszystko to przypomina najgorsze praktyki z okresu PRL.

Wyrażamy też głębokie zaniepokojenie zaistniałą w Instytucie Pamięci Narodowej sytuacją. Przypomnijmy, że IPN powstał jako instytucja apolityczna, mająca za zadanie prowadzenie badań naukowych dotyczących najnowszej historii Polski i edukację historyczną z prawdziwego zdarzenia. Działania takie jak zwolnienie Macieja Sobieraja nie mają z tak rozumianą misją nic wspólnego i przyczyniają się do niszczenia wieloletniego dorobku tej instytucji”.

List jest przykładem manipulacji – odwracania znaczeń i sensów zdarzeń. Mamy do czynienia z zabiegiem wziętym z antyutopii „Rok 1984” George’a Orwella. Choć to Maciej Sobieraj postąpił nieetycznie, złamał ustalenia IPN, instytucji, w której pracuje, to został wyniesiony do roli niezłomnego bohatera, kierownictwu IPN dostało się zaś „za niszczenie wieloletniego dorobku”. Przykro to pisać, ale podpisujący się pod listem mentalnie nadal żyją w PRL. Profesor Tomasz Panfil z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego nazwał list „haniebnym”: „Ci, którzy go podpisali, stanęli w jednym szeregu z historykami okresu stalinowskiego. W tym liście jest stwierdzenie, że Brygada Świętokrzyska współpracowała

z Niemcami. Jest to stwierdzenie z okresu stalinowskiego, formułowane przez ubeków na etatach historyków. [...] Z AK do NSZ przeszło kilka tysięcy żołnierzy. W NSZ mogli być komunistów, czego zabraniano w AK. [...] Pan Sobieraj naraził na szwank autorytet instytucji, której ludzie ufają, a instytucja wypowiedziała się jednoznacznie: tak, major Zub-Zdanowicz godzien jest tego, by mieć w Lublinie swoją ulicę" (Radio Lublin).

List „w obronie Macieja Sobieraja” podpisało 150 przedstawicieli świata nauki, duchowieństwa. Są to m.in. ks. prof. Andrzej Szostek, etyk, MIC, rektor KUL w latach 1998–2004; prof. Antoni Dudek, politolog; prof. Klaus Bachmann, dziennikarz i publicysta; ks. prof. Alfred Wierzbicki, filozof, etyk; prof. Jan Grabowski, historyk; prof. Andrzej Żbikowski, historyk; prof. Przemysław Czapliński, literaturoznawca; dominikanin o. Ludwik Wiśniewski, działacz opozycji antykomunistycznej; dr hab. Rafał Wnuk, prof. KUL; prof. dr hab. Grzegorz Motyka, ISP PAN; dr Władysław Bułhak, historyk; o. Tomasz Dostatni OP; prof. Barbara Engelking, IFIS PAN; prof. dr hab. Andrzej Friszke, ISP PAN; prof. dr hab. Paweł Machcewicz, ISP PAN; prof. dr hab. Andrzej Paczkowski, ISP PAN; dr Andrzej Zawistowski SGH; dr Sławomir Poleśzak, historyk; dr Łukasz Kamiński, Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, były prezes IPN. Swoją „wyraz oburzenia” dał też wicemarszałek Senatu Bogdan Borusewicz w liście do prezesa IPN.

Gdzie byli ci obrońcy niezależności badań historycznych, kiedy rzeczywiście kneblowano usta historykom, choćby z powodu ujawniania dokumentów wytworzonych przez SB na temat Lecha Wałęsy TW „Bolek”?

► Odpowiedź na oszczerstwa

Środowiska patriotyczne, niepodległościowe nie mogły nie zareagować na przedstawione powyżej oszczerstwa. Prawie 150 osób podpisało list w obronie prawdy historycznej i dobrego imienia Leonarda Zub-Zdanowicza. Czytamy w nim m.in. „Nie jest prawdą, jakoby Leonard Zub-Zdanowicz dokonał dezercji. Dezercja to uchylenie się od służby wojskowej i walki, np. ucieczka z wojska. Leonard Zub-Zdanowicz nie uchylił się od służby wojskowej ani tym bardziej nie uciekał z wojska. Przypomnijmy, że przez kilka miesięcy po zrzucie pozostawał poza przydziałem wojskowym. To struktury AK przekazały kontuzjowanego »Zęba« placówkom NSZ z prośbą o przechowanie do czasu wyleczenia. Czy mogłyby to zrobić, gdyby faktycznie, jak twierdzą sygnatariusze listu, NSZ pozostawał wrogi wobec Polskiego Państwa Podziemnego? Po przejściu do NSZ, »Ząb« utrzy-

mywał kontakty i przeprowadzał wspólne akcje z oddziałami AK. [...] Należy pamiętać, co zostało przez inicjatorów listu przemilczane, że po zakończeniu działań zbrojnych przez żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ Zub-Zdanowicz odmeldował się z Brygady i przystąpił do II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Z zarzutu dezercji w 1945 r. uwolnił go Sąd Honorowy przy II Korpusie Polskim. Następnie w 1949 r., po przeprowadzonym śledztwie przy Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia, Leonard Zub-Zdanowicz został całkowicie uwolniony z tego zarzutu. Ponadto pozytywnie zwerifikowano jego stopień wojskowy rotmistrza. 21 sierpnia 1957 r. gen. Anders mianował Zub-Zdanowicza majorem w Korpusie Oficerów Kawalerii WP. Trudno sobie wyobrazić sytuację, że gen. Anders odznacza byłego dezertera. Podkreślimy jeszcze raz, ponieważ przez lata komunizmu utrwalił się stereotyp, który część historyków ciągle powiela, Narodowe Siły Zbrojne nie były wrogię wobec Polskiego Państwa Podziemnego, a co więcej bardzo często współpracowały – szczególnie wywiad NSZ – ze strukturami AK, tak na odcinku antyniemieckim, jak i antykomunistycznym. Były czasami krytyczne, zwłaszcza wobec oficjalnych relacji z komunistami, ale nigdy wrogię. NSZ od samego początku uznawały Rząd Polski w Londynie. Władze NSZ, a wcześniej ZJ, odmawiały jedynie uznania wyłączności ZWZ/AK na reprezentowanie sił zbrojnych w konspiracji. Narodowe Siły Zbrojne, w tym także Brygada Świętokrzyska, zostały uznane przez najwyższe organy władzy Państwa Polskiego, czego dowodem jest Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Kazimierza Sabbata z dnia 1 stycznia 1988 r. o żołnierzach Narodowych Sił Zbrojnych. [...] Prawdą jest, że oddział NSZ pod dowództwem »Zęba« dokonał egzekucji dwudziestu kilku członków GL im. J. Kilińskiego. Był to jeden z elementów zwalczania grup rabunkowych, które wówczas działały na Lubelszczyźnie, przynosząc niepowetowane straty ludności cywilnej. Działania przeciw takim grupom praktykowały także oddziały AK i Batalionów Chłopskich. Przypominamy autorom listu, że jeszcze w lipcu 1943 r. Komendant Główny AK wydał »Instrukcję dotyczącą zapewnienia bezpieczeństwa terenowego«.

[...] Nie jest oczywiście tajemnicą, że Niemcy wiedzieli o obecności Brygady, jak i próbowali ją bezskutecznie zmusić do wspólnej walki z Sowietami. Nigdy jednak do żadnej współpracy militarnej nie doszło, o czym historycy zajmujący się tym tematem doskonale wiedzą. Brygada Świętokrzyska NSZ nie mając złudzeń co do Sowietów wprowadziła w życie milczący pakt nieatakowania się z Wehrmachtem, który potem wypowiedziała, czego dowodem jest

m.in. wyzwolenie niemieckiego obozu koncentracyjnego w czeskim Holiszowie, o czym milczą sygnariusze listu.

Nie jest także prawdą, jakoby Brygada Świętokrzyska wraz z Leonardem Zub-Zdanowiczem wycofywała się wraz z oddziałami Wehrmachtu. Na potwierdzenie takich słów wystarczy podać numery tych jednostek wojsk niemieckich. Nic takiego autorzy nie zrobili i zrobić nie mogą.

Ukrycie tych faktów przez grono uczonych w tym kontekście jest rzeczą niedopuszczalną i etycznie naganną. Należy uzupełnić, iż postanowieniem z 20 sierpnia 2009 r. za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej Leonard Zub-Zdanowicz został przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

List podpisali m.in. członkowie rodziny Leonarda Zub-Zdanowicza, członkowie rodziny Poray-Wybranowskich, gen. bryg. Jan Podhorski „Żygzak”, oficerowie i żołnierze AK, NSZ, WiN, mjr Marian Pawełczak „Morwa”, żołnierz Armii Krajowej oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość: kpt. Władysław Foksa „Rodynek”, żołnierz NSZ: kpt. Mieczysław Gronek „Kowboj”, żołnierz oddziału NSZ, a także prof. Marek Jan Chodakiewicz, prof. Jan Żaryn, prof. Sławomir Cenckiewicz, dr hab. Tomasz Panfil, Tadeusz Płuzański, Leszek Żebrowski, dr hab. Selim Chazbijewicz, dr hab. Krzysztof Kaczmarek, dr hab. Tadeusz Rutkowski, dr hab. Krzysztof Sychowicz, dr Mariusz Bechta, dr Jerzy Bukowski, dr Rafał Dobrowolski, dr Lucyna Kulińska, dr Rafał Łatka, dr Wojciech Muszyński, dr Krzysztof Tochman, Krzysztof Bzdyl, Marek Franczak, Piotr Hlebowski, Adam Kalita, Michał Ostapiuk, dr hab. Piotr Kardela, dr Paweł Warot, dr Karol Sacewicz.

► Nie poddali się nikomu

W Polsce, niestety, ciągle pokutują stereotypy na temat żołnierzy NSZ wyniesione z czasów komuny. Środowiskom lewicowym, liberalnym, choćby tym związanym z „Gazetą Wyborczą”, dysponującym silnym aparatem propagandowym, zależy na ustawicznym szerzeniu czarnej legendy NSZ. Żołnierze tej formacji nadal, jak w czasach Jakuba Prawina, Luny Brystigerowej, Stefana Michnika, są przedstawiani jako faszysty, antysemita, kolaboranci Niemiec.

Na szczęście w ostatnich latach ukazało się na rynku księgarskim wiele solidnie opracowanych publikacji na temat NSZ, odkłamujących dzieje tej formacji, m.in. autorstwa Leszka Żebrowskiego, a ostatnio Michała Gniadka-Zielińskiego „Narodowe Siły Zbrojne 1942–1947”. Podstawową lekturą pozostaje

nadal książka historyka mieszkającego w Stanach Zjednoczonych, prof. Marka Jana Chodakiewicza pt. „Narodowe Siły Zbrojne. »Ząb« przeciw dwu wrogom”, której uzupełnione i poszerzone wydanie ukazało się w 2005 r. nakładem Frondy.

Losy Brygady Świętokrzyskiej, największego związku taktycznego NSZ, są fascynujące. Znakomicie wykorzystala tę historię Elżbieta Cherezińska i napisała powieść „Legion”. Na okładce książki znalazło się zdanie: „Powieść o tych, którzy nie poddali się nikomu”. „Legion” to niemal gotowy scenariusz filmowy. Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej zasłynęli m.in. oswobodzeniem zaminowanego i gotowego do spalenia obozu koncentracyjnego dla kobiet w Holiszowie w Czechach. Przebywały tam Polki, Żydówki, Francuzki. Kobiety, nie mając jak się odwdziżyć swoim oswobodzicielom, podarowały im serduszką uszyte z pasiaków. Później żołnierze opowiadali, że były to ich najwyższe odznaczenia – bo tak było w istocie. Na inne nie mogli liczyć.

Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej mieli dużo szczęścia, że trafili w Niemczech do amerykańskiej strefy okupacyjnej, a nie do brytyjskiej. Przecież mógł ich spotkać taki sam los, jak Kozaków dońskich walczących w czasie wojny z Sowietami, wydanych na Zachodzie przez Anglików na śmierć enkawudziom. Powieść Józefa Mackiewicza „Kontra” opisuje dramat Kozaków i cynizm Anglików. W amerykańskiej strefie okupacyjnej nasi żołnierze trafili pod skrzydła George’a Pattona, najwybitniejszego amerykańskiego generała czasu II wojny światowej, bezkompromisowego antykomunistę.

General Patton wygłosił pamiętną mowę na konferencji prasowej 8 maja 1945 r.: [...] Wygraliśmy tylko szereg bitew, nie wojnę o pokój. [...] Będziemy potrzebowali nieustającej pomocy Wszechmogącego, jeśli mamy żyć na jednym świecie ze Stalinem i jego morderczymi zbirami. [...] Po raz pierwszy od stuleci pozwoliliśmy siłom Czangis-chana wejść do Europy Środkowej i Zachodniej. [...] W naszych czasach nie będzie pokoju, a Amerykanie, także ci, którzy się dopiero urodzą, będą musieli walczyć z Rosjanami jutro albo za piętnaście czy dwadzieścia lat. [...] Dzisiaj powinniśmy powiedzieć Rosjanom, że mają iść w cholerę, zamiast ich słuchać, kiedy nam mówią, że mamy się cofnąć. To my powinniśmy im mówić, że jeśli im się nie podoba, niech idą w pi***, i wydać im wojnę. Pokonaliśmy jednego wroga ludzkości, ale umocniliśmy drugiego, znacznie gorszego, w którym jest więcej zła i zjadłości niż w pierwszym. [...] Niestety, niektórzy z naszych przywódców są po prostu cholernymi durkami i nie mają pojęcia o historii Rosji”. Kilka dni później, 11 maja, w Paryżu, mówił, że czułby się jak zdrajca, gdyby nie poszedł ze

swoją ukochaną 3 Armia na wschód wyzwalać spod okupacji bolszewickiej kraje Europy Środkowej i Wschodniej. George Patton bardzo szanował żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ, wspólnie z nimi wziął do niewoli sztab XIII Armii niemieckiej. Spędził dużo czasu na rozmowach z jej dowódcami. Do polskich żołnierzy zwrócił się słowami: „Na Boga, powinniśmy podrzeć te cholerne, podle porozumienia z Sowietami i ruszyć prosto na wschodnie granice”. Na wiecznym ucieszeniu generała zależało zarówno Amerykanom, jak i Sowietom. Udało mu się wyjść cało z kilku zamachów. Zamachu w grudniu 1945 r. – sfingowanego wypadku drogowego – nie przeżył. Najprawdopodobniej Robert Thompson, kierowca ciężarówki, z którą zderzył się samochód Pattona, był agentem NKWD. Generał zmarł 21 grudnia 1945 r. w szpitalu w Heidelbergu.

► Wolny Orzeł

Na początku 1952 r. Leonard Zub-Zdanowicz wyjechał z Europy do Stanów Zjednoczonych. Tutaj ożenił się z Marią Poray-Wybranowską, sanitariuszką w 1 Pułku Legii Nadwiślańskiej NSZ ps. „Fala”. Pracował jako inżynier w zakładach metalowych w Waterbury w stanie Connecticut. Żył ciągle sprawami Polski. Działal aktywnie w organizacjach polonijnych, organizował w latach 50. Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, którego kołu w Waterbury prezesował. Od 1976 r. działał w Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich, organie doradczym Kongresu Polonii Amerykańskiej. Wspierał polskie organizacje niepodległościowe, antykomunistyczne w kraju – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, „Solidarność”. Zabiegał o pomoc finansową dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którego był absolwentem, magistrem prawa.

W 1967 r. Leonard Zub-Zdanowicz stanął na czele antykomunistycznej organizacji „Wolne Orły” założonej przez byłych żołnierzy AK i NSZ Józefa Kleszczyńskiego, Gabriela Piotrowskiego, Ernesta Bijowskiego. Symbolem „Wolnych Orłów” był Orzeł Biały w koronie z łańcuchem i kulą u nogi. Organizacja wydawała biuletyn pt. „Ku Wolności”, którego głównymi adresatami byli młodzi Polacy mieszkający na obczyźnie. Bliskim współpracownikiem Leonarda Zub-Zdanowicza był w owym czasie Andrzej Beck, syn przedwojennego ministra spraw zagranicznych. W wywiadzie udzielonym w 2013 r. Józef Kleszczyński mówił m.in.: „przedstawiciele »Wolnych Orłów« byli członkami indywidualnymi Kongresu Polonii Amerykańskiej, działając w nim, starali się utrzymać w jego mocy tradycyjny charakter o nieuznawaniu legalności władzy w Polsce Lu-

dowej. [...] przy współpracy takich niezłomnych liderów politycznych, jak Stanisław Gierat, prof. Lerski czy prof. Andrzej Ehrenkreutz udało nam się przeforować mocne postulaty i deklaracje w obronie zniewolonej Ojczyzny”.

Członkowie „Wolnych Orłów” zakładali imprezy organizowane przez władze, konsulat PRL. Protestowali przeciw pacyfistycznym, prokomunistycznym nastrojom w Ameryce w czasie wojny w Wietnamie. Uczestniczyli zarówno w manifestacjach, wydarzeniach publicznych organizowanych przez miejscowe władze amerykańskie, jak i samodzielnie. „Wolne Orły” były bez wątpienia najbardziej bezkompromisową grupą antykomunistyczną wśród polonijnych działaczy.

Jak ustalił dr hab. Piotr Kardela, „Wolne Orły” miały również tajne skrzydło, którego członkowie planowali wykonanie na początku 1971 r. (po masakrze robotników na Wybrzeżu w Grudniu 1970 r.) różnych akcji o charakterze zbrojnym, m.in. porwanie peerelowskiego konsula i wysunięcie wobec rządu w Warszawie odpowiednich żądań politycznych, uszkodzenie gmachu Konsulatu PRL w Waszyngtonie, a nawet porwanie statku „Stefan Batory”. Żadna z akcji nie doszła do skutku. Jak twierdził Józef Kleszczyński, były żołnierz AK ps. „Młodzik”, wskutek „prowokacji i fałszywych donosów do władz policyjnych” doszło do aresztowań członków organizacji przez FBI. Spośród zatrzymanych tylko jedna osoba stanęła przed sądem i dostała wyrok w zawieszeniu. Warto wspomnieć, że w czasie aresztowań FBI znalazło karabin maszynowy, pistolety maszynowe, ręczne granaty oraz 18 skrzynek dynamitu.

Leonard Zub-Zdanowicz zmarł 12 sierpnia 1982 r. Pochowany został na Cmentarzu Polskich Weteranów w amerykańskiej Częstochowie w Doylestown w stanie Pensylwania.

Tym wszystkim uczynom, intelektualistom, osobom duchownym miotającym oszczerstwa pod adresem Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba”, bohaterskiego żołnierza, wielkiego polskiego patrioty, sprzeciwiającym się jego uczczeniu, chciałbym zadedykować jego wypowiedź: „Myślę, że jednakową wartość dla Ojczyzny ma krew dla Niej przelana, czy to Żołnierza PSZ na Zachodzie, czy Wrześniowca, czy Akowca, czy NSZ-owca, czy Bechowca, czy WRN-owca, czy Berlingowca (z wyłączeniem tych Berlingowców, którzy szczerze stanęli po stronie Rosji i podczas obław nie strzelali w powietrze, lecz prosto w naszych braci), czy ponad sto tysięcy nieuznawanych przez nikogo żołnierzy antykomunistycznego podziemia z lat 1945–1956” (Lesław Jurewicz, „Zbrodnia czy początek wojny domowej”, Londyn 1980).

Magdalena Złotnicka



Sasza, czyli przypadki pewnego profesora



**Aleksander
Bardini miał dość
ekscentryczne
podejście
do scenografii
i charakteryzacji,
a gdy coś nie
zgadzało się z jego
wizją, potrafił
„naprawiać”
rzeczywistość.
Gdy podczas
prób do „Elektry”
jego wątpliwości
wzbudziła peruka
primadonny
grającej rolę
tytułową,
bezceremonialnie
rozkudłał
kunsztownie
ufryzowane
anglezy.
A następnie wcisnął
śpiewacze perukę
na głowę... tyłem do
przodu.**

Historię z awanturą o perukę wspomina scenograf Aleksander Kreutz Majewski w wywiadzie udzielonym Barbarze Ostreloff, a opublikowanym w „Teatrze” w 1995 r. Ja znalazłam ten wywiad w poświęconym Bardiniemu podwójnym numerze „Pamiętnika teatralnego” z 2010 r., w którym ukazała się także – sporządzona przez Marię Dworakowską – „Kronika życia i działalności” Bardiniego. Co ciekawe, „Pamiętnik Teatralny” to jedno z nielicznych źródeł informacji tak wiele miejsca poświęcających Bardiniemu. O tym aktorze i reżyserze pisze się mało, chociaż wychował całe pokolenie aktorów, reżyserów i szeroko rozumianych „ludzi teatru”.

Dzieciństwo Bardiniego – czy też Bardyniego, bo tak do 1932 r. pisał swoje nazwisko – związane było z miastem filmu i sztuki, jakim bez wątpienia jest Łódź. Tam właśnie 17 listopada 1913 r. przyszedł na świat jako pierworodny syn Marii Grad i jej męża Josefa Bardyniego. Jak podaje Dworakowska, państwo Bardyni mieszkali w centrum miasta, przy ulicy Zielonej. Ojciec prowadził jadłodajnię. W 1917 r. parze urodziła się jeszcze córka Irena.

Młody Aleksander od dziecka interesował się sprawami artystycznymi. Jak napisze w krótkiej autobiografii (tekścik również odnalazłam w „Pamiętniku Teatralnym”), takie zainteresowania wykazywał już w latach gimnazjalnych. Chodził do Gimnazjum Towarzystwa Krzewienia Oświaty im. ks. Skorupki, dobrej szkoły mogącej pochwalić się m.in. pokazną biblioteką. Tam też uzyskał maturę. „Postanowiłem poświęcić się karierze artystycznej i wybrałem teatr. Ponieważ lata 1930–1932 już były w domu materialnie złe, dorabiałem sobie korepetycjami w szkole i uczeniem gry na skrzypcach” – pisał.

Czy jednak faktycznie teatr był jego własnym wyborem? W tekście „20 lat bez profesora”, zamieszczonym w „Życiu na gorąco” z 20 sierpnia 2015 r., można znaleźć informację, że młody Olek myślał raczej o dyrygenturze, jednak ojciec nalegał, by został skrzypkiem. „Z domu przy ul. Zielonej 6 w Łodzi, gdzie zajmowali całe I piętro, na parterze była restauracja ojca, do Filharmonii przy Narutowicza było blisko. Aleksander grał w kwartecie smyczkowym Żydowskiego Stowarzyszenia Muzycznego Hazo-mir. I kabarecie Ararat” – czytamy.

Z kolei wspomniany już Majewski podaje, że karierę skrzypka przekreśliło złamanie w dzieciństwie środkowego palca u ręki. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, rozwój wypadków wyszedł na dobre polskiemu teatrowi.

► Jak nie zostać dentystą

Droga do szkoły aktorskiej nie była jednak wcale oczywista. Bardini senior chciał bowiem, by jego pier-

worodny został dentystą. Jak opowiadał sam reżyser (we „Wspomnieniu o Zelwerowiczu” opublikowanym w 1995 r. także przez „Pamiętnik Teatralny”), jego ojciec szukał kogoś, kto mógłby przygotować syna do ewentualnego egzaminu. I znalazł. Okazało się bowiem, że teść kuzyna Bardinich siedział w jednej celi z profesorem dentystryki. I właśnie do owego ekswieńnia dentysty miał się udać młody Bardini. Dodajmy, że profesor mieszkał przy ul. Kopernika w Warszawie. Młody pojechał więc do stolicy, tyle że trafił kawalek dalej: na Okólnik do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. I tam, w tajemnicy przed rodzicami, przystąpił do egzaminu. Jednak kiedy wywieszono listę dopuszczonych do sprawdzianu ruchowego – czyli, mówiąc wprost, tych, którzy załapali się na następny etap – Bardiniego na niej nie było. Zaczął więc smętnie schodzić po schodach gmachu, gdy nagle przywołano go z powrotem. „Dziwna rzecz: wtedy byłem dość szczupłym człowiekiem, ale Zelwer [Aleksander Zelwerowicz – przyp. M.Z.] miał jakieś wahania, ponieważ sam był tuszy nie-małej, miał podejrzenia, czy moja tusza mi nie przeszkodzi. Nagle polecił mi, żebym dwa razy przebiegł

spędził jeden sezon, w kwietniu 1936 r. powrócił do stolicy. Niedługo później, we wrześniu, wstąpił na Wydział Sztuki Reżyserskiej PIST-u. Tam sam Leon Schiller doszedł do wniosku, że początkujący aktor jest świetnym materiałem na reżysera. Dworakowska przytacza tekst Bardiniego „Czuję się dłużnikiem Schillera”, napisany z okazji 100. rocznicy urodzin reżysera. Autor wspomina w nim, że kiedy miał zaledwie 22 lata, Schiller mianował go swoim asystentem przy realizacji „Fieska” (drugim asystentem był Erwin Axer). W tej roli Bardini miał zająć się rozwiązaniem scen zbiorowych z udziałem genueńskiego tłumu, roz-pisać statystom role na głosy, zaplanować całość. „Tylko do tego trzeba pamiętać, jeszcze, kim byli ówczesni statysci. A więc trochę studentów, trochę bezrobotnych, a także różne podejrzane typy, gracze na wyścigach, półstali statysci i paru takich, co to lepiej wieczorem nie spotykać na ulicy. A naprzeciw nich – dwudziestodwuletni chłopak, który im mówi, co mają robić” – opisywał nieco upiorne wspomnienie. Zaznacza również, że Schiller pomógł mu także w ten sposób, że załatwił mu pracę w korekcie kwartalnika

„POSTANOWIŁEM POŚWIĘCIĆ SIĘ KARIERZE ARTYSTYCZNEJ I WYBRAŁEM TEATR. PONIEWAŻ LATA 1930–1932 JUŻ BYŁY W DOMU MATERIALNIE ZŁE, DORABIAŁEM SOBIE KOREPETYCJAMI W SZKOLE I UCZENIEM GRY NA SKRZYPCACH” – PISAŁ.

scenę po przekątnej. Do dziś nie jestem w stanie zrozumieć, jak to zrobiłem. Może dlatego, że czułem, że walczę o życie. No i potem pełne szczęście: zostałem przyjęty do szkoły” – pisał Bardini. W czasach studiów jeździł wraz z Zelwerowiczem i grupą studentów na wycieczki zagraniczne, zwiedził m.in. prawie całe Włochy. Szkołę ukończył w 1935 r.

Mimo że pierwsze przedstawienia, w których grał, zbierały dobre recenzje, Bardini nie mógł znaleźć zatrudnienia w stolicy. Ostatecznie więc zahaczył się w Wilnie, konkretnie – w Wileńskim Teatrze Objazdowym. „Teatr ten (utworzony w sezonie 1933/1934) subwencjonowany był przez województwo wileńskie i miał obowiązek docierania do najdalszych zakątków województwa” – pisze Dworakowska. Oczywiście nie-trudno się domyślić, że w objazdowym teatrze warunki pracy były jak w trupie wędrownych Cyganów: mikroskopijne garderoby albo w ogóle ich brak, więc aktorzy musieli się malować „na pamięć” w kieszonkowych lusterkach, małe sceny, małe których grający praktycznie włożyli sobie na plecy. No i – rzecz jasna – kokosów się nie zarabiało. Bardini w tej objazdówce

ZASP-u, czyli w „Scenie Polskiej”. Dzięki temu początkujący reżyser miał jak wiązać koniec z końcem.

► Niemcy czy Sowiet

W 1939 r. miał miejsce jego debiut reżyserski. Wraz z Leonią Jabłonkową wystawił komedię Jana Aleksandra Fredry „Piosnka wujaszka”. „Dokonują zmian w tekście i dobierają piosenki. Premiera odbywa się na scenie Teatru Letniego w Warszawie [...] W zapowiedziach prasowych podawano: »reżyseria zbiorowa słuchaczy III kursu PIST« – pisze Dworakowska.

W tym samym roku w Teatrze Narodowym wystawił „Althea” Felicjana Faleńskiego. Następnie Bardini – rekomendowany przez Schillera – zaangażował się do Teatru Lubelskiego, w którym dyrektorem był wówczas Janusz Strachocki. Niewiele potem, 1 września, wybuchła II wojna światowa. „W Lublinie zastała mnie wojna. Udałem się piechotą na wschód. Za Łuckiem spotkałem wojska radzieckie. Szukając ośrodka teatralnego, przenieśliem się do Lwowa. Tam zostałem zaangażowany do Państwowego Polskiego Teatru Drama-

tycznego (PPTD). W tym samym okresie byłem kierownikiem reżyserskim polskich audycji w Radio lwowskim – pisał sam Bardini w cytowanej już autobiografii.

Chyba właśnie wydarzenia lwowskie wywarły największy wpływ na życie, poglądy oraz na późniejszy stosunek Bardiniego do Polski Ludowej. Bo trzeba powiedzieć jasno: chociaż w zsovietyzowanym Lwowie nie działa się dobrze (w grudniu 1939 r. NKWD aresztowało około 2 tys. zarejestrowanych oficerów Wojska Polskiego; osadzono ich w poklaskrotnym więzieniu przy ul. Kazimierzowskiej – tzw. Brygidkach, a następnie wywieziono w głąb Rosji), to Bardini, będąc z pochodzenia Żydem, mógł tam pracować i funkcjonować, a lęk przed sowieckim barbarzyństwem dzielił po równo z całym społeczeństwem. Sytuacja zmieniła się 22 czerwca 1941 r., kiedy do Lwowa wkroczyli Niemcy. Gestapo zaanektowało te same budynki, w których wcześniej swą władzę umacniali Sowietzi, i przygotowywało proces „oczyszczania” Lwowa z ludności żydowskiej: między 30 czerwca a 3 sierpnia w ramach tzw. akcji więziennej na ulicach i w więzieniach miasta straciło życie około 4 tys. Żydów, potem podczas tzw. Dni Petlury życie straciły kolejne 2 tys. przedstawicieli ludności żydowskiej. W pogromach, poza Niemcami, uczestniczyli także ukraińscy nacjonalisci.

Żydzi zaczęli mieć obowiązek noszenia specjalnych opasek z gwiazdą Dawida, powstała także specjalna dzielnica dla osób narodowości żydowskiej. Mieszkali tam rodzice Bardiniego, a on sam – jak podaje Dworakowska – przymusowo pracował w żydowskim szpitalu jako sanitariusz. Autorka „Kroniki...” przytacza także opowieść Bardiniego o tym, jak w dniu likwidacji szpitala pacjentów – nawet tych najbardziej chorych – krzykiem zmuszano do przeniesienia się do czekających na ulicy ciężarówek. Kiedy Bardini usiłował pomóc bezwładnemu choremu, jeden z niemieckich żołnierzy wymamrotał do niego: „Co tu jeszcze robisz, idioto?! Uciekaj i chowaj się!”.

Po likwidacji szpitala Bardini ukrywał się w domu państwa Aftanasow. Jedną z córek gospodarzy, Julia, niedługo później została jego żoną. Mniej szczęścia mieli rodzice Bardiniego. Jak podaje Dworakowska, ojciec zginął w listopadzie 1941 r. w ramach akcji „na starców”, zaś matka w sierpniu 1942 r. Wojny nie udało się przeżyć także Irenie. Ona, jej mąż Hersz Lev i ich dziecko stracili życie w 1943 r. w Grodnie. W lecie 1944 r. Niemców przegнали Sowietzi. Wówczas wznowił działalność Państwowy Polski Teatr Dramatyczny, a Bardini został kierownikiem powstałego przy nim Studia Dramatycznego. Podstawowym problemem był brak młodej kadry aktorskiej. Tak właśnie zaczęła się przygoda reżysera z nauczaniem młodych aktorów:

skoro ich nie było, to musiał sobie jakoś poradzić, nie jako sam ich „zrobić”.

► Pogrom kielecki i zagraniczna tułaczka

W kwietniu 1945 r. rozpoczęły się rozmowy w sprawie ewakuowania Państwowego Teatru Polskiego z Lwowa do Katowic. Jak pisze Dworakowska, aktorzy zabiegali o to, by przeniesienie miało charakter zespołowy (tzn. dotyczyło zarówno aktorów, jak i całego majątku teatru). Jeszcze we Lwowie, przed wyjazdem, Bardini wziął ślub ze wspomnianą wcześniej Julią Aftanasow. Tam też urodziła się ich córka Maria. Ze Lwowa przenieśli się – wraz z teatrem – do Katowic. I tu właśnie zastała go propozycja od Schillera, by poprowadził łódzki Teatr Wojska Polskiego. Reżyser się zgodził, jednak po pogromie kieleckim zdecydował się wraz z rodziną opuścić kraj. „Utrzymując w ciągu całego czasu mego wychodźstwa kontakt z krajem, wiedziałem już po moim wyjeździe, że wcześniej czy później wrócę. W Kanadzie pracowałem w firmie kuśnierskiej i krótko w fabryce lamp. Poza tym chorowałem tam bardzo wiele” – zanotował w cytowanej już autobiografii. Do kraju wrócił w 1950 r. Prawie od razu zainstalował się w Teatrze Polskim w Warszawie – nie bez znaczenia był fakt, że kierownikiem artystycznym był tam Leon Schiller – i podpisał umowę o pracę na stanowisku reżysera, wszedł także w skład kolegium reżyserskiego. Gdy Schillera odwołano, Bardini chciał także odejść, jednak mentor przekonał go, aby został.

► Jak z „Balladyny” zniknął piorun

Sztuki wystawiane przez Bardiniego bardzo często miały charakter propagandowy; tak było m.in. w przypadku „Próby sił”. „Czysta propaganda, jedna z serii sztuk obowiązkowo granych w całej Polsce” – pisze Dworakowska. Jeszcze ciekawiej wyglądało wystawienie w 1954 r. w Teatrze Nowej Warszawy „Balladyny” Juliusza Słowackiego. Dworakowska wspomina, że reżysera chwalono za odwagę, jakiej wymagało wykorzystanie bardzo młodego zespołu, a także za mistrzowskie ukazanie na scenie namiętnej żądy władzy, która trawi Balladynę. Nie to było jednak najbardziej intrygujące w całym przedstawieniu. Najwięcej kontrowersji wywołał fakt, że Bardini, najwyraźniej w wyniku socjalistycznej poprawności politycznej, zrezygnował z boskiej ingerencji, tzn. z pioruna, który w wielkim finale uśmierca główną bohaterkę. Zamiast tego Balladyna umarła w wyniku ataku serca.

Zmiana była dyskutowana nawet na sesji Rady Kultury. Dworakowska przytacza przemówienie, które w tej sprawie wygłosił B. Korzeniewski: „Mówię o »Balladynie« i nagle umilkłym piorunie dlatego, że jest to

równocześnie jedno z najistotniejszych zagadnień »Dziadów«. Głosy z prawej i z lewej strony w »Dziadach«, Imaginacja w »Kordianie« są taką samą metaforą jak piorun w »Balladynie«.

Ponadto Bardini wyreżyserował dramat Leona Kruczkowskiego »Juliusz i Ethel«. To sztuka dotycząca sprawy Rosenbergów (małżeństwa uznanego za komunistycznych szpiegów i skazanego na śmierć. Co do tego, czy Rosenbergowie faktycznie byli szpiegami, do dziś nie ma zgodności wśród historyków). Z oczywistych przyczyn w Polsce Ludowej sztuka poświęcona Rosenbergom i przedstawiająca ich w pozytywnym świetle musiała spodobać się zwłaszcza władzom. Chociaż wiele wskazuje na to, że Mikołajska, grając Ethel, traktowała tę rolę przede wszystkim jako opowieść uniwersalną, dotyczącą praw człowieka, to jednak udział w sztuce miał swoje konsekwencje. Joanna Krakowska w obszernej biografii aktorki, zatytułowanej »Mikołajska. Teatr i PRL«, przytacza słowa Aleksandra Wata, który w »Moim wieku« wspominał, jak w dniu premiery pijany Władysław Broniewski po pierwszym akcie wrzasnął: »Tutaj ze szpiegów robi się bohaterów (...) a ja siedziałem na Łubiance i nikt ze mnie nie robi tu bohatera«. Biografka cytuje także fragment »Notatek« ministra kultury Włodzimierza Sokorskiego, który pisał: »Bierut tak się wzruszył, że zaprosił nas razem ze wszystkimi aktorami na przyjęcie do Belwederu«. 22 lipca 1954 r. Mikołajską odznaczono Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a rok później twórcom »Juliusza i Ethel« przyznano nagrody państwowe.

Warto zaznaczyć, że Bardini miał duże zasługi w przybliżeniu Polakom twórczości Bertolda Brechta. Znał się z nim zresztą osobiście, z jego współpracowniczką zaś, Käthe Rülicke, połączyło go wzajemne zauroczenie. »Gdybym poznała Cię tylko w ciągu jednego wieczoru w Bristolu, miałabym odwagę pisać do Ciebie długie miłosne listy przez cały rok. Nawet przez drugi, jeżeli widywałambyś się z Tobą czasem w restauracji, taksówce, na zakupach, na kawie, w pokoju hotelowym. A w trzecim roku postawiłabym wszystko na jedną kartę« – czytamy w liście Rülicke przytaczanym przez Dworakowską.

► »Dziady« przed 1968 rokiem

Mało kto dziś pamięta, że pierwsze powojenne wystawienie »Dziadów« Adama Mickiewicza zawdzięcza my właśnie Bardiniemu. Być może dlatego, że spektaklowi temu daleko było do buntowniczego przesłania »Dziadów« z 1968 r. Maja Łukowska-Luxenberg na łamach portalu Dzieje.pl w tekście z 27 marca 2015 r. zwraca uwagę, że »»Dziady« Bardiniemu miały być arką

przymierza między starym a nowym porządkiem – w rzeczywistości posłużyły za narzędzie sankcjonujące stanowisko chwiejącej się władzy«.

Sam Bardini także nie był zachwycony ostatecznym efektem swojej pracy. W jednym z listów pisał, że nie myśli o tym przedstawieniu wcale albo myśli z obrzydzeniem. »Nie można płacić taką walutą za wykonywanie zawodu, a jeśli tak, to człowiek jest śmieć«. Skąd nagle takie podejście? Powstaje pytanie, czy Bardinię po premierze ruszyło artystyczne sumienie i doszedł do wniosku, że wyjaławianie Mickiewicza po to, by władza nie miała zastrzeżeń i nie dopatrzyła się w tekście czegoś niewłaściwego, zwyczajnie się nie godzi. Istnieje także druga możliwość. W czasach, kiedy »Dziady« były planowane, w Polsce panowała jeszcze atmosfera ostrożności, a próby przedstawienia toczyły się pod czujnym okiem cenzury. Zaś wystawienie przedstawienia przypadło na czasy odwilży. Publiczność więc czegoś innego oczekiwała. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Bardini załamał się, gdy sztuka została skrytykowana. Dworakowska podaje wręcz, że załamał się psychicznie. Także w związku z przedstawieniem reżyser złożył pismo, w którym prosił o zwolnienie z pracy w Teatrze Polskim.

Rozstanie z Teatrem Polskim nie oznaczało jednak pożegnania z teatrem w ogóle. Bardini został najpierw kierownikiem artystycznym Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi, potem dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Ateneum. Związany był także z Teatrem Współczesnym w Warszawie. Ponadto gościnnie reżyserował także w krakowskim Teatrze Starym. Dubbingował też filmy. I wykladał na PWST. »Tygodnik Powszechny« z 1995 r. przytacza wypowiedź Krzysztofa Zanussiego: »Rzadko kiedy tytuły akademickie dobrze przylegają do artystów. Zazwyczaj brzmią żartobliwie, jak przewzisko. Aleksander Bardini był wyjątkiem. Funkcjonował przede wszystkim jako profesor. Był najpierw nauczycielem, a dopiero później artystą«.

Krąży także anegdota na temat tego, co Bardini zwykł mówić studentom na temat głosu: jeśli chcą mieć głos sceniczny, muszą zapomnieć o »trzech p«: picciu, paleniu i uganianiu się za kobietami. – Ale jeśli już masz głos, możesz palić, pić i pierdolić, ile zdołasz – pouczał.

Zaś pytany w 1976 r. przez dziennikarza »Polityki« o to, czy ma jakiś system nauczania, podkreślał, że przede wszystkim stara się pamiętać o trzech rzeczach: »po pierwsze, że człowiek grający na scenie jest człowiekiem, będącym równocześnie instrumentem i wykonawcą. Druga sprawa, że student jest moim partnerem. Lecz indeks ma on, a nie ja. Ale nie wolno mi okłamywać go. Staram się mówić prawdę: nie raniąc i nie przechwalając. Jestem też zdania, że nauczyciela winno być stać na to, żeby się przyznać, że nie jest

wszechwiedzący. I ostatni punkt. Nie zabiegać o względy studentów, bo to jest klęska dla obu stron”.

Reżyser jako profesor został sportretowany także w powieści Józefa Hena „Yokohama”. Sasza (bo tak o Bardini pisze się w powieści) mówi tekst, jaki zwykł wygłaszać jego literacki pierwowzór: „Powiem panu jedno: energia rakiety nośnej w locie na Księżyc jest niczym w porównaniu z energią niezdolnej aktorki. Dla osiągnięcia celu może obalić rząd i zmienić ustrój”.

Co ciekawe, chociaż wielu aktorów uważa go za swojego mistrza, on sam za najwybitniejszą polską aktorkę uznawał Teresę Budzisz-Krzyżanowską.

Warto także odnotować kreację Bardiniego w „Kariery Artura Ui”; reżyser wcielił się w Emanuela Giri, czyli literacki odpowiednik Goeringa. W tej samej sztuce występował zresztą Edward Dziewoński. Zasłynął także jako aktor filmowy. Jego role, nawet jeśli były

przez środowiska aktorskie. Także obecny na spotkaniu Kazimierz Dejmek zaapelował, by minister kultury wydał rozporządzenie nakazujące dyrektorom teatrów transmitowanie przedstawień w telewizji. Jak podaje Dworakowska, do słów Dejmka Bardini odniósł się na posiedzeniu Zarządu Głównego ZASP, mówiąc, że „Dyrektor Dejmek nie szanuje środowiska aktorskiego”. Z kolei na innym zebraniu ZASP, w 1988 r., Bardini opowiadał: „W Skolimowie, w noc sylwestrową z 83 na 84 rok [...] wzniosłem toast: życzę wszystkim na następny rok, aby każdy mógł myśleć i mówić zgodnie z własnym sumieniem i nie był za to karany – to kosztowało paszport, więc ja chciałem kolegów spytać tylko, czy można rzeczywiście na takie rzeczy tylko kiwać głową w stosunku do człowieka, który nie jest homo politicus, bo ja nim nie jestem” (fragment stenogramu cytuję za Dworakowską).

CHOCIAŻ NIE BYŁ CZYNNYM OPOZYCYJONISTĄ, W PRYWATNYCH ROZMOWACH KONTESTOWAŁ SYSTEM. POSTAWA TAKA WYNIKAŁA ZAPEWNE Z TEGO, ŻE MUSIAŁ JAKOŚ FUNKCJONOWAĆ W RAMACH WARSZAWSKIEGO ŚRODOWISKA ARTYSTYCZNEGO.

drugoplanowe, bardzo często znacząco podnosiły wartość artystyczną obrazów. Zagrał m.in. w „Sprawie Gorgonowej” w reżyserii Janusza Majewskiego, Ordynatora w „Spirali” i „Dotknięciu ręki” Krzysztofa Zanussiego. A także w „Bez końca” i „Podwójnym życiu Weroniki” Krzysztofa Kieślowskiego.

► „Nie jestem homo politicus”

W połowie lat 70. Bardini znacząco podupadł na zdrowiu: w 1974 r. przeszedł zawał serca. Jednak po miesięcznej rehabilitacji powrócił do życia publicznego. W styczniu 1981 r., w czasie trwania „karnawału »Solidarności«”, wziął udział w spotkaniu przedstawicieli Zarządu Głównego SPATiF-u z Krajową Komisją NSZZ „Solidarność” Pracowników Teatru. Dworakowska pisze, że znalazł się wśród tych, którzy podpisali w imieniu organizacji porozumienie o ścisłej współpracy z „Solidarnością”. Biografka zaznacza także, że kiedy na początku 1982 r. Bardini otrzymał nagrodę od prezydenta Warszawy za wybitne zasługi dla miasta, odmówił jej przyjęcia. Według informacji córki, Marii Bardini, zrobił to z przyczyn politycznych. W październiku tego samego roku wziął udział w spotkaniu z wicepremierem Rakowskim w sprawie bojkotu radia i telewizji

Faktycznie. Zwierzęciem politycznym Bardini nie był. Nie był też wojującym opozycjonistą. Jednocześnie zarzucanie mu, że cynicznie pogrywał z systemem, jest osądem zbyt jednowymiarowym. Należy wziąć pod uwagę kilka faktów: reżyser nigdy nie zapisał się do partii, choć przecież mógł to uczynić. W cytowanym już przeze mnie artykule z „Życia na gorąco” mowa jest o tym, że miał powiedzieć: „Należę do tej mniejszości, która z niczego się nie musiała wypisywać, ponieważ nie widziała konieczności zapisywania się”. Po drugie, Bardini przez cały czas interesował się właściwie wyłącznie sprawami teatru. A jeśli grał z władzą do jednej bramki, to prawdopodobnie dlatego, że uważał, iż to jest cena za ocalenie pewnych wartości, jakimi są sztuka i możliwość jej uprawiania. Warto także zaznaczyć, że od połowy lat 70. Bardini zajmował się właściwie tylko teatrem. Chociaż nie był czynnym opozycjonistą, w prywatnych rozmowach kontestował system. Postawa taka wynikała zapewne z tego, że musiał jakoś funkcjonować w ramach warszawskiego środowiska artystycznego. Pytanie także, czy rozmaite jego wybory życiowe, w tym wspomniana kompromisowa inscenizacja „Dziadów”, nie były próbą właśnie takiego „ocalenia tego, co da się ocalić”. Prawdziwych motywacji reżysera już jednak nie poznamy. Bardini zmarł w Warszawie 30 lipca 1995 r. ■

Bohdan Urbankowski



Lenin odczarowany

Rewolucja październikowa skłamana była od początku, od nazwy. Ani rewolucja, ani październikowa. Według naszego kalendarza wybuchła w listopadzie – i to był wręcz symboliczny początek nowej, komunistycznej kultury – kultury kłamstwa.



Największym wrogiem mitów, w których nas wychowywano, okazała się zwykła prawda. Wraz z wiedzą zmieniały się nasze charaktery. Bo nie jest tak, że prawda to coś neutralnego, bezbarwne tło. Ona ma moc obligującą, zmusza do konkretnych zachowań, zwłaszcza do ujawniania zdobytych wiadomości – by ludzie nie żyli w kłamstwie, by nie oszukiwali, nawet nieświadomie, i nie krzywdzili innych oszustwami. Pisał już o tym Norwid w „Promethidionie”, wskazując na praktyczne – w najwyższym tego słowa znaczeniu – obowiązki artystów:

*Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycalo
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało.*

Prowadząc naszą poetycką „akcję historyczną” (a robiliśmy to wcześniej niż została wymyślona jej nazwa), organizując spotkania dyskusyjne wśród studentów i nauczycieli – musieliśmy się do nich przygotowywać. Zaczęliśmy od upomnienia się o powstanie styczniowe, lecz pierwszą większą akcją mówienia prawdy przeprowadziliśmy w 1967 r. A nawet dwie akcje. Najpierw pod pretekstem obchodów 5. rocznicy śmierci Broniewskiego zorganizowaliśmy spotkania, podczas których opowiadaliśmy prawdziwy życiorys poety – ze szczególnym uwzględnieniem Legionów i wojny 1920 r.; potem, ze względu na celebrowany w 1967 r. jubileusz 50-lecia rewolucji październikowej, urządziliśmy kilka prowokacyjnych spotkań. Marzec zahamował naszą poetycko-polityczną ofensywę, paru kolegów wyrzucono z akademika wprost do wojska – więc tym bardziej musieliśmy działać. Za nich i za siebie. Zaczęliśmy poznawać prawdziwą historię Polski, Rosji i tzw. demoludów. Pod wpływem prawdy rozpadał się na naszych oczach mit bolszewików, których propaganda przedstawiała jako współczesnych rycerzy, ascetów, idealistów walczących o dobro dla najuboższych. Lenin ze szlachetnego marzyciela (którego ideały splugawił Stalin), przepoczwaczał się w chorego z nienawiści, żadnego władzy despotę. Poznawaliśmy prawdziwy przebieg zamienionych w legendy zdarzeń, takich jak rewolucja październikowa.

► Jak ukraść rewolucję

Prawdziwa rewolucja rosyjska zaczęła się i rozstrzygnęła w Piotrogradzie, między 8 a 15 marca 1917 r., a według rosyjskiego kalendarza między 23 lutego a 2 marca. Przyczyną był głód w mieście,

fot. Wikipedia

w sklepach zabrakło chleba, nawet mąki; bezpośrednim bodźcem był strajk zakładów Putiłowa – stanęły 3 marca, robotnicy domagali się podwyżek. Żądania zostały odrzucone, 36 tys. ludzi wyrzucono na bruk. Stali się oni pierwszą armią rewolucji. Następną byli robotnicy fabryki Kirowa. Zorganizowane przez nich 8 marca obchody Międzynarodowego Dnia Kobiet wylały się z zakładów na ulice Piotrogradu i przemieniły w antycarską demonstrację. Przedpołudniowa część manifestacji przebiegła względnie pokojowo, po południu, gdy robotnicy chcieli wmaszerować do centrum, wojsko zablokowało most Litejny. Robotnicy przeszli po lodzie, zaczęły się starcia z policją, rozbijanie i szabrowanie sklepów. Los imperium rozstrzygnął się 12 marca (po naszymu) – zdobyto arsenał, broń rozdano manifestantom, uwolniono więźniów. Wojsko odmówiło strzelania do manifestantów i zaczęło przechodzić na ich stronę.

Siłą organizacyjną rozruchów była partia socjalistów-rewolucjonistów, poparli ich kadeci i inne ugrupowania. Do zwycięstwa przyczynili się też kolejarze, którzy uniemożliwili carowi powrót z kwatery w Mołotowie i zablokowali przewóz wojsk wiernych rządowi do stolicy. W Piotrogradzie zaczęły powstawać Rady Delegatów Robotniczych, które po dołączeniu wojska przekształciły się w Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W rewolucji wzięli udział niżej rangą bolszewicy, wielu znalazło się w Piotrogradzkiej RDRIŻ – stąd późniejsze hasło: „Cała władza w ręce rad”.

Lenin i Trocki przebywali w tym czasie ... na emigracji! A więc mówienie o nich jako o twórcach rewolucji to propaganda. Zasług rewolucyjnych nie mieli, mieli jednak kontrewolucyjne.

Rewolucja rosyjska zakończyła się 15 marca – abdykacją cara Mikołaja II i przekształceniem wyłonionego przez Dumę Tymczasowego Komitetu – w Rząd Tymczasowy. Na czele stanął książę Gieorgij Lwow, w lipcu zastąpił go lider partii socjalistów-rewolucjonistów Aleksander Kiereński. Rewolucja zlikwidowała samodzielną, ogłosiła amnestię polityczną, zadekretowała swobody obywatelskie (słowa, druku, zgromadzeń, wyznania), zlikwidowała policję polityczną (ochranę) i cenzurę, przejściowo zniosła karę śmierci.

Jak bolszewikom udało się dojść do władzy, mówiąc prościej: ukraść rewolucję? Jaki błąd popełniły władze demokratyczne? Rząd Tymczasowy zapowiedział kontynuowanie wojny „do zwycięskiego końca” – i w ten sposób wydał na siebie wyrok!

Od samego początku wojny 1914 r. Niemcy wspierali ruchy odśrodkowe i opozycyjne w Rosji. Nasyłali szpiegów, wykorzystywali mniejszości. Litwinom obiecywali niepodległość, Żydom – Judeopolonię.

Nazywało się to akcją „rewolucjonizacji i insurekcjonizacji”. Rewolucję lutową obserwowano w Berlinie z nadzieją na separatystyczny pokój – deklaracja Rządu Tymczasowego nadzieję tę przekreśliła. Wywiad niemiecki postanowił więc użyć swojej tajnej broni porównywanej familiarnie do iperytu. Genialnie prosty pomysł niemieckiego wywiadu streszczał się w retorycznym pytaniu jednego z generałów: „A czemu nie mielibyśmy przeciw Rosji użyć Lenina – jak trującego gazu?”. I walczący z Rosją Niemcy przewieźli ze Szwajcarii przez swoje terytorium elitę rosyjskich rewolucjonistów.

Kluczową rolę w tej intrydze odegrał niejaki Parvus, prywatnie Izrael Łazariewicz Helphand, działacz rosyjskiego i niemieckiego ruchu socjalistycznego, tudzież agent niemieckich służb. On też dostarczył kilkakrotnie bolszewikom większe sumy pieniędzy. Lenin nie miał wątpliwości co do ich pochodzenia. Za udane przeprowadzenie akcji Parvus miał zostać nagrodzony 32-pokojową willą w Berlinie.

Tak więc w kwietniu 1917 r., ponad miesiąc po rewolucji, Lenin zjawiał się w Piotrogradzie. Bolszewicy zaczęli propagować jego „Tezy kwietniowe”, obiecujące zakończenie wojny i przekształcenie rewolucji burżuazyjnej w rewolucję socjalistyczną. Miało to się przekładać na nacjonalizację majątków i robotniczą kontrolę nad produkcją. Dzięki niemieckim pieniądзом z początku maja 1917 r. bolszewicy zaczęli tworzyć paramilitarną Gwardię Czerwoną, dzięki niemieckim pieniądżom mogli także wydawać swą „Prawdę” i zasypywać Rosję tysiącami ulotek. Na rewolucję realną się spóźnili, teraz przeprowadzali ją w świecie propagandy.

W połowie czerwca 1917 r. Rząd Tymczasowy rozpoczął ofensywę przeciw Niemcom, ta jednak się nie udała. Nasiliły się dezercje z frontu, uciekinierzy setkami przenikali do Piotrogradu, w stolicy znów zapanał chaos i znów zaczął się głód. Bolszewicy postanowili uderzyć i wykończyć Rząd Tymczasowy. Jednak dwudniowe rozruchy od 4 do 6 lipca skończyły się klęską i kompromitacją. Co gorsza, Rząd opublikował dokumenty dowodzące finansowania Lenina przez Niemców i przeprowadził delegalizację zdrazieckiej partii bolszewików. Lenin cudem i z nadludzką prędkością uciekł do Finlandii, Trocki trafił jako szpieg do więzienia.

Wkrótce jednak władza popełnia kolejny błąd: Trocki został wypuszczony. Już wcześniej był socjaldemokratą, lecz do frakcji bolszewików nie należał – teraz do niej wstąpił. Oni byli najliczniejsi, najbardziej radykalni i mieli pieniądze, on wniósł w posagu legendę uwolnionego z turmy. Pod nieobecność Lenina, co chwila deklarując swój po-

dziw dla niego, przedstawiając się jako niemal namaszczonego przez niego – przechwytywał stopniowo władzę w partii. Jako lider bolszewików przejął też przywództwo w Piotrogradzie. 23 września został szefem Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, to ona rzadziła ulicą. Ale było jeszcze wojsko – na szczęście zrewoltowane. Trocki wraz z grupą rozwrzeszczanych popleczników zjawiał się na wojskowym wiecu, oświadczył, że jest delegatem bolszewików, i kazał się wybrać na przewodniczącego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Wybór był przesadzony, agenci Trockiego od kilku dni powtarzali, że Rząd Kiereńskiego to wojna aż do klęski, to oderwanie na całe lata od rodzin, może śmierć; rząd bolszewików natomiast to pokój, powrót do domu, zapłata zaległego żołdu, dzwoniące medale i nadziały ziemi z upaństwowionych majątków. Komitet dyrygowany przez Trockiego wymusił posłuszeństwo na garnizonie stołecznym – rewolucje rozstrzygały się w stolicach. Bolszewicy zaczęli wymieniać postępowe wojskowe na gwardyjskie, czyli woje, kolejno przejmowali ważniejsze urzędy i miejsca strategiczne – dworce, komunikację, pocztę, banki. Nie Lenin, tylko właśnie Trocki był rzeczywistym architektem puczu. O roli Lenina najlepiej świadczy fakt, iż urzędujący w Smolnym „rewolucjoniści” nie potrafili sobie nawet przypomnieć, w którym momencie zjawiał się tam Lenin.

► Pijacka rewolta

Szturm na Pałac Zimowy był malowniczą, choć nieco operetkową pointą tych wydarzeń. Jego przebieg pamiętamy z wyświetlanych w tamtych czasach kronik. Lud wlewa się pod górę schodów do pałacu jak żywioł – lub stado szczurów. Na czele widać marynarzy, słychać strzały. W tym momencie podziwialiśmy odwagę operatorów... Niepotrzebnie. Te „historyczne” sceny nie były kręcone na gorąco, były późniejszą inscenizacją Eisensteina. Tłumów w ogóle nie było. Pałac stał nieco na uboczu, szturm odbył się niemal niepostrzeżenie. W mieście było raczej spokojnie: knajpy i kina działały, tramwaje kursowały, balet podobno wystawiał „Jezioro Łabędzie” – stąd potem powiedzonko o „łabędzim śpiewie” rządu Kiereńskiego. Opiewany przez poetów strzał „Aurory” też nie brzmiał tak bohatersko. „Aurora” była zdezelowanym statkiem, do walk się nie nadawała, wystrzeliła ślepakiem – co zabrzmiało niemal nieprzyzwyczajenie. Trochę prawdy było jedynie w opowieści o marynarzach. Zwłaszcza marynarze z Kronsztadtu, bez względu na to, czy pływali, czy nie, słynęli z permanentnej gotowości seksualnej. A zbiegiem oko-

liczności Pałacu Zimowego bronił Ochotniczy Batalion Kobiecy. I to był ten – wstydliwie pomijany przez historyków – wielokonny motor rewolucji. Podobno w wyniku szturmów zginąć miało sześć osób, dopuszczono się trzech gwałtów albo odwrotnie. Tak czy inaczej ów wystrzał i parę gwałtów to punkt kulminacyjny i symbol bolszewickiego przewrotu. Niejeden.

Po zdobyciu Pałacu Zimowego bolszewicy wykryli piwnice pełne wina. Rozgrabiono dziesiątki tysięcy wiekowych butelek, matrosi raczyli się najlepszymi rocznikami, m.in. Château d'Yquem rocznik 1847, ulubionym trunkiem ostatniego z carów. Rozdawano też i sprzedawano za pół darmo tysiące butelek wódki. Marynarze, złodzieje i inni rewolucjoniści ruszyli na Piotrogród, rabując domy, zabijając mieszkańców – dla zabawy.

Co bardziej trzeźwi przywódcy rewolucji, bojąc się utraty zdobytej świeżo władzy, próbowali powstrzymać te orgie. Mianowali komisarzy Pałacu Zimowego, który miał przejąć kontrolę nad piwnicami – pierwsze, co zrobił, to się upił. Od tej pory już nigdy nie trzeźwiał. Jednym z jego pomysłów było mianowanie „strażników”, którzy – żeby dobro się nie marnowało, a rewolucja miała korzystać – zaczęli wyprzedzać alkohol. Innym pomysłem było wypompowywanie wina na ulicę – ruch został zablokowany przez tłumy łopiaców wprost z rynsztoków. Nie udało się także próba przewiezienia alkoholi do Smolnego – może dlatego, że podjęto ją nieopatrnie w dzień. Po stracie pierwszych kilku furmanek i kilku pijanych woźniców przewózkę alkoholu wstrzymano. Rozpoczęto natomiast potajemne rozmowy ze Szwecją – na wyeksportowanie win na morze. Nie zostały sfinalizowane, gdyż większość butelek znikła przed końcem rozmów. Rewolta pijacka okazała się potężniejsza niż sama rewolucja październikowa, stanowiła jej ukoronowanie. Tysiące pijaków demolowały miasto, niszczyły domy burżujów i mordowały ich mieszkańców. Ani władze rewolucyjne, ani miejskie służby nie mogły zapanować nad żywiołem. Ten etap rewolucji spowodował najwięcej ofiar, zwłaszcza że obie strony sięgnęły do broni palnej – kulomiotów nie wyłączając. W więzieniach i aresztach rychło zabrakło miejsca. Na ulicach leżały zmasakrowane, obdarte z ubrań i obuwia trupy. Niewiele pomogło wprowadzenie stanu wojennego. Anarchia musiała się sama wypalić – potrzebowała na to kilku tygodni. Dopiero z końcem roku wyczerpały się zapasy alkoholu i – jak spointował jeden z kronikarzy – w nowym roku 1918 stolica Rosji obudziła się z największym kaczem w historii.

25 listopada 1917 r. miały odbyć się (rozpisane jeszcze przez Rząd Tymczasowy) wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego, czyli Konstytuanty. Bolszewicy lojalnie je przeprowadzili i ... przegrali. Wygrała partia eserowców – 58 proc. i 410 mandatów; bolszewicy dostali 25 proc. i 175 mandatów, przewagę zyskali jednak w obu stolicach, co jest ważne, bo – powtórzmy raz jeszcze – rewolucje odbywają się w stolicach. Konstytuanta zebrała się uroczyście 18 stycznia 1918 r. w Pałacu Taurydzkim w Piotrogradzie. Pierwszego dnia ośmieliła się krytykować przewrót bolszewików, następnego – została rozgoniona. Zbolszewizowani marynarze mający stanowić jej ochronę weszli na salę, oświadczyli, że są zmęczeni, słuchając poselskiego głędzenia, i kazali posłom „wyp***”. Posłowie posłuchali. Demokratyczne odebranie władzy komunistom okazało się niemożliwe – marynarze po raz drugi zdobyli władzę dla bolszewików.

Demonstracje w obronie Konstytuanty również zostały rozgonione. Demokratyczna rewolucja – jak pisał jeden z korespondentów – użyła broni palnej przeciw obrońcom demokratycznie wybranego parlamentu. Na wszelki wypadek Trocki rzucił przeciw manifestantom uzbrojonych strzelców lotewskich, którzy dokonali masakry. I to był prawdziwy początek Czerwonej Rosji.

Bolszewicy po objęciu władzy za najgroźniejszych konkurentów uznali partię księcia Lwowa – konstytucyjnych demokratów. Zdelegalizowali ją i w styczniu 1918 r. zamordowali jej przywódców Fiodora Koszkinsa i Nikołaja Kiszkinsa. Były to najgłośniejsze zabójstwa polityczne – nie pierwsze, nie ostatnie. Terror zaczął rozlewać się po Rosji.

► Mgła zamienia się w krople krwi

W grudniu 1917 r. powstała Nadzwyczajna Komisja do walki z Kонтrewolucją i Sabotażem. Potem jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać jej oddziały terenowe. Minister rządu Kiereńskiego, Paweł Milukow, zdołał uciec i jeszcze przewieźć porażające materiały.

„Każdy lokalny oddział Czeki miał własną specjalność. W Charkowie upodobano sobie skalpowanie i ściąganie rękawiczek. Parzono dłonie ofiar wrzątkiem, aż pokryta pęcherzami skóra dawała się zdjąć: ofiarom pozostawały obdarte do żywego mięsa, krwawiące dłonie, a torturującym »rękawiczki z ludzkiej skóry«. Czeka w Carycinie przepiłowywała ofiarom kości”. W Woroneżu wypychano ludzi nago do nabijanych gwoździami beczek, które potem radośnie toczono, wypalano na czołach pięciopromienną gwiazdę, a duchownym wciskano na głowy wieńce z drutu kolczastego. „W Armawirze miażdżono czasz-

ki, zaciskając wokół głowy ofiary skórzany pas z żelaznym sworzniem. W Kijowie przemocowywano do tułowia ofiary klatkę ze szczurami i ją podgrzewano, tak że rozjuszone zwierzęta wgrzyzały się w jelita, szukając drogi ucieczki. Ulubioną zimową torturą było oblewanie wodą nagich ofiar dopoty, dopóki nie zamieniły się one w żywe lodowe posągi. Wielu funkcjonariuszy Czeki preferowało tortury psychologiczne. Jeden z nich kazał prowadzić ofiary rzekomo na egzekucję, po czym strzelano do nich ślepymi nabojami. Inny kazał grzebać ofiary żywcem albo wkładać do trumny z cudzymi zwłokami. Niektórzy zmuszali do patrzenia, jak się torturuje, gwałci lub zabija bliższe ofiarom osoby”.

Niektóre opisy powtarzały się w kilku wariantach, niektóre mogły być wyolbrzymione, ale chyba nie były zmyślane. Kto potrafiłby wymyślić opisy takich kaźni? A dzięki rewolucji przywrócona została upiorna dziedzina masowej rozrywki, zapomnianej od czasów średniowiecza: tortury. To był nowy rewolucyjny teatr, czasem cyrk.

W Kijowie zakopywano ludzi w mogiłach z rozkładającymi się ciałami, zakopywano żywcem i po pół godzinie odkopywano. Tłum czekał cierpliwie, zakładano się, czy ktoś przeżył. Potem i tak dobijano. W Jekatierinosławiu odbywały się pokazy dwóch sztuk biblijnych: krzyżowano i dobijano kamieniami. Krzyżowaniem zajmowali się fachowcy z czerezwiczajki, plugawe komentarze wygłaszali przy okazji propagujący marksizm ateści. Do zabawy w kamienowanie dopuszczano także prosty lud. W Odessie oficerów męczono, przywiązując łańcuchami do desek, a następnie powoli wsuwano do rozpalonego paleniska, innych opuszczano do kotłów z wrzącą wodą. Te widowiska były na tyle atrakcyjne, że rozważano nawet pomysł biletowania widzów, jednak ze względów propagandowych z opłat się wycofano – mogły część widzów odstraszyć.

Również na Krymie bolszewicy zadbali o szczególne, a zwłaszcza o rozrywki dla ludu. Najczęściej wspomina się o orkiestrach w Eupatorii i wisielcach w Sewastopolu. Na początku 1918 r. w Eupatorii powstał teatr grozy w duchu Wagnera: gdy czekałsi przeprowadzali egzekucje – przyganiane w pobliże miejsca kaźni orkiestry grały co bardziej głośnie i bardziej skoczne kawałki. Chodziło o zagłuszenie? A może o dodatkowe poniżenie umierających? Tej samej zimy, u początków 1918 r., w Sewastopolu przeprowadzano masowe egzekucje, wieszając ludzi na drzewach. Całe ulice. Trupy dla oszczędności pozabawiano wcześniej odzieży. Po jakimś czasie pokrywały się lodem. Wyglądały jak manekiny. I stała się rzecz dziwna: ludzie zamiast kryć się w przerażeniu – masowo wylegli na ulice, spacerowali...

Orkiestry w Eupatorii, wisielcy w Sewastopolu – początki nowej kultury.

To wszystko działo się od 1917 do wiosny 1918 r.

30 sierpnia 1918 r. Fanny Kaplan dokonała zamachu na Lenina. Została zabita 3 września po torturach. Wykonawcą i katem był Paweł Małkow, komunist, marynarz Floty Bałtyckiej, komendant Kremla. Bardziej interesująca od niego wydaje się postać pomocnika. Był nim Demian Biedny, poeta, też komunist. Kiedy czekiści skończyli już torturować Fannę Kaplan, a komendant Małkow strzelił jej w tył głowy, poeta Biedny wraz z nim spalił ciało zabitej – prawdopodobnie w becze po ropie. To jeszcze nie był terror. Oficjalnie ogłoszono go dwa dni później. Dekretem 5 września 1918 r. rząd ogłosił organizowanie konclagrów dla wrogów klasowych i członków białogwardyjskich organizacji.

Zanim jednak do tego doszło, 10 sierpnia 1918 r. Lenin zdążył jeszcze napisać list do towarzyszy Kurażewa, Bosza, Minkina i innych z komitetu wykonawczego partii w Penzie w sprawie terroru.

„Towarzysze! Rewolta w pięciu kułackich ujazdach musi być bezlitośnie stłumiona. Interes całej rewolucji tego się domaga, gdyż wszędzie mamy przed sobą decydujący »bój ostatni« z kułakami. Musimy dać przykład.

1. Musicie powiesić bez niedoróbek, tak, by ludzie widzieli, co najmniej stu kułaków, bogaczy i znanych krwio pijców.

2. Opublikować ich nazwiska.

3. Zabrać całe ich ziarno.

4. Wyznaczyć zakładników, zgodnie z wczorajszym telegramem.

Zróbcie to w taki sposób, by na setki mil wokół ludzie to widzieli, trzęśli się i mówili sobie: zabijają i będą zabijając tych krwio pijców kułaków. Telegrafujcie, czy otrzymaliście i wykonaliście instrukcje. Wasz Lenin.

PS Użyjcie do tego najtwardszych ludzi”.

Dopisek zrobiony trochę zmienionym charakterem pisma informował: „odnaleziono 680 podobnych rozkazów i zaleceń”. Lenin nie tylko wiedział o zbrodniach – on sam je inspirował. Najpierw był rewolucyjny terror, potem jego uzasadnienie w dekretych, zamach Fanny Kaplan był dobrą okazją, z której skorzystano.

► Operacja tambowska

Końcem rewolucji, to znaczy końcem podboju własnego kraju i zniewolenia własnego narodu, była operacja tambowska, przeciwko chłopom. Powstanie chłopskie trwało od 1918 r., w 1921 r. Lenin postanowił je zakończyć. Wysłano 45 tys. sol-

datów pod wodzą Tuchaczewskiego, pięć pociągów pancernych, 18 samolotów i oczywiście artylerię. Ale nie ona była najstraszliwszą bronią. Bolszewicy zastosowali trzy rewolucyjne metody zwalczania wrogów. Po pierwsze – ponieważ wróg chronił się w lasach – podpalano lasy. Drugi rodzaj broni był również konwencjonalny, archaiczny, ale skuteczny: terror. Trzeci środek był bardziej nowoczesny: gaz. Wypróbowana broń z czasów I wojny światowej. Tuchaczewskiemu przekazano dwa wagony pojemników z chlorem.

Lenin dał rozkaz użycia. Tuchaczewski – bardziej szczegółową dyrektywę: „W celu oczyszczenia lasów rozkazuję użyć gazów trujących w taki sposób, aby zniszczyły ukrywających się chłopów”.

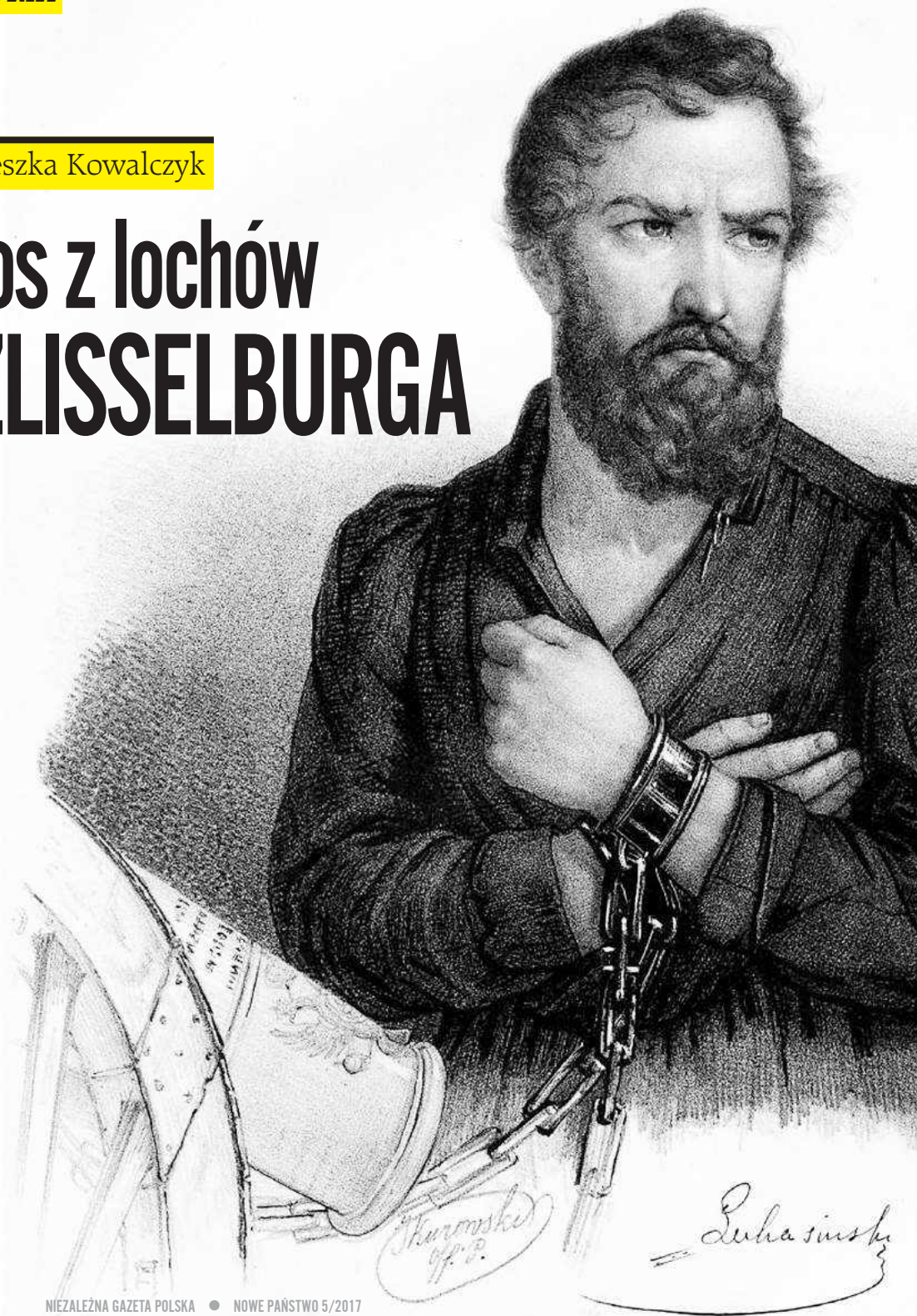
Armia trula i wypalała ogniem chłopskie oddziały. Potem przychodzili czekiści i dobijali ocalonych. Całe wsie. Potem palili. Całe wsie zniknęły z mapy Rosji.

Skoro padła już wzmianka na temat głodu – to Lenin odkrył jego bojowe zalety. Można powiedzieć, że już w 1921 r. zaprojektował wielki głód na Ukrainie i wielkie zwycięstwo lat 30. W 1921 r. wybuchł głód na Powołżu, w 1922 r. osiągnął apogeum. Dzierżyński zwrócił się do Lenina z pismem o pomoc. Oto jaką odpowiedź otrzymał: „[...] Dla nas przeciwnie, ta właśnie chwila oferuje nam 99 procent szans na rozbić wroga i zapewnienie sobie na wiele dziesięcioleci odpowiedniej pozycji. Teraz i tylko teraz, kiedy na terenach dotkniętych głodem dochodzi do kanibalizmu, a drogi są zasłane setkami, jeśli nie tysiącami trupów, możemy (a więc musimy) kontynuować zdobywanie cerkiewnych kosztowności z najwłaściwszą i najbardziej bezlitosną energią, nie cofając się przed niczym... Dzięki temu zapewnimy sobie kapitał wart kilkaset milionów rubli w zlocie (pamiętajcie o nieprzebranych skarbach niektórych klasztorów). Bez tego nie będzie można prowadzić prac państwowych”.

Na pochwałę bolszewików trzeba dodać, że normę przekroczyli, zagarnęli skarb o wartości przekraczającej 2 mld rubli. To była największa kradzież w dziejach ludzkości. Ale nie tylko o kradzież chodziło. Przecież ci chłopci, mimo że zdychali z głodu, bronili i swoich domów, i świątyń. I co nakazywał Lenin? „Im większą liczbę przedstawicieli reakcyjnej burżuazji i kleru uda nam się stracić przy tej okazji, tym lepiej”. Trudno te słowa opatrzyć komentarzem. Późniejsi przywódcy ZSRS nie dodali żadnej nowej zbrodni do tych stosowanych przez Lenina. Powtarzali jedynie stare – tyle że z większym rozmachem. Wielki głód i operacja polska NKWD to dwa przykłady z lat 30. Lenin już tych czasów nie doczekał, jego metody – tak. ■

Agnieszka Kowalczyk

Głos z lochów SZLISSELBURGA



**Całym sobą ukochał
ideę wolnej Polski
i dla niej gotów
był oddać życie. To
jeden z największych
w naszej historii
męczenników
narodowej sprawy,
niezlomny
żołnierz Księstwa
Warszawskiego
i pułku czwartaków,
założyciel
Towarzystwa
Patriotycznego, który
przeżył niemal pół
wieku w więzieniach
i twierdzach jako
ofiara carskiego
despotyzmu.**

W czasie powstania listopadowego Walerian Łukasiński wtrącony został na 37 lat do lochów osławionego wówczas w całej Rosji, a może nawet i w całej Europie, Sztisselburga. Tam też zakończył swój żywot, pozostawiając po sobie „Pamiętnik” – głęboko wstrząsające świadectwo wielkiej odwagi, bezgranicznej miłości ojczyzny, rzeczowego i wnikliwego osądu historii oraz chrześcijańskiej pokory w akcie przebaczenia swoim oprawcom. Łukasiński nie sądził, że jego wspomnienia ujrzą kiedykolwiek światło dzienne. Więzienny „Pamiętnik” odnaleziony został jednak po 100 latach w moskiewskim Centralnym Archiwum Historycznym przez prof. Rafała Gerbera i opublikowany w 1960 r. Tak więc głos dochodzący z twierdzy szlisselburskiej nie pozostał bez echa dla następnych pokoleń Polaków.

► W podziemiach Sztisselburga

Po upadku powstania styczniowego do Sztisselburga trafił Polak Bronisław Szwarc. Któregoś razu wprowadzany do łaźni ujrzał postać siwiutego starca w szarym aresztanckim chałacie, postać, która „przesunęła się raz w półcieniu korytarza i znikła na wieki”. Widział ją może przez ułamek sekundy. „Kto to był? – sam siebie pytał Szwarc. – Rysów o kilka kroków rozpoznać nie mogłem, bo wzrok mam nader krótki, a żołnierz mię natychmiast wepchnął do pustej celi, bym się z towarzyszem niedoli nie spotkał. Ale sądząc po napisach ołówkiem na marginesach książek, był to Polak, nasz, prawdopodobnie z 1831 r. [...] Pozwalali mu czasem włóczyć się po twierdzy, po zamku – i takem go spotkał. On mnie prawdopodobnie nawet nie zauważył; na chwilę zetknięcie się dwa pokolenia wiekowej naszej, nieustającej walki – i rozeszły się na zawsze”. Jak wielkie byłoby zdziwienie Szwarcgo, gdyby wiedział, że tym starcem był Walerian Łukasiński.

Ponure mury Schlisselburga skrywały wiele mrocznych tajemnic. Były niemyimi świadkami męczarni pierwszej żony Piotra Wielkiego, Eudoksji, śmierci jego siostry Marii, zabójstwa cara Iwana Antonowicza. Przetrzymywano tu dekabrystów i rosyjskich rewolucjonistów, powstańców listopadowych i styczniowych oraz mężów stanu, którzy popadli w niełaskę cara. Według M.N. Giernieta w latach 1826–1870 w Sztisselburgu przebywało łącznie 95 więźniów: „38 z nich spędziło w twierdzy mniej niż rok, 27 od roku do 5 lat, [...] 6 – od 15 do 20 lat, prawnik Jakukiewicz – 22 lata, Ignacy Moszczyński, rotmistrz wojska polskiego – 28 lat, niejaki Michajłow – 31, Roman Medoks – 36 lat, wreszcie Łukasiński – 37 lat”. Zamknięci w twierdzy czuli się jak strąceni do piekieł. Wielu

umierało, wielu też popadało w obłęd, nie mogąc znieść nieludzkich warunków i niezwykle surowego regulaminu więziennego. Skazani odcięci byli całkowicie od świata i współtowarzyszy niedoli. Car Mikołaj I rozkazał, by żaden z więźniów nie mógł „bez zgody najwyższej» przekroczyć nie tylko wrót twierdzy, ale nawet lochu”, a od 1849 r. zabronił tu wstępu księżom katolickim, pozbawiając osadzonych możliwości spowiedzi i kapłańskiego pocieszenia.

Samo zaś więzienie nie było wielkie, składało się zaledwie z dziesięciu cel oddzielonych korytarzem. Każda liczyła trzy kroki w szerz i sześć wzdłuż, miała okno zakratowane od wewnątrz żelaznymi sztabami, było w niej okrutnie zimno i wilgotno. Władze carskie uznały jednak, że dla Łukasieńskiego to za dobre warunki i wtrącono go do baszty świetlicznej, do najgłębszego lochu całego Schlisselburga, gdzie panował wieczny mrok, zamiast podłogi była goła ziemia, za posłanie służyła garść zgniłej słomy, a raz dziennie podawano nieświeżą strawę, nie odzywając się do skazańca ni słowem. Pogrzebany tu za życia Walerian, trwając w całkowitym opuszczeniu i grobowej ciszy, niemalże oślepił, nabawił się reumatyzmu, cierpiał ból przy każdym poruszeniu, nękały go bezsenność i duszności. Wszystkie te męczarnie znosił z godnością, ale największe katusze sprawiała mu myśl o ojczyźnie, o której w żaden sposób nie mógł się niczego dowiedzieć.

► Bakunin rozpoznaje Łukasieńskiego

Tymczasem miały kolejne miesiące i lata bez cienia nadziei na jakikolwiek ratunek. W Królestwie Polskim nikt nie miał pojęcia, co stało się z Łukasieńskim i czy jeszcze żyje, bo carski rozkaz wyraźnie mówił, że należy „trzymać [go] w twierdzy szlisselburskiej jako więźnia stanu w największej tajemnicy, tak aby [...] nikt nie znał nawet jego imienia ani miejsca, skąd został przewieziony”. Dopiero rosyjski rewolucjonista Michał Bakunin, który w 1854 r. trafił do Szlisselburga, idąc kiedyś więziennym korytarzem, zobaczył jakiegoś nieszczęśnika, którego z powodu choroby wyprowadzano z lochu na przechadzkę: „[...] dnia jednego uderzyła mnie postać [...] starca z długą brodą, jakkolwiek zgięta, wojskowej postawy [...]. Starzec ten chodził po wolnym, słabym, jakby miarowym krokiem, nie oglądając się na nikogo. Pomijając oficerami dyżurnymi był jeden człowiek godny, współczujący: od niego dowiedziałem się w zaufaniu, iż ów więzień był to major Łukasieński. [...] Po kilku tygodniach w czasie dyżuru oficera tego [...] sposobem umówionym zawczasu, niepostrzeżony od współwięźniów, doszedłem go z bliska i półgłosem zawołałem: »Łukasieński!«. Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie wpółzaciemnione oczy. »Kto?« – zapytał. »Więzień od tego roku« – odrzekłem.

»Który rok?« – zapytał. Odpowiedziałem. »Kto w Polsce?« – »Mikołaj«. – »Konstanty?« – »Nie żyje«. »Co w Polsce?« – »Wkrótce dobrze będzie« – odpowiedziałem”. Wtedy Łukasieński stanął, obejrzał się i powoli odszedł słabym krokiem ze spuszczoną głową. Potem Bakunin dowiedział się od owego oficera, że przez kilka dni był niespokojny, mającyl, powróciwszy następnie do swego półsennego stanu. Sam oficer nie mógł mu w niczym pomóc, bo do jego celi wchodził zawsze z dwoma strażnikami. Od tego czasu Bakunin nie widział już więcej Łukasieńskiego.

W oczach caratu Łukasieński był człowiekiem niebezpiecznym, żywym wcieleniem dążeń niepodległościowych, tym, który wzbudzał w swym narodzie wolę walki i popychał go do czynu. Carski minister wojny Czernyszew twierdził nawet, że „zbrodnie Łukasieńskiego były tak wielkie, że jego cesarska wysokość [Mikołaj I] raczył uznać wywołany w Królestwie Polskim w 1830 r. bunt za skutek tylko dwóch poprzedzających go spisków: Łukasieńskiego i Krzyżanowskiego”. Żaden z carów – ani despotyczny Mikołaj I, ani bardziej liberalny Aleksander II – nie myślał nigdy o uwolnieniu polskiego majora. „Rodzina Łukasieńskiego, a także bardziej ludzcy komendanci Szlisselburga – pisze Marian Brandys – odwoływali się do najwyższych instancji, aby uzyskać dla niego, jeżeli nie całkowite uwolnienie, to przynajmniej złagodzenie warunków więziennych. Ale na wszystkich prośbach i raportach, [...] cesarz Mikołaj I własną ręką skreślał stanowcze »Nie«”. Tak samo czynił jego następca Aleksander II, który ogłosił wielką amnestię dla więźniów politycznych, obejmując nią nawet dekabrystów, ale o uwolnieniu Łukasieńskiego nie chciał w ogóle słyszeć.

► Nowa epoka w życiu więźnia

Zmiana w życiu więźnia nastąpiła dopiero wtedy, gdy komendantem twierdzy został Polak, generał Józef Leparski. Przejął się on szczerze losom Łukasieńskiego i interweniował w jego sprawie u władz petersburskich. Wnosił o przeniesienie chorego starca z podziemi zamku do celi więziennej na dolnym piętrze i o umożliwienie mu poruszania się w obrębie twierdzy pod dozorem strażnika. O dziwo, car Aleksander II przystał na prośbę Leparskiego i w marcu 1862 r. Łukasieński trafił do celi więziennej, która w porównaniu z mrocznym lochem wydawała się prawie rajem, bo miał tu stół, przybory do pisania, książki i gazety. Teraz wreszcie po latach bezwzględnej izolacji mógł przelać na papier to wszystko, co przeżył, myślał i czuł. I tak od września 1863 do stycznia 1864 r. rodził się jego „Pamiętnik” – świadectwo nie tylko jednostkowej ofiary, lecz także martyrologii całego narodu. „Ja nie jestem już z tego świata [...] – wyznawał – ja żyję tylko w prze-

szłości. Przeszłość jest moje stanowisko, w którym gotuję się do dalekiej podróży w nieznane kraje przyszłości [...]. Mój głos jest mniej jak głos w pustyni, on nie będzie słyszany przez żadne żyjące jestestwo”.

Całym sobą zurzał się już tylko we wspomnieniu, w młodości, w której widział samego siebie, jak pędzi na koniu, w żołnierskim mundurze, gnany jakąś niepojętą siłą, niewygasłą w nim nigdy miłością ojczyzny. Dochodzi do niego wieść, że nieustraszony cesarz Francuzów wyzwala polskie ziemie, że tworzy się Księstwo Warszawskie i formuje 40-tysięczna armia polska, a on porwany patriotycznym zapalem zaciąga się do ochotniczego batalionu Ignacego Zielińskiego. Od tej pory jest już ciągle w ogniu walki... Bije zaciekle Austriaków pod Raszynem, broni dzielnie Sandomierza, przebywa szlak napoleoński pod dowództwem księcia Poniatowskiego, walczy pod Lipskiem, broni Drezna i dostaje się w końcu do niewoli austriackiej. Potem wszystko toczy się już w błyskawicznym tempie – Kongres Wiedeński, powstanie Królestwa Polskiego pod władzą cara Aleksandra I, wielkie nadzieje Polaków i ogromne ich rozczarowanie. A on trafia po ogłoszonej amnestii wprost do słynnego pułku czwartaków zwanych dziećmi Warszawy.

Te pełne euforii chwile walki u boku Napoleona rozpamiętywał teraz w kazamatach Schlisselburga, tak samo jak dramat Francuzów i Polaków rozgromionych przez wrogie armie w bitwie narodów. Przed jego oczami przesuwały się obrazy z przeszłości Królestwa Polskiego i układały się w jakąś przerażającą wizję tryumfu carskiego despotyzmu. W „Pamiętniku” pisał: „Wielki Książę Konstanty zrobił się samowładnym monarchą. Senator Nowosilcow był jego pierwszym ministrem, [...] nieszczyśny i godny litości szarżer Zajacek [...] przyjął rolę być maszyną do podpisywania, co mu tylko przedstawiono. Czegóż można było spodziewać się od podobnego rządu [...]. Szpiegostwo i donosy tak zagęściły się, że nikt nie był spokojnym wśród swojej rodziny. [...] 14 rodzajów policji jawnych i tajnych liczono w samej Warszawie. [...] Najmniejsze zdarzenia, niewarte nawet żadnej uwagi, były donoszone w ks. Konstantemu, który [...] mnie powiedział [...]: »Ty nie ukryjesz się przede mną ze swoimi postępками, ja wiem, co ty jadasz na obiad«”.

Równie dramatycznie przedstawiała się sytuacja w wojsku. Łukasiński poznał okrucieństwo księcia Konstantego, który codziennie wymyślał nowe manewry i żądał jak najszybszego ich wykonania, stąd „pułki stojące w Warszawie w zimie starały się, męcząc żołnierzy dzień i noc, pokazać swoją gorliwość, a szczególnie pułk 4 liniowy [do którego należał Łukasiński – przyp. aut.]. Manewry wielkie i małe odbywały się z taką akuracnością, że z daleka patrząc, здавало się, że to nie żyjący ludzie ruszają się, ale mario-

netki, dopiero z bliska można było uznać ze smutnych i opuszczonych twarzy, że te masy bez ducha i czucia porusza tylko kij”. Łukasiński nie mógł też nigdy zapomnieć fatalnej w skutkach decyzji Konstantego, któremu przyszła do głowy szalona myśl, by wraz z nadchodzącą zimą przerabiać koszary Pułku 4 Piechoty Liniowej: „Zaczęto i ciągniono dzieło z największą pośpiesznością; robota nie wysychała, postawiono więc żelazne piece dla prędkiego jej ukończenia i zaraz wprowadzono pułk. Nastąpił mrozy, w zamkniętych i dusznych izbach zjawiła się ośfalnia, czyli zapalenie oczu, ludzie zaczęli ślepnąć [...]”. Kaprys ten pozbawił wzroku pewną liczbę oficerów i mnóstwo żołnierzy”.

Na takie akty bezprawia i okrucieństwa burzyła się krew w żyłach polskiego patrioty. Łukasiński postanowił działać i wiosną 1819 r. powołał do życia Wolnomularstwo Narodowe, które w obliczu wewnętrznych konfliktów, podejrzliwości cara Aleksandra I i przewidywanych represji zmuszony był wkrótce rozwiązać. Nie poddał się jednak tak łatwo i utworzył 1 maja 1821 r. działające w całkowitej konspiracji Towarzystwo Patriotyczne. Jego celem stało się odzyskanie niepodległości Polski i odrodzenie państwa w granicach przedrozbiorowych. Łukasiński przypominał sobie teraz uroczysty akt założenia Towarzystwa, to, jak w maju o wschodzie słońca jechał do Łasku Bielańskiego pod Warszawą, jak ujrzał generała Umińskiego na białym koniu w strojnym kontuszu i fantazyjnej furażerce, jak zaszywszy się w gąszczu leśnym nieopodal klasztoru Kamedułów słuchał patriotycznych mów konspiratorów. Powracały do niego słowa składanej tu przysięgi: „Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny i zaczęłam słowem honoru, że wszystkich sił dołożę dla podźwignięcia mojej nieszczęśliwej, kochanej matki, że dla odzyskania jej wolności i niepodległości nie tylko majątek, lecz i życie poświęcę, że tajemnicznie powierzonych przed nikim nie wydam i nie objawię [...]”. Wzywam Boga na świadka, a wy, cienie [...] Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Poniatowskiego i Kościuszki, umocnijcie mnie duchem waszym, abym stale wytrwał w tym przedsięwzięciu”.

Wieści o istnieniu „sprzysiężenia Łukasińskiego” dotarły jednak do tajnej policji i do wielkiego księcia. Donosicielem okazał się były członek Wolnomularstwa Narodowego – pułkownik Augustyn Sznayder, „kreaturka wyjątkowego szubrawca”, który zagrożony sprawą kryminalną chciał się zrehabilitować w oczach władz i wskazał Łukasińskiego szefowi biura śledczego Henrykowi Mackrottowi. Niebawem Konstanty wezwał majora do Belwederu na poufną rozmowę i dociekliwie pytał, czy aby na pewno z rozwiązanego Wolnomularstwa nie wyklęła się jakaś „nowa niezawisła formacja związkowa”.

Od tej pory książę miał na oku niepokornego czwartaka i czekał tylko sposobnej chwili, by się go pozbyć. Ta nadarzyła się wkrótce, gdy major jako członek sądu wojennego nie zagłosował według instrukcji Konstantego. Wówczas książę wpadł w furję i Łukasiński już wiedział, że nie nic nie uratuje go już przed gniewem despoty. Z rozkazu cesarzewicza przejść miał „na reformę”, co oznaczało w czasach napoleońskich honorową emeryturę, a za Konstantego – pozbawienie połowy żołdu i przymusowe przeniesienie do prowincjonalnego garnizonu. Odesłano go, tak jak stał, do Krasnegostawu. Nie mógł nawet wstąpić do swego mieszkania na Starym Mieście, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Wysłani szpiedzy mieli dokonać tam lustracji, by dotrzeć do kompromitujących materiałów. Zawiadomiony o tym w porę przyjaciel Łukasińskiego, porucznik Antoni Tarnowski, okazał się jednak od nich szybszy i zdążył ukryć bądź spalić obciążające papiery. Konstanty natomiast nakazał bacznie śledzić każdy krok majora. Ten jednak zachował zimną krew, a do szwagra i konspiratora Wierzbolowicza napisał: „trzeba więc oddać się przeznaczeniu i być zupełnie spokojnym”.

► Początek drogi przez mękę

Nad Łukasińskim zaczęły zbierać się czarne chmury. W czasie jego pobytu w Krasnymstawie uwięziono kilku członków Towarzystwa Patriotycznego. Jeden z nich złożył obciążające majora zeznania, tak że 25 października 1822 r. został niespodziewanie aresztowany, wywieziony do Warszawy i osadzony w więzieniu na Lesznie. Sąd wojenny (w składzie Hauke, Blumer, Kurnatowski, Bogusławski, Skrzynecki), którym, rzecz jasna, dyrygował wielki książę Konstanty, skazał go na dziewięć lat ciężkiego więzienia. Cesarz Aleksander I miał okazać Łukasińskiemu swoją wspałałomyślność, skracając karę o dwa lata, choć sam skazaniec potraktował tę „łaskę” jako naigrywanie się nad nieszczęśnikami, uważając, że „byłoby lepiej i przyzwoiciej potwierdzić prosto wyrok”.

2 października 1824 r. okazał się jednym z najdramatyczniejszych dni w życiu majora. Czekala go istna Golgota – męka i upodlenie w obozie wojskowym za powązkowskimi rogatkami. Wraz z Dobrogoyskim i Dobryckim wieziono go w otwartym furgonie pod eskortą konnych żandarmów, a na miejscu czekały już na nich ustawione w wielki czworobok wojska polskich i rosyjskich jednostek. Wokół zaś gromadziły się tłumy Polaków ogarnięte jakąś złowrogą ciszą. „Więźniów wprowadzono w środek czworoboku – relacjonuje Antoni Lenkiewicz – i ustawiono w odstępach pod strażą żandarmów. Prokurator podniesionym głosem odczytał wyrok. Uderzono w bębny. Człowiek wysoki,

barczysty, pełniący funkcję kata przystępował kolejno do skazańców, zrywał im szlify i odznaki, łamał szpady nad głowami. Pomocnicy kata zdzierali z nich mundury, ubierali w szare kitle więzienne i golili głowy. Następnie siłą sadzano ich na ziemi i zakuwano w kajdany. Na koniec dano im do rąk taczki i przy ciągłym ogluszającym biciu w bębny, pędzono przed frontem stojących w czworoboku oddziałów. Wojsko i tłum patrzyli na to z przerażeniem. Z oczu wielu szeregowców płynęły łzy. Łukasiński szedł pierwszy, nogi płatały mu się w kajdanach. Był bardzo blady, ale pchał mocno taczkę przed sobą, z głową podniesioną i wzrokiem patrzącym na linię frontową wojska. Co myślał wtedy, patrząc prosto w oczy oficerom i żołnierzom? Co oni myśleli? Czy dojrzewali do listopadowego zrywu, który nastąpił w 6 lat później?”

Do tych bolesnych chwil powracał z pewnością wiele razy w lochach Szlisselburga. O początkach swojej drogi przez mękę nigdy nie mógł zapomnieć. Przesuwały się przed jego oczyma obrazy z twierdzy w Zamościu, gdzie zesłano go po owej upokarzającej egzekucji, a zwłaszcza sprowokowana przezeń nieudana próba buntu więźniów i sąd wojenny, który skazał go na śmierć przez rozstrzelanie. Wielki książę Konstanty nie mógł jednak pozwolić, by skrócono mu męczarnie, czerpiąc prawdziwą rozkosz z dręczenia swych ofiar. Łukasińskiemu zwiększono karę więzienia do 14 lat, zaznaczając, że nawet po upływie tego terminu nie może zostać uwolniony bez specjalnej zgody Konstantego. Najpierw osadzony został w Górze Kalwarii, a stamtąd przewieziony do Warszawy. Na zawsze utkwily mu w pamięci koszary pułku wołyńskiego lejbgwardii, mała półciemna izdebka na drugim piętrze i stołek przymocowany do podłogi. Tu zakuty w kajdany siedział całymi dniami i tu doczekał wybuchu powstania 1830 r. Noc listopadowa była dlań wielkim przeżyciem, momentem euforii i lęków, nadziei i głębokich obaw. W środku nocy zerwał się z pryczy na dźwięk dochodzących z miasta potężnych huków. Przez grube mury celi słyszał krzyki, strzały, dzwony bijące na alarm, a w porażającej ciszy więziennej – coraz szybsze i głośniejsze bicie swojego serca. To serce rwało się ku rodakom, którzy chwycili za broń, by przeciwstawić się rosyjskiemu despotcie.

Nazajutrz, około 10 rano, wyprowadzono Łukasińskiego z celi. Oddziały „wołyńców” ustawione już były w szyku bojowym i gotowe do wymarszu. Wepchnięto go w środek szeregów i powleczono za rogatkę mokołowską, wprost do obozu wielkiego księcia. Widok skazańca był wstrząsający. Odzianego w nędzną siermięgę, z brodą po pas, gnano jak zwierzę na postrońku przez Górę Kalwarię, Puławę, Włodawę, Wysokie Litewskie. W Białymstoku przekazano więźnia w ręce Dybicza, następnie przewieziono do twierdzy

w Bobrujsku, a stamtąd prosto do budzącego powszechną grozę zamku w Szlisselburgu.

► Testament majora

Tutaj tajny więzień caratu po 30 latach samotności w lochach baszty świetlicznej doczekał chwili, gdy mógł spisać wszystko, czym do tej pory żywił swój umysł i serce. Ten starzec, półślepy, jakby powstały z grobu, znalazł w sobie wielką siłę, by zmierzyć się z przeszłością. Walcząc ze słabością swego wynędzniałego ciała, ledwie trzymał pióro w dłoni. Wyteżał wzrok niemalże do bólu, by pokonać ogarniające go ciemności. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że musi pisać mimo wszystko. Toteż pisał nieustrudzenie przez cztery miesiące 1863 r., w czasie, gdy ziemie polskie ogarnęło powstańcze wrzenie, gdy jego rodacy znów podnieśli broń przeciw ciemności. Wtedy to pamięć skazańca wskrzeszała sceny i obrazy z dziejów Królestwa Polskiego. Kreslił portrety wielkiego księcia Konstantego i kolejnych carów – Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II, próbując zgłębić istotę relacji między Polską a Rosją. Analizował sytuację międzynarodową z czasów, gdy był jeszcze wolnym człowiekiem i snuł rozważania o przyszłości Europy, o „zbierających się nad nią czarnych chmurach”. „Jeżeli nakłonię moją głowę i przyłożę ucho, to słyszę głos spragnionej ziemi, wołającej krwi” – wyrażał swe katastroficzne przekonania. Trafność i przenikliwość sądów politycznych i refleksji historiozoficznych tego niezwykłego świadka polsko-rosyjskiej przeszłości do dziś jest zdumiewająca: „Rzućmy okiem na obecne położenie Polski. Tu już nie idzie o kilku lub kilkunastu ludzi, ale o miliony nieszczęśliwych, słabych, uciemiężonych przez mocnych. Dlatego, że ci słabi są Polaki i chcą zostać Polakami. Ta jest jedyna nasza zbrodnia w oczach niektórych Ruskich. [...]”.

Wstąpiwszy na tron cesarz Mikołaj zaczął swoje panowanie od wieszania, zsyłki, wygnania, knutów, prześladowania i tym podobnych łask. [...] Położenie kraju było nieznośne i pogarszało się codziennie. W. książę Konstanty bez żadnego hamulca uciskał kraj swoimi dzikimi skłonnościami i przez swoje kaprysy i tyranie przyprowadziwszy Polaków do rozpaczy, zmusił ich do powstania. [...] W takim stanie znalazł kraj cesarz Aleksander II przy wstąpieniu swoim na tron [...]. Złe puściło głęboko korzenie. Półwiekowe doświadczenie jasno przekonało Polaków, że nie tylko pod rządem, ale pod wpływem Rosji Polska nie może być spokojną [...]. Sto razy orężem Polaki mogą być zmuszeni do posłuszeństwa i sto razy powstawszy walczyć będą z powiększonym zapalem za swoją niepodległość, dopóki nie zostaną wolnymi. [...]

Polska koniecznie musi i będzie odłączona od Rosji. Bezpieczeństwo Europy, jej przyszła spokojność wymagają tego, ażeby Polska mocna i rządzona zasłaniała ją od Rosji, tak jak dawniej zasłaniała ją od Turków i Tatarów. Taki był plan Napoleona I przy zaczęciu wojny 1812 r. Dopóki ten plan wykonany nie będzie, Europa zostanie w obawie. Rosja jest państwem jedynowładnym i wojskowym, a zatem duch i dążność jej – wojna i zdobycia. [...]

[...] wkrótce spodziewam się stanąć przed tronem Wszechmocnego i [...] prosić będę nie kary, nie zemsty, a nawet nie surowej sprawiedliwości, lecz tylko ojcowskiej poprawy dla winnych, pocieszenia i ulgi dla cierpiących i na koniec zgody, pokoju i błogosławieństwa dla obydwóch narodów, gdyż będąc sąsiadami, nie będą nigdy używać pomyślności, jeżeli zachowają dawną nienawiść i [będą] szkodzić sobie wzajemnie”.

► Modlitwa skazańca

Łukasińskiemu do ostatnich chwil towarzyszyło przeświadczenie, że Polska zmartwychwstanie, odrodzi się z popiołów i z krwi bojowników o jej wolność – legionistów, powstańców listopadowych i styczniowych, konspiratorów, więźniów i męczenników za narodową sprawę. Cierpiący katusze major do samej śmierci wierzył niezachwianie w sprawiedliwość dziejową, pokładając całą ufność w Bogu. Przez lata swego męczeństwa w Szlisselburgu odmawiał modlitwę, spisaną w 1865 r. i dołączoną do więziennego rękopisu. Była to modlitwa przesycona jakąś wielką chrześcijańską pokorą, całkowitym poddaniem się woli Bożej, ciągłą gotowością do przyjmowania cierpienia, ale też modlitwa przeniknięta nadzieją i wiarą w wyzwolenie ojczyzny, w tryumf wolności nad despotyzmem: „[...] Uzbrojeni ufnością w Ciebie, my nie boimy się [...] naszych prześladowców, z których jedni chcą nam wydrzeć religię ojców naszych, a drudzy zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Jęki i płacz żyjących, krew drogich ofiar wylana i poświęcona dla dobra ojczyzny, modły dusz poległych jej cnotliwych synów, które są już przed obliczem Twoim, dają nam nadzieję, że koniec cierpień naszych zbliża się. Jeżeli będzie wola Twoja, to podniesiesz z prochu wyabiciela, dasz mu mądrość i potęgę, jego słabej ręce, i on uzbrojony pójdzie w imię Twoje i zawstydzi możnych i zmusi ich do wyznania, że jeszcze jest coś wyższego w górze, które miesza zamiary śmiertelnych”.

Łukasiński zmarł w Szlisselburgu w 1868 r., pochowany w nieoznaczonej mogile. Do dziś nie wiadomo, gdzie odnalazł wieczny spokój, gdzie spoczęło jego umęczone ciało. Nie doczekał wolności ojczyzny. Polacy wywalczyli ją równo pół wieku po jego śmierci. ■

Sprawa prawdy i kłamstwa we współczesnym życiu przesunęła się. Kiedyś była znacznie prostsza. Białe było białe, czarne było czarne. Dziś białe to jest coś niewiadomego koloru, co w pewnych celach zostało przemalowane na białe. Za chwilę farba zejdzie, ale już wtedy biała płaszczyzna spełniła swoje zadanie. Oślepiła ludzi. Spełniła swoją świadomość. Kiedy rozpoznają swój błąd, będzie za późno, na białej płamie narosną fakty, których nic już nie usunie” – tak o roli propagandy we współczesnych czasach pisała w 1946 r. na łamach londyńskich „Wiadomości” Stefania Zahorska. Na tych samych łamach i na ten sam temat napisał dwa lata później przedwojenny mistrz felietonu Zygmunt Nowakowski. Felieton „Dziwy propagandy” opowiadający m.in. o powojennym Krakowie to popis niepodrabialnego satyrycznego stylu Nowakowskiego. Pokazujący absurdalne początki zmian, jakie w świadomości Polaków wprowadzała władza z sowieckiego nadania. Ile z tych absurdów zostało w naszych słowach do dziś? Ile odrzuciliśmy za komunę, a przyjęliśmy dobrowolnie w rzeczywistości III RP?

Zygmunt Nowakowski

Dziwy propagandy

Szatan zadaje księdzu Piotrowi pytanie: „A czy wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście?”. Czytając pewne wydawnictwa, ukazujące się w kraju, skłonni jesteśmy skrócić ten termin i spytać, co będzie z Polską, z Polakami, za lat np. dwa. Tam wszystko, absolutnie wszystko służy propagandzie, i to w najgłupszym mongolskim stylu.

Propagandzie służy nawet afisz teatralny. Można spłakać się ze śmiechu i z rozpacz przy lekturze programu opery warszawskiej, która wystawiła niedawno „tragedię japońską” „Madama Butterfly”. Człowiek wierzyć nie chce, że w Polsce, w Warszawie, drukują tak potworne nonsensy, jak np.: „Mimo że Japonia straciła dziś nasze sympatie, wzrusza nas w dalszym ciągu smutna historia japońskiego dziewczęcia”. Urokowi tej opery „mimo wszystko” nie można się oprzeć, gdyż jest ona szczególnie egzotyczna „wśród twardej europejskiej rzeczywistości”.

► Kapłan japoński, fanatyk w kimonie

Po tym uroczystym wstępie następuje atak na Stany Zjednoczone i na ich brak etyki: „Jest prawdą starą jak świat (Nowy), że oficerowie marynar-

ki Stanów Zjednoczonych nie biorą na serio ślubów zawartych w różnych portach świata. Ślub taki odbywa się na marginesie moralności europejskiej”... A to lajdaki ci Amerykanie! Zawierają śluby w różnych portach na marginesie moralności europejskiej! Pinkerton to zupełny szubrawiec, gdyż „dość skwapliwie bierze na siebie nie obowiązujące jego zdaniem zobowiązania”... Rezultat? Dziecko, „którego błękitne oczy i złote włoski bynajmniej nie odpowiadałyby japońskim rasiom”.

Zacytowane idiotyzmy stanowią jednak dopiero początek, czytamy bowiem w dalszym ciągu, że na młodą Japonkę rzuca przekleństwo jej wuj, „kapłan japoński, fanatyk w kimonie”. A w czymże, do diabła, ma chodzić ten kapłan japoński? W szlafroku albo w rubaszce? Pinkerton to zupełnie bydlę, bo „ustatkował się i ożenił w Ameryce, jak przystało na przyzwoitego oficera marynarki,

nie przejmującego się słubami, zawartymi na dalekim kontynencie" ... Sukinsyn! Nie darował Japonii i zrobił z niej kontynent! A cóż na to Madame Butterfly? Jest bardzo wierną małżonką, gdyż odtrąciła zaloty księcia Yamadoti, który „ofiaruje jej swą japońską miłość i poprawę sytuacji materialnej” ... Cóż to za jakieś świństwo ta „japońska miłość”?

„Mr. Pinkerton zjawia się w towarzystwie prawowiernej małżonki po to, aby zabrać i wychować na zasadach kultury europejskiej swego jasnowłosego synka”. Zrobi z niego faszystę, jak amen w pacierzu. Biedne dziecko! Ale Madame Butterfly zachowuje się w dalszym ciągu z wielką godnością, czytamy bowiem: „... ponieważ nie jest Europejką, więc nie urzędzi niewiernemu kochankowi sceny” ... Autor programu także, i to z całą pewnością, nie jest europejczykiem, nawet przez najmniejsze „e”, gdyż informuje nas, że dla Madamy Butterfly „pozostaje inne, egzotyczne, wschodnie wyjście z sytuacji”. Dokąd? Może do łaźienki? Nic podobnego; „inne, egzotyczne, wschodnie wyjście” to „nóż – święta pamiątka po przodkach”. Wydaje mi się, że jeśli idzie o autora tego programu, nóż nie jest najlepszym wyjściem. Przydałaby się na niego bomba atomowa.

► Proletariat bił Tatarów

Myślałem także o bombie atomowej, myślałem o tym, co będzie z Polską za dwa lata, czytając najnowszy przewodnik po Krakowie. Autorem tej kłamliwej i niechlujnej książki jest Władysław Józef Dobrowolski. Przedmowę napisał Adam Polewka. [...]

Literatura o Krakowie jest niezmiernie bogata. Żadne inne miasto w Polsce nie posiada tak świetnie, tak szczegółowo opracowanej historii każdego zabytku. „Roczniki Krakowskie”, a przede wszystkim wydawnictwa Tow. Miłośników Krakowa, w monograficzny sposób przedstawiają dzieje każdej nie tylko ulicy, ale każdej kamienicy, każdego cechu, każdego kościoła, każdego, niemal dosłownie, kawałka murów. Dzięki niebieskim książeczkom (jest ich chyba ze dwieście), wydawanym przez miłośników Krakowa, znamy np. historię szpitali krakowskich albo krakowskich łaźni, znamy stosunki handlowe Krakowa np. z Węgry lub z Czechami, znamy zwyczaje, legendy, anegdoty, znamy całe życie miasta od czasów najdawniejszych aż do niedawnych, opracowanych w dwóch kapitalnych tomikach przez Marię Estreicherównę. Znamy nawet... strachy, duchy, ukazujące się w starych domach.

Przewodników drukowanych było sporo, z nich ostatni, Karola Estreichera, po prostu znakomity. Ostatnie słowo wiedzy o Krakowie, podane w sposób popularny a pouczający. Autor, zarówno po mieczu, jak po kądzieli, jest dziedzicznie obciążony Krakowem (dziadek macierzysty – Ambroży Grabowski!), kocha Kraków i wie o nim co najmniej tyle, ile np. Franciszek Klein, p. Helena d'Abancourt, Jan Dobrzyński, nie mówiąc o pokoleniu starszym, więc o Bąkowskich lub Muczkowskich. Przewodnik Estreichera, który ukazał się na krótko przed wojną, miał dwa (może nawet i trzy?) wydania. Był najlepszy, bezkonkurencyjny.

Lecz ten przewodnik odznaczał się jedną wielką wadą: mówił o Krakowie prawdę! Dlatego trzeba było koniecznie wydać przewodnik nowy, taki, który by zawierał wyłącznie propagandę, i to propagandę na poziomie programu „Madamy Butterfly”. Autor przewodnika jest zupełnym ignorantem, pisał zaś swe dzieło na kolanie i kłamał, jak mu kłamać kazano.

Styl? Pomnik Mickiewicza „zburzyli umyślnie Niemcy”. To „umyślnie” jest czymś kapitalnym. Czy można zburzyć taki pomnik nieumyślnie? Albo: Twardowski to był „popularny szlachcic”. Zda się, że autor przewodnika uzyskał stopień doktorski na jakichś popularnych kursach wieczorowych. Albo: kościół Dominikanów „podlegał... pożarom”. Kraków teraz podlega bolszewikom, natomiast kościół Dominikanów ulegał pożarom. Albo: przysięga Kościuszki odbyła się „w przededniu słynnego powstania”. No, owszem, było „słynne”, ale tak się nie pisze, poza tym nie zawdziłoby dodać, przeciw komu zwracało się owo powstanie. [...]

Pan Dobrowolski nie umie wyjaśnić rzeczy najprostszej. Mówiąc o „Lajkoniku”, dodaje komentarz: „Zwyczaj ten, wedle legendy, pochodzi z końca XIII wieku i jest obchodzony na pamiątkę odparcia najazdu Tatarów, przez najuboższą ludność miasta” ... Gdy naród do boju wystąpił z orężem, panowie cygara palili! Proletariat bił Tatarów. [...]

► Kraków kolebką bolszewizmu

Nie mam ochoty znęcać się dalej nad stylem, ale jeszcze jedna próbka: w kruchcie kościoła św. Katarzyny „pojawia się tu i ówdzie między liśćmi kilka ptaków i zwierzątek”. Niech cię diabli wezmą!

Arcykłambstem jest przedmowa, która wyszła spod pióra literata minimorum gentium, Adama Polewki. Czytamy np.: „Walki konfederatów bar-

skich o Kraków w latach 1769–1772 doprowadziły to wspaniałe niegdyś miasto do ostatecznej już ruiny”. Jak wynika z tego, konfederaci byli najeźdźcami a Rosjanie bronili swej własnej stolicy. Teraz rozumiemy, dlaczego p. Dobrowolski, mówiąc o domu Długosza, wspomina tajemniczo o „wojnach konfedarackich”, natomiast przy opisie Barbakanu nie wspomina o tablicy marmurowej ku czci Marcina Oracewicza, który celnym strzałem zabił pułkownika rosyjskiego w r. 1768. Pojmujemy, dlaczego p. Dobrowolski dyskretnie zaznacza, że arrasy zostały „rewindykowane z zagranicy”. Istotnie, pałac gaczyński jest za granicą, mianowicie w Rosji. [...]

Wszelako p. Dobrowolski jest wcieleniem prawdy, jeśli porównamy go z p. Polewką, który sprowadza do właściwych rozmiarów postać Piłsudskiego: „Tu [tj. w Krakowie] zaczyna Piłsudski organizować „Strzelca”, tu organizuje później pierwsze kompanie legionowe. W okresie panowania sanacji będzie piłsudczyzna wyolbrzymiać te wydarzenia do rozmiarów legendy, chociaż jest faktem historycznym, że nie orężnej walce kilkunastu tysięcy legionistów, ale rozpadowi Austrii, rewolucji w Niemczech, a przede wszystkim w Rosji, zawdzięcza Polsce odzyskanie niepodległości po pierwszej wojnie światowej. To też dumny winien być Kraków z faktu, że Lenin, wódz tej rewolucji, która także i Polsce dała wolność, przebywał w Krakowie i jego okolicy (właśnie przygotowując rewolucję w Rosji) przeszło dwa lata od 1912–1914 r. W Krakowie od 28 lutego 1912 r. do stycznia 1913 r. odbywały się narady członków Komitetu Centralnego socjal-demokratycznej partii bolszewików z funkcjonariuszami partyjnymi, a w obradach tych brali udział Stalin, Krupska, Pietrowski i in. Przyjęto podówczas szereg uchwał o zadaniach partii, o wzmocnieniu nielegalnej pracy i o umasowaniu walki rewolucyjnej. W drugim tygodniu wojny, Lenin, którego chwilowo aresztowały władze austriackie jako Rosjanina i wypuścili z aresztu na skutek interwencji poety Jana Kasprówicza, wyjechał do Szwajcarii”.

Trzy wiersze poświęcone próbie pomniejszenia Piłsudskiego, dwanaście wierszy przedstawiających Kraków niemal jako kolebkę bolszewizmu.

► Stalin sprowadził Słowackiego

„W roku 1927 złożono uroczyste na Wawelu zwłoki Juliusza Słowackiego, chociaż opierała się temu kuria biskupia”... Nieprawda. Opierał się kardynał Puzyna, który umarł w r. 1911. Jego następca wcale się nie opierał, był członkiem czy może nawet prezesem komitetu pogrzebu. Szko-

da, że p. Polewka nie zaznaczył, że Słowackiego wprowadził na Wawel Stalin. [...]

Za dwa najbardziej godne uwagi epizody w dziejach Krakowa uznał p. Polewka tzw. wypadki listopadowe z r. 1923 i strajk w fabryce „Semperit” z 23 marca 1936. O hołdzie pruskim pięć wierszy, o przysiędze Kościuszki dwa wiersze, o wypadkach listopadowych i strajku w fabryce „Semperit” trzydzieści dwa wiersze.

Wypadki te przedstawił p. Polewka z niezmierną swadą. [...] Szarża dowodzona przez oficerów – arystokratów, załamała się w ogniu salw robotniczych, pokrywając ul. Dunajewskiego (dziś 1 Maja) trupami koni i ludzi”.

Jakże to wyglądało naprawdę? Akcja strajkowa wymknęła się z rąk przywódców socjalistycznych. Z odwachu przy rataszu strącono sztandar państwowy, a wywieszono czerwony. Męty uliczne zapanowały nad miastem. Gdy wreszcie władza przywróciła porządek, najbardziej zadowoleni z tego byli przywódcy socjalistyczni.

Komendantem miasta był eksaustriacki generał Czikiel, postać w Krakowie bardzo popularna, w każdym razie bardziej popularna niż dzisiejsi oficerowie rosyjscy, przebrani w polskie mundury. „Szarża” ułanów? Konie szły najpierw bardzo powoli, jednak spłoszone strzałami tłumu, zaczęły ślizgać się na mokrym asfalcie (jezdnię polano wodą właśnie w tym celu, by uniemożliwić szarżę) i poniosły ułanów. [...] Czy oficerowie byli „arystokratami”? Dowódca ułanów, który poległ, nazywał się Bochenek. Nazwisko w tym samym stopniu arystokratyczne co nazwisko Polewka.

► Bolszewicy ratują stolicę Jagiellonów

Lecz najpiękniejszym dniem Krakowa był 18 stycznia 1945: „Na plantach krakowskich obok Bramy Floriańskiej i Barbakanu, tych dwóch klejnotów zabytkowych, bieje na tle zieleni pomnik wzniesiony na zbiorowym grobie kilkunastu radzieckich oficerów, poległych w bitwie o Kraków. Dostojne piękno starych murów Krakowa obok grobowca tych, którzy piękno tych kamiennych kart historii Narodu polskiego ocalili, płacąc własnym życiem cenę uratowania stolicy Jagiellonów od zagłady... Jeśli ludzie zapomną – kamienie mówić będą”...

Ludzie nie zapomną nigdy tych kłamstw, które p. Polewka sfabrykował, a kamienie będą mówiły prawdę. Za lat dwa i za lat sto i za dwieście!...

Przedruk za: „Wiadomości”, Londyn, 26.07.1948 r.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.



Małgorzata Matuszak

Czym jest... paideia

Każda koncepcja człowieka przekłada się na określony model wychowania i kształcenia. Jeśli uznaje się człowieka za psychofizyczną i duchową jedność, to oczywistym się staje, że cel edukacji upatruje się w harmonijnym i integralnym rozwoju całego człowieka. Taką właśnie rolę odgrywała paideia, będąca elementem składowym całej zachodniej kultury, spuszczającą przenikającą do nas przez obyczaj i tradycję, nawet pomimo naporu modeli tzw. nowoczesnej edukacji.

Termin „paideia” pochodzi od rzeczownika „pais” (w dopełniaczu „paidos”), czyli „dziecko”, chociaż bywa też wywodzone od czasownika „paideuo”, oznaczającego „wychowywać, kształtować, kształcić, uczyć, oświecać, nadawać kulturę/wykształcenie/ogładę”.

nim już jest. To, w jakim kierunku zdążyła paideia, najlepiej oddaje grecki termin „kalokagathia”, czyli „piękno-i-dobro”, szlachetność, doskonałość. Człowiek „piękny i dobry” harmonijnie łączył w sobie przymioty ciała i ducha – fizyczną sprawność uzyskaną dzięki gimnastyce, sprawność moralną wykształconą poprzez muzykę i literaturę, zwłaszcza Homera, później także wiedzę z zakresu retoryki, filozofii i nauk ścisłych.

Kiedy pojęcie paidei dotarło do Rzymu, nie zastąpiono go żadnym z potocznych słów oznaczających wychowanie szkolne, ale przetłumaczono terminem wywiedzionym od wyrazu „człowiek”: „humanitas”. W ten sposób paideia, poprzez rzymską „humanitas” i renesansowy humanizm, stała się szkołą ducha

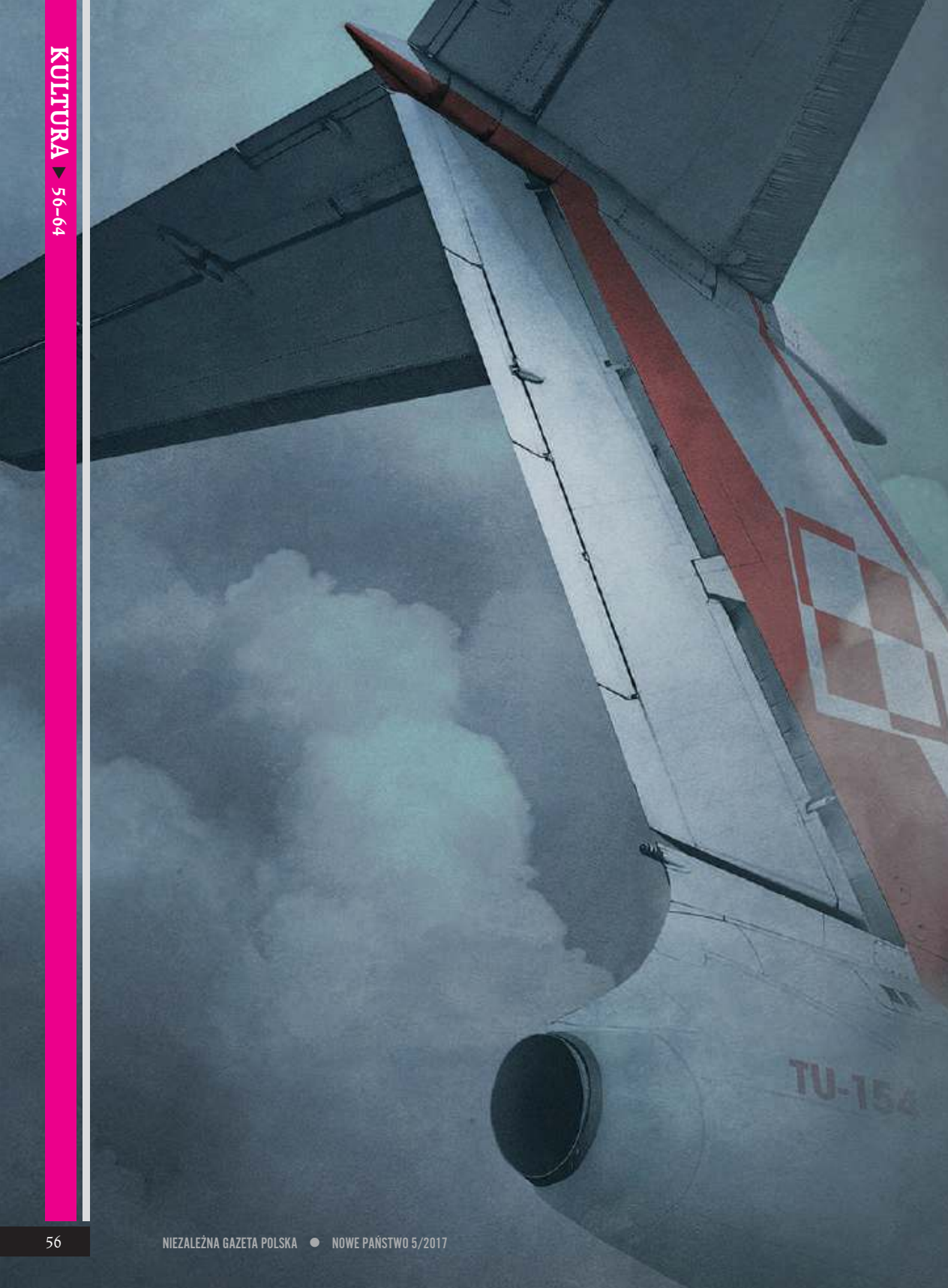
GRECKA PAIDEIA TO TAKA „UPRAWA” CZŁOWIEKA, KTÓRA DAJE MU OGŁADĘ, CZYNI GO ISTOTĄ CYWILIZOWANĄ, KULTURALNĄ ZARÓWNO POD WZGLĘDEM OSOBISTYM, JAK I SPOŁECZNYM. TO ĆWICZENIE „BYCIA CZŁOWIEKIEM” I REZULTAT TEGO ĆWICZENIA – STAN, W KTÓRYM ISTOTA LUDZKA SIĘGA DOSKONAŁOŚCI.

Oznacza w każdym razie zarówno sam proces wychowywania i kształcenia dzieci, jak i procesu tego skutki, wychowanie i wykształcenie. (I nie tylko dzieci, gdyż paideia towarzyszyła Grekowi przez całe życie). Słowo to miało również inne znaczenie: uprawa. Grecka paideia to zatem taka „uprawa” człowieka, która daje mu ogładę, czyni go istotą cywilizowaną, kulturalną zarówno pod względem osobistym, jak i społecznym. To ćwiczenie „bycia człowiekiem” i rezultat tego ćwiczenia – stan, w którym istota ludzka sięga doskonałości. Nie jest to wychowanie, które ma celu przygotowanie człowieka do pełnienia określonej funkcji zawodowej, ekonomicznej czy politycznej, ale do spełnienia istoty „bycia człowiekiem” danej „z natury”, rozumnego osiągnięcia możliwości tkwiącej w człowieku z racji tego, że jest właśnie człowiekiem.

Paideia służyła temu, by człowiek odkrył w sobie człowieka, by stał się nim w szczególności na gruncie moralnym, skoro na płaszczyźnie bytowej

zachodniej cywilizacji, ucłowieczeniem poprzez udoskonalanie ludzkiej natury i wydobywaniem jej najlepszych cech. Początkowo grecką paideię przeciwstawiano chrześcijaństwu, później jednak nastąpiła ich synteza. Paideia związana z tradycją chrześcijańską pojmuje człowieka w perspektywie ostatecznego celu życia. Jest zatem, w odróżnieniu od antropocentrycznej greckiej, paideią teocentryczną. Zawsze jednak oznacza istnienie określonego ładu (na poziomie moralnym i umysłowym), osiągalnego poprzez długie ćwiczenie i przezwyciężanie własnych słabości.

Ten sposób wycho(wy)wania miał na myśli św. Jan Paweł II, kiedy mówił do młodzieży szkolnej i akademickiej w Poznaniu, że „głównym zadaniem kultury jest wychowanie, a w wychowaniu chodzi o to, aby człowiek stawał się bardziej człowiekiem; o to aby bardziej był, a nie więcej miał, aby przez to wszystko, co ma i posiada, potrafił bardziej być człowiekiem, aby nie tylko był z drugimi, ale i dla drugich”.





Krzysztof Karnkowski

Powtórka ze „Smoleńska”

Gdy ucichł już medialny ostrzał filmu „Smoleńsk”, można stwierdzić, że z tego zadania reżyser Antoni Krauze wyszedł obronną ręką.

Minął kwiecień. Kolejna rocznica katastrofy smoleńskiej. Atmosferę spokojnej refleksji i zadumy zakłóciły informacje potwierdzające najgorsze obawy na temat profanacji ciał pasażerów tragicznego lotu sprzed siedmiu lat. A godne uczczenie ofiar na ulicach Warszawy próbowały zagłuszyć, jak w najgorszych chwilach 2010 r., ryczące hordy nieszanujące ani hymnu, ani modlitwy. Minie jeszcze wiele lat, nim o Smoleńsku będzie można rozmawiać i pisać spokojnie. Spróbujmy więc chociaż bez zbędnych emocji spojrzeć na film „Smoleńsk” Antoniego Krauze, ponad pół roku od jego premiery kinowej.

Obraz budził emocje na długo przed premierą, nie tylko z powodu problemów z jego ukończeniem. Jego wejście na ekrany opóźniło się wiele razy, co powodowało liczne plotki natury artystycznej i politycznej. Zmieniały się nazwiska współpracowników Krauze, zmieniło się też planowane zakończenie. Media podsycaly atmosferę, chętnie publikując wywiady z aktorami, którzy deklarowali, że u Krauze tym razem na pewno nie zagrają, film spotkał się z wyraźną niechęcią ze strony PISF i ministerstwa kultury za czasów PO. Gdy już zagościł na dużym ekranie, ruszyła kolejna fala ataków, tym razem sku-

piająca się na wystawianiu obrazowi jak najgorszych ocen zarówno na polskich, jak i zagranicznych portalach.

► Fabuła pretekstowa

Później atakowano film z przyczyn artystycznych, czasem ledwo kryjąc się ze stojącymi za surową oceną politycznymi motywami. Tymczasem „Smoleńsk”, choć widać w nim pewne niedoskonałości, wciąż będąc problemem całego polskiego kina, się broni. Nie będąc filmem komercyjnym, nie jest też jednak fabularyzowanym dokumentem, choć Krauze wraz ze





scenarzystami chwilami ogranicza się do fabuły pretekstowej, pozwalającej widzowi wraz z główną bohaterką, dziennikarką Niną, śledzić kolejne etapy załoby i śledztwa oraz zderzać się ze wszystkimi wątpliwościami dotyczącymi katastrofy, które znane były do chwili ostatniego klapsa na planie „Smoleńska”. Większość z nich dziś wybrzmiewa jeszcze mocniej, gdy docierają do nas choćby szokujące wyniki kolejnych ekshumacji. Jednak już samo to, co pokazuje Antoni Krauze, jest głośnym dzwonkiem alarmowym. Dramat na ekranie stopniowo zmienia się w thriller, dziennikarka (Beata Fido) jest równie sztuczna i fałszywa jak jej koleżanki, znane nam z telewizji, zaś dwóch najbardziej demonicznych bohaterów granych przez chyba najlepszych aktorów (Zelnik i Klijnstra) wypada naprawdę niepokojąco. Wykorzystywane obficie materiały archiwalne wplecione są w całość na tyle umiejętnie, że czasami trudno odróżnić, które ujęcia zostały dokręcone już później, na użytek filmu. Kolejne fakty i hipotezy budują opowieść scenarzystów i atmosferę niepokoju, potęgowaną przez kłamstwa, naciski i tajemnicze zgony bohaterów, niebędące przecież dziełem wyobraźni ani artystyczną metaforą. Jest wreszcie scena samej katastrofy, pokazana przejmująco, bardzo filmowo i urwana w odpowiednim momencie, tak by nie epatować widza rzezią – Krauze uniknął tu pokus, które stanęły na drodze autorów innych dzieł, poruszających bolesne i krwawe tematy, Jana Komasy („Miasto ‘44”) czy Wojciecha Smarzowskiego („Wołyń”).

► W pierwszej dziesiątce

Wbrew medialnym przekazom, całkiem dobrze wypada frekwencja filmu. Oczywiście „Smoleńsk” nie zgromadził takiej publiczności jak największe kinowe przeboje (rekord zeszłego roku należał do filmu „Pitbull – Niebezpieczne kobiety”, na który sprzedano aż 2,7 mln biletów), został też daleko w tyle za „Wołyniem” (1,4 mln widzów). Jednak z wynikiem 462 tys. mieści się w pierwszej dziesiątce, którą zamknęła „Historia Roja” z wynikiem 310 tys. widzów. „Pokłosie” czy „Ida” wcale nie wypadły w polskich kinach lepiej, pomimo potężnego wsparcia mainstreamowych mediów i krytyki. Tymczasem film Antoniego Krauze przez kilka tygodni notowany był ostatnio na liście bestsellerów EMPiK-u, co wskazuje na niesłabnące zainteresowanie, zapewne również tych, którzy z wielu powodów nie poszli wcześniej do kin. Warto wykorzystać tę okazję i zdecydować się na pierwszy lub powtórny seans.

Gdy ucichł już medialny ostrzał filmu, można stwierdzić, że z tego zadania Antoni Krauze wyszedł obronną ręką. Film obejrzany ponownie przywołał emocje z wiosny i lata 2010 r., oddał też późniejsze wątpliwości i atmosferę wszechogarniającej dezinformacji. Aby został w pełni doceniony, potrzebujemy prawdy o samym Smoleńsku. Tej samej prawdy, której szukają (lub szukać nie chcą) jego bohaterowie. ■

Jakub Kozłowski

Chirurgiczne cięcie legendy hard rocka

Nie będę skupiał się na stricte muzycznej wartości płyty „Infinite”, tę każdy powinien ocenić przez pryzmat własnych oczekiwań. Postaram się jednak odnieść do emocji związanych z odsłuchem najnowszego, a 20. w dyskografii, albumu geniuszy hard rocka. Nie ukrywam, czekałem na niego i dałem mu duży kredyt zaufania. Tyle że efekt końcowy nie okazał się dla mnie satysfakcjonujący. Jakie więc emocje towarzyszyły mi w trakcie poznawania albumu? Niestety, niewielkie. Co ciekawe, w okresie poprzedzającym premierę nic na to nie wskazywało. Utwór „Time for Bedlam” zapowiadający „Infinite” zaskakiwał energią i nowoczesnym charakterem aranżacji kompozycji. Cieszyć mógł czysty śpiew Iana Gillana, który zresztą na całej płycie nie zdołał utrzymać równego poziomu (upływ lat wyraźnie dawał się zauważyć również na ostatnich koncertach zespołu). Niestety, wraz z kolejnymi utworami wspomniana energia ulatuje. Płyta, chociaż nie wzbudza zastrzeżeń pod względem kompozycyjno-technicznym, sprawia wrażenie pozbawionej duszy. Być może „profesorom rocka” już po prostu nie wypada przybierać niektórych scenicznych masek, chciałbym jednak, aby rock pozostawał rockiem – czyli muzyką zbuntowanych bądź spragnionych zabawy. Deep Purple nie mają przeciwko czemu się buntować (choć podejmują taką próbę we wspomnianym „Time For Bedlam”). Deep Purple nie chcą już również oddawać się zabawie i nawet ten aspekt ma w ich twórczości słodko-kwaśny posmak (utwór „One Night in Vegas”, „On The Top of The World”). To, co jednak prze-

szkadza najbardziej, to uderzający profesjonalizm oraz chirurgiczna niemal dokładność producenta Boba Ezrina. Uwagę zwracają również nietrafione aranżacje (nakładki na głos Gillana w „Time for Bedlam”, „On The Top of The World”) i rutynowe, wyprane z odrobiny szaleństwa akordy i linie melodyczne tworzone

przez muzyków (najdotkliwiej odczułem to w utworze „Johnny's Band”). Album „Infinite” jest przykładem wybitnych zdolności muzycznych, które jednak poprzez lata rutyny wypracowanej w trakcie tysięcy koncertów prowadzą do artystycznej sztampy. A w każdym razie ja nie potrafiłem szczerze zachwycić się zaproponowaną przez Deep Purple porcją muzyki. Problem nie leży jednak w moim nastawieniu, bo płytę zespołu naprawdę chciałem polubić. Za grupą przemawiają przecież genialne albumy z przeszłości, dziesięciolecia kształtowania muzycznych gustów i trendów artystycznych, wybitne indywidualności i geniusz muzyczny. Słuchając po raz kolejny „Infinite”, zastanawia-

łem się, czy w 1970 r., poznając po raz pierwszy płytę „In Rock”, ktoś mógł dojść do wniosku, że jest to album zbyt wyglądający i sterylny, aby przemówić do wyobraźni słuchacza. Bardzo w to wątpię. Wbrew opinii niektórych znawców undergroundowej muzyki lat 70. te prawdziwie klasyczne albumy najczęściej zawdzięczają swoją renomę wyłącznie prezentowanemu poziomowi artystycznemu. Czy „Infinite” zostanie kiedykolwiek wymieniona jednym tchem wraz z „Fireball”, „Machine Head” czy nawet „Burn” i „Stormbringer”? Według mnie nie ma na to szans. ■



Deep Purple „Infinite”, 2017 r.



Sylwia Krasnodębska

Polskie Radio

Chciałbym być taki jak ty – mówi do Przemka Dyakowskiego Leszek Możdżer. – Nie polecam – odpowiada ten pierwszy. „Przemek Dyakowski. Życie na jazzowo” to film dokumentalny Andrzeja Mańkowskiego ukazujący nie tylko życie wybitnego polskiego twórcy polskiej muzyki współczesnej, lecz także środowisko polskich jazzmanów, którzy zwykli o sobie mówić: „młodzi, przystojni, wcięci w pasie bruneci”.

Jazz to chaos, tylko uporządkowany

Nie wiadomo, czy Przemek Dyakowski jest postacią realną czy mityczną. Gdyby go nie było, trzeba by go stworzyć – mówi w filmie Wojciech Fulek, historyk muzyki jazzowej i rockowej. I ma rację. Dyakowski jest odporny na powszechny mechanizm naśladownictwa. Potrafi tworzyć muzykę i ją grać. A w zdaniu tym nie ma nic z banału.

► Między Żakiem a Rudym Kotem

Saksofonu uczył go Józef Łysak z orkiestry radiowej w Krakowie. Dyakowski grał po 11, 12 godzin na dobę. Przekonany, że „cały świat gra na saksofonie”, wstąpił do zespołu Zygmunta Koniecznego w krakowskim kabarecie Piwnica pod Baranami. Wkrótce jednak przeprowadził się do Gdyni, gdzie rozpoczął życie z ukochaną.





fot. Adam Warzawa/PM

FILM „PRZEMEK
DYAKOWSKI. ŻYCIE
NA JAZZOWO” TO
TEŻ ROZWAŻANIA
O TYM, JAKĄ MUZYKĄ
JEST JAZZ. PADA
SFORMUŁOWANIE, ŻE...
SMĘTNĄ. ŻE MUZYCZNA
OPOWIEŚĆ JAZZMANÓW
O MIŁOŚCI JEST ZAWSZE
SMUTNA.

W Trójmieście grywał w Klubie Studentów Wybrzeża ŻAK. Jednak jazz nie był jego jedyną miłością. Zdarzało się, że jednego dnia chodził między ŻAK-iem a Rudym Kotem. W tym drugim klubie grał rock`n`rolla. W filmie Mańkowskiego przenosimy się w czasie. Lata 60., potańcówki, energia, miłość do muzyki, entuzjazm i randki, bo – jak mówią bohaterowie – filmu: „cóż byłaby warta muzyka bez ładnych dziewczyn”. Jest tu też dużo spotkań, koncertów, wyjazdów i wspomnianych archiwaliów. A ścieżką muzyczną jest oczywiście jazz. W dużej ilości. W filmie występują i wspominani są twórcy polskiej muzyki współczesnej jak: Hanna Banaszak, Janusz Muniak, Wojciech Karolak, Krystyna Prońko, Joanna Knitter, Helmut Nadolski, Leszek Możdżer i Zygmunt Konieczny. Film dokumentalny powstał we współpracy m.in. z TVP Gdańsk, jego pierwszy pokaz miał miejsce podczas Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni w ubiegłym roku. Premiera dla szerszej publiczności ma odbyć się na antenie TVP.

► Wybrzeże kolebką jazzu

Choć jest legendą jazzu i tworzył to środowisko w Gdyni, mówi, że na Wybrzeżu nigdy nie brakowało jazzu, a do dziś w mieście tym można nawet przypadkowo spotkać bardzo utalentowanych muzyków. Kiedy w Polsce nuty czy jazzowe płyty były niedostępne, w Gdyni wystarczyło mieć znajomego marynarza, by mieć dostęp do tych dóbr. Sam Dyakowski grał z zespołem na statku pasażerskim na południowym Pacyfiku. To doświadczenie nauczyło go dyscypliny i wojskowej wręcz musztry. Ale nie zabiło duszy artysty i mistrza improwizacji. Muzycy, którzy z nim grają, podkreślają, że saksofonista daje każdemu artyście, z którym gra, dużo przestrzeni do twórczej pracy. Dyakowski udowadnia, że w jazzie nie ma podziału na muzykę i pokolenia. Co ciekawe – choć mówi się, że jest legendą jazzu – nie spoczywa na laurach. Podkreśla, że im jest się starszym, tym więcej trzeba się uczyć i tym więcej trzeba ćwiczyć.

► Smutna miłość

Filmowa opowieść o saksofoniście wykracza daleko poza biografię bohatera. Reżyser przeprowadza nas przez meandry życia jazzmanów. Porusza opowieść o tym, jak Przemek Dyakowski godzinę przed występem w Hongkongu dowiedział się, że zmarła jego matka. Jednak nie miał innego wyjścia. Musiał stanąć na scenie i grać rozrywkowy repertuar. Saksofonista, patrząc na dzieci, których sam nie ma, potrafi też podzielić się refleksją, że przez miłość do muzyki przespał coś ważnego w życiu. Film „Przemek Dyakowski. Życie na jazzowo” to też rozważania o tym, jaką muzyką jest jazz. Pada sformułowanie, że... smętną. Że muzyczna opowieść jazzmanów o miłości jest zawsze smutna. Ci, którzy słuchają Dyakowskiego, wiedzą, że jest w tym smutku wielkie piękno. ■

Niewygodny dla komuny, choć przecież – co mu się wypomina – jakiś czas z nią związany, i dla III RP, dziś może wreszcie świętować. Pomimo sekowania z przestrzeni medialnej, nie udało się wyrwać ze zbiorowej świadomości pieśni „Żeby Polska była Polską”, choć dopiero najpodlejsza odsłona Polski pookrągłostołowej na nowo przywróciła jej, z nową mocą, drugą młodość – „Nielegalne kwiaty, zakazany krzyż”. Pietrzak, od lat kojarzony z prawicą, uwolnił się ostatecznie od paradoksu, którego padł ofiarą, startując w wyborach prezydenckich 1995 r. Wówczas, choć głosił hasła ostre, sytuujące go w obozie antykomunistycznym, większość głosów uzyskał od elektoratu tęskniącego za PRL-em, który w drugiej turze dał zwycięstwo Kwaśniewskiemu. Dziś to już wspomnienie, w tej 80-letniej podróży nie najważniejsze.

► Żeby Polska była Polska

Wывodzę się z pokolenia, dla którego Pietrzak nie był raczej punktem odniesienia. Oczywiście „Żeby Polska była Polską” znam na pamięć, zaś w krótkim czasie, gdy przed odkryciem muzyki rockowej i punkrockowej, na przełomie lat 80. i 90. interesowałem się będącym w lepszej niż dziś kondycji polskim kabaretem, słuchałem znalezionych na półce rodziców kaset kabaretu Pod Egidą wydanych w okresie kamawalu „Solidarności”. Dołączyła do nich „młodsza siostra” – wydana na granicy obiegów gdzieś w 1990 r. i kupiona na działającym wówczas stoisku z bibułą i wszelkimi materiałami nieoficjalnymi, rozłożonym przed główną bramą Uniwersytetu Warszawskiego. Obserwowałem po latach wspomniany start w wyborach, a jeszcze później zacząłem przypominać sobie słowa. „Żeby Polska była Polską” podczas kolejnych demonstracji. Jednak, jak dla większości ludzi w moim wieku, w moim imieniu wypowiadali się artyści, którzy na świat przychodzili wtedy, gdy Jan Pietrzak kierował Hybrydami lub nawet później. Gdy kilka lat temu tygodnik „wSieci” rozpoczynając współpracę z satyrykiem, fakt ten ogłosił, publikując zdjęcie Pietrzaka z gitarą elektryczną, wydało mi się to zabiegiem dość sztucznym. Jednak z powodów, które samym autorom chyba nie przysły do głowy, dziś widzę w tym pewien ukryty sens. Stąd też ten nietypowy tekst rocznicowy, życzywa dekonstrukcja młodzieżowej twórczości Jana Pietrzaka.

► Robotniczy idealista?

Pietrzak często jest dziś atakowany przez przeciwników politycznych przypominaniem partyjnych początków. „Nie





Krzysztof
Karnkowski

Rok Pietrzaka

Rok 2017 to dla Jana Pietrzaka czas ważnych rocznic. Weteran polskiej sceny kabaretowej świętuje nie tylko 80. urodziny, lecz także 50 lat funkcjonowania dzieła swojego życia – kabaretu Pod Egidą.

for Złoty Karzełek/Czarna Polska



miałem nic przeciwko zastanej rzeczywistości. Nie walczyłem z nią, ja z niej wyrastałem – byłem w ZMP, w partii. Socjalizm brałem wprost” – mówił w 1994 r. w rozmowie z „Rzeczpospolitą” Pietrzak. Dziś często wyciąga się z tamtych czasów utwór „Do Londynu”, w którym atakuje inteligentnych lekkoduchów, którzy pozbawiają się godności, pracując na „saksach”, w kraju zaś śpią złotymi myślami, jak można ulepszyć socjalizm. Gdy jednak wczytać się głębiej w utwory z tamtego czasu, widać tu nie tyle podlizywanie się władzy, ile ten sam kulturowy konflikt, który kilkanaście lat później eksplodował hulaśliwymi subkulturowymi, punków i skinów, odwołujących się, zwłaszcza w swej pierwotnej postaci, do robotniczego etosu. Rozterki człowieka, który traci robotniczy background, znajdziemy w ówczesnej twórczości artysty, zebranej w debiutanckiej książce „Dlatego kocham życie” z 1974 r. Jeśli Pietrzak lewituje, to naiwnie, idealistycznie, niewarte to pryncypialnego potępienia. Jest to tym łatwiejsze, że książkowy debiut Pietrzaka wymyka się prostym regułom gry, ideowo jest trudny do sklasyfikowania. Jeśli był jeszcze robotniczym idealistą, jest pewne, że partia takich ludzi nie potrzebowała, zaś i oni partii – coraz mniej. Widać to w absurdalnych, socrealistycznych monologach, którymi poprzetykany jest tomik, a które przywodzą na myśl poczucie humoru innego wybitnego satyryka tamtych czasów Jerzego Dobrowolskiego.

► Potrafi zaskoczyć

Lecz i kilka razy można znaleźć u Pietrzaka zapowiedź prowokacji, które stały się znakiem rozpoznawczym późniejszych rewolt. W tomie przeczytamy zaledwie kilka tekstów, które dziś są jeszcze pamiętane, lecz wśród tych zapomnianych uderzył mnie „Paszkwil na przebój”. To krytyka siemieżnej rozrywki, proponowanej przez festiwal w Opolu. Jako mocna kulminacja padają słowa, których spodziewałbym się raczej w punkowym kawałku kilka lat później – „Bangladesz – to byłby hit! Niezmiennie modna – Palestyna! Belfast – ostatnio na czele list!”. Czasem zaś, odpuszczając sobie już nawet typowe dla siebie żółte rymy, Pietrzak zbliża się trochę do Kleyffa, do klimatów... hippisowskich i, jak cały tamten czas, w tej części książki najbardziej mija się z dzisiejszymi czasami. Tak, Pietrzak z roku 1973 potrafi porządnie zaskoczyć czytelnika 43 lata później i dlatego, przypominając sobie twórczość świętującego artysty, warto po latach po tę książkę sięgnąć. ■



Bluesowy maraton przed nami

Program tegorocznego, 37. Rawa Blues Festival przygotowany został, jak zawsze, z myślą o wymagających miłośnikach bluesa. Podobnie jak w poprzednich edycjach, zdecydowana większość artystów prezentowana będzie w Polsce po raz pierwszy.

28 i 29 września blues rozbrzmiewać będzie w sali NOSPR. Pierwszego dnia odbędzie się spotkanie z gitarzystą Sonnym Landrethem, który poprowadzi warsztatowe zajęcia dla muzyków. Następnego, dwa koncerty: Irka Dudka, powracającego ze swoim 16-osobowym big bandem, oraz znakomitej urodzonej w Missisipi wokalistki, pianistki i kompozytorki Eden Brent, laureatki Blues Music Award. Dzień trzeci (30 września) to bluesowy maraton w „Spodku”. Gwiazdą będzie Sonny Landreth zwany „The King of Slydeco”, wirtuoz o unikalnej technice gitarowej gry, wpisanej w niepowtarzalny stylistyczny konglomerat muzyczny zydeco, bluesa, country i jazzu. Znajdzie się też w nim muzyka gospel i znakomita grupa

Tim Woodson & The Heirs of Harmony, kontynuująca tradycję wykonawców afroamerykańskich pieśni religijnych. W ramach prezentacji młodych wykonawców, wchodzących na wielką muzyczną scenę, wystąpi Marcus King, gitarzysta i wokalista z Karoliny Płd., wykonawca blues-rocka o korzeniach sięgających amerykańskiego Południa. Od lat zapraszani są na Rawę Blues muzycy z Wielkiej Brytanii. Tym razem będzie to Kris Barras – jeden z najbardziej interesujących brytyjskich gitarzystów blues-rockowych. Jak co roku, nie zabraknie również polskich wykonawców, w tym stających do konkursu o nagrodę publiczności.

(mh)

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 29.09.2017 GODZ. 19.30

**EDEN BRENT
DUDEK BIG BAND**

SPODEK 30.09.2017 OD GODZ. 11.00

MARCUS KING BAND

**TIM WOODSON
& THE HEIRS OF HARMONY**

**SONNY LANDRETH
KRIS BARRAS BAND**

**SOBO BLUES BAND ★ GRZEGORZ KAPOŁKA TRIO
POLA CHOBOT & ADAM BARAN
WES GAŁCZYŃSKI & POWER TRAIN ★ TWO TIMER**

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Blackberry Brothers, Hubert Szczęsny i Nie strzelać do pianisty,
Adam Bartoś, Tandeta Blues Band, HoldBlues, Forsal, Rockomotive*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketpro.pl



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Organizowane
za pomocą
Fundacji Kultury
Narodowej



Hanna Shen



PIEKŁO dla chrześcijan



Według chrześcijańskiej organizacji non profit Open Doors USA, kraj, w którym najbardziej prześladowani są chrześcijanie, nie znajduje się na Bliskim, lecz na Dalekim Wschodzie, i jest nim Korea Północna. Komunistyczny reżim w Pjongjangu nie toleruje żadnej religii, ale to właśnie chrześcijaństwo określa jako szczególnie niebezpieczne.



fot. PAP/Newscom

Na początku zeszłego wieku Pjongjang znany był misjonarzom jako „Jerozolima Wschodu” w związku ze swoim statusem twierdzy chrześcijaństwa. Jeszcze w połowie XX wieku 30 proc. ludności tego miasta było katolikami. W czasie wojny koreańskiej (1950–1953), gdy wojska komunistyczne wkroczyły na południe, aresztowały zagranicznych misjonarzy, osoby duchowne i wiernych. Na północy rozpoczęto niszczenie klasztorów i kościołów, a zakonników i księży więziono i skazywano na śmierć. Taki los spotkał na przykład apostołskiego delegata do spraw Korei, bp. Patricka Jamesa Byrne’a. Chociaż wyrok nie został wykonany, to duchowny zmarł w 1950 r. w obozie koncentracyjnym, w wyniku ciężkich warunków i głodu. Los prawie 200 księży i zakonników, którzy pod koniec wojny pozostali w Korei Północnej, nie jest do tej pory znany. Od tego czasu do dziś władze w Pjongjangu traktują chrześcijaństwo jako niebezpieczny wpływ z zagranicy, który może być bodźcem do obalenia komunistycznego rządu, jak to miało miejsce w Polsce. Za wyznawanie wiary i posiadanie przedmiotów kultu religijnego grożą w KRLD surowe kary więzienia i obozów pracy. Przebywający tam chrześcijanie poddawani są torturom i przeprowadza się na nich eksperymenty medyczne.

► Więźniowie najgorszego sortu

Według raportu amerykańskiej Komisji do spraw Praw Człowieka w Korei Płn., w gułagach przebywa 200–300 tys. ludzi, z tego 70 tys. stanowią chrześcijanie. Istnieją relacje byłych więźniów świadczących o ich szczególnie brutalnym traktowaniu. Soon-Ok Lee spędziła w gułagu siedem lat. O swoich przeżyciach tak opowiadała członkom amerykańskiego Kongresu: „Oni [chrześcijanie] pracowali w oddzielnym miejscu. Pewnego razu 30 z nich zostało zakopanych na śmierć przez strażników. Więźniowie wołali: »O Boże, o mój Panie!«, a wtedy strażnicy wylali na nich wrzątek”. Według Soon spośród wszystkich więźniów w obozie to właśnie chrześcijanie są traktowani najbardziej okrutnie i wykonują najcięższe prace. „Raz w miesiącu kazano im się zbierać na środku placu i zmuszano ich, by wypierali się swojej wiary. Strażnicy mówili, że jeśli to robią, to otrzymają łatwiejszą pracę w obozie [...] czasem nawet wmawiano im, że mogą zostać uwolnieni, jeśli to robią” – wspomina Soon. Koreanka mówi, że była wstrząśnięta, bo mimo cierpienia żaden z chrześcijan, którego poznała w obozie, nie wyparł się Chrystusa.

O przerażających doświadczeniach z obozu opowiadała na jednej z międzynarodowych konferencji

o naruszaniu praw człowieka w Korei Północnej Park Sun-ja, młoda północnokoreańska uchodźczyni. Kobietę została schwytana w Chinach, dokąd próbowała uciec w 2000 r. Skazano ją na dwa miesiące pozbawienia wolności w obozie. W 2002 r. udało się jej uciec do Korei Południowej. Park opowiadała, że powszechnymi praktykami w gułagach w Korei Północnej są przymusowe aborcje oraz dzieciobójstwo. Szczególnie brutalne w tej kwestii traktuje się chrześcijanki. „Słyszałam płacz matek i dzieci przez zasłony szpitala. Pewnego dnia przez częściowo uchyloną zasłonę zobaczyłam na własne oczy, jak pielęgniarka przykryła twarz noworodka mokrym ręcznikiem i udusiła go. Dziecko przestało płakać [...] Wszyscy więźniowie wiedzą, że dzieci są zabijane zaraz po urodzeniu. Owija się je w kawałek materiału i pali na

W trakcie swojego kilkuletniego pobytu w obozie pracy Hae-Woo dzieliła się swoją wiarą z innymi. „Bóg dał mi siłę, by mówić o Nim innym. Pięciu więźniów w ten sposób odnalazło wiarę i razem spotykaliśmy się na sekretnej modlitwie”. Hae-Woo dodaje, że ta grupa skazańców bardzo się wspierała. Mimo że często byli głodni, to zawsze dzielili się odrobinami żywności, które dostawali. To właśnie to wsparcie i modlitwa sprawiły, że wszyscy przetrwali gułag.

Dziś Hae-Woo mieszka w Korei Południowej i często opowiada innym, jakiego błogosławieństwa doświadczyła w „najciemniejszym momencie swojego życia” i co to znaczy być chrześcijaninem w Korei Północnej. „Chcę, by ludzie modlili się za moich rodaków” – prosi Hae-Woo. Ale Hae-Woo opowiada tak-

WŁADZE W Pjongjangu traktują chrześcijaństwo jako niebezpieczny wpływ z zagranicy, który może być bodźcem do obalenia komunistycznego rządu, jak to miało miejsce w Polsce.

znajdującym się przy obozie wzgórz” – zeznawała Koreanka.

► Wspólna modlitwa w obozie

Ale nawet w tak piekielnych warunkach są Koreańczycy, którzy decydują się nawrócić. 75-letnia dziś Hae-Woo odkryła Chrystusa w wieku 55 lat dzięki mężowi, który za swoją wiarę został aresztowany i trafił do gułagu. „Widziałam, jak mój mąż, cierpiąc, doświadczając ogromnego bólu, zanim został zamordowany, nie wyrzekł się Boga, i dlatego zdecydowałam się zostać chrześcijanką. [...] Wiedziałam, że jest to bardzo niebezpieczne, że nie tylko ja mogłam stracić życie z tego powodu, lecz także moja rodzina” – opowiadała Hae-Woo w wywiadzie dla „Eternity”, chrześcijańskiego portalu w Australii.

Hae-Woo postanowiła uciec do Chin. Udało się, ale została tam w końcu zatrzymana i odesłana do Korei Płn. Chińscy agenci bezpieczeństwa wykryli swoim północnokoreańskim kolegom po fachu, że Hae-Woo w ChRL mówiła o Biblii. A więc jako chrześcijanka trafiła, jak wcześniej jej mąż, do obozu pracy. Gdy była torturowana, powtarzała w duchu fragmenty z Pisma Świętego. Na przykład 2 Księgę Samuela: „I byłem z tobą wszędzie, dokąd się udałeś, wytraciłem przed tobą wszystkich twoich nieprzyjaciół”.

że, jak za pomocą propagandy i edukacji wpaja się jej rodakom, że chrześcijaństwo to zło.

► Nienawiść wpajana od dziecka

Hae-Woo w dzieciństwie i młodości słyszała, że chrześcijaństwo to wróg i dlatego go nienawidziła. O religii w Korei Północnej mówi się, że jest jak opium – uzależnia i niszczy. „Opowiadano mi historie, jak chrześcijanie chodzili do szpitali i zaciągali pacjentów do piwnic. Tam zabijali ich i pobierali krew na sprzedaż. Sama myśl o takich zdarzeniach przerażała mnie” – mówi Hae-Woo.

W raporcie pt. „Zmuszeni do nienawiści” opublikowanym w 2016 r. przez PSCORE, organizację z siedzibą w Seulu zajmującą się m.in. pomocą uchodźcom z KRLD, opisano, jak funkcjonuje północnokoreański system edukacji. Od najmłodszych lat dzieci w szkołach uczone są, że chrześcijaństwo jest niebezpieczne, a misjonarzy określa się jako potwory. Nic więc dziwnego, że większość osób urodzonych w Korei Północnej ma taki stosunek do religii, jak jeden z uciekinierów z tego kraju Jung Yoon-Bo. W wypowiedzi dla PSCORE tak opisał on, czym dla niego była wiara, gdy mieszkał w KRLD: „Kiedy byłem w Korei Północnej, religia była dla mnie czymś przerażającym. Jeśli wykryto,

że wierzyłeś, to umierałeś [...] Wierzyłem, że religia to jakiś zły duch”.

W Korei Płn. obowiązuje jeden kult – kult wodza – i jak mówią ci, którym udało się uciec z północnokoreańskiego, piekła „dzieci uczone są imienia Kim Ir Sena, zanim nauczy się je imion ich rodziców”.

► Jest coraz gorzej

Poprzedni przywódca komunistycznego reżimu Korei Północnej, Kim Ir Sen i Kim Dzong Il, dążyli do pełnego wyrugowania chrześcijaństwa z ich kraju. W 2011 r. wraz z dojściem do władzy wykształconego w Szwajcarii Kim Dzong Una liczone na większą otwartość i mniejsze represje wobec chrześcijan. Dziś już wiadomo, że było to pobożne życzenie. W wypowiedzi dla „National Catholic Register”, katolickiej gazety w USA, Tim Peters, amerykański misjonarz prowadzący w Korei Południowej organizację Helping Hand Korea i pomagający mieszkańcom Korei Płn. w ucieczce z ich kraju, mówi, że represje, niestety, się nasiliły. „Ponieważ jest coraz większa destabilizacja społeczna, to naturalnie każda organizacja lub grupa, która jest postrzegana jako potencjalny destabilizator lub przeciwnik reżimu, jest coraz mocniej piętnowana. I to właśnie spotyka chrześcijan” – twierdzi Peters.

Odczuwają to nawet cudzoziemcy. Władza od lat aresztuje i przetrzymuje przez miesiące, a nawet lata każdego obcokrajowca, który trafi do Korei Płn. i próbuje prowadzić działalność misyjną. Jednym z nadal przetrzymywanych przez północnokoreański reżim jest kanadyjski pastor Hyeon Soo Lim.

► Niebezpieczni cudzoziemcy

Pastor Lim urodził się w Korei Płd. Jego ojciec pochodził z Korei Płn. W latach 80. cała rodzina Limów emigrowała do Kanady, gdzie Hyeon Soo Lim ukończył teologię. W latach 90. pastor dość często bywał w KRLD. Później ograniczył swoje podróże do tego państwa ze względów bezpieczeństwa. Cały czas był jednak zaangażowany w działalność humanitarną w Korei Płn., gdzie pomagał m.in. zakładać sierotnice i domy opieki. Ponownie udał się do Korei Płn. w styczniu 2015 r. Gdy przekroczył granicę Chin z KRLD, słuch o nim zaginął. Miesiąc później okazało się, że jest aresztowany. W sierpniu 2015 r. północnokoreańska agencja informacyjna upubliczniła nagranie wideo, na którym Hyeon przyznaje się do zarzucanych mu przestępstw przeciwko państwu. Były to wymuszone zeznania. Pod koniec 2015 r., po krótkim procesie sądowym, Lam został skazany na dożywotnie więzienie z ciężkimi robotami. Jego rodzina

bardzo się obawia o stan zdrowia 62-letniego dziś pastora. Wiadomo, że w połowie 2016 r. Hyeon Soo Lim miał trafić od szpitala. Ale wszystko wskazuje, że nadal żyje. Takiego losu nie podzielił inny pastor Han Choong Yeol. Ten Chińczyk koreańskiego pochodzenia przez lata pomagał północnokoreańskim uciekinierom. W maju zeszłego roku jego pocięte siekierą ciało znaleziono na granicy Chin z Koreą Północną. Chrześcijańska społeczność, wśród której pełnił posługę, uważa, że został on zamordowany przez agentów bezpieczeństwa z Korei Płn. za to, że niósł pomoc uciekającym przed okrutnym reżimem Kim Dzong Una.

► Kościół na pokaz

Komunistyczna władza w Pjongjangu, mimo że zwalcza religię, to pozwala na funkcjonowanie kilku kościołów w tym mieście, w tym jednego katolickiego. Są to tak naprawdę „miejsca na pokaz”, mające przekonać obcokrajowców, że w KRLD istnieje wolność wyznania. Według oficjalnych danych w KRLD jest około 4 tys. katolików i około 11 tys. protestantów. Jednak na podstawie źródeł, agencji AsiaNews, rzeczywista liczba katolików w tym kraju nie przekracza 200 osób, a większość z nich to osoby w podeszłym wieku. Kościół nie ma żadnych duchownych i nie odbywają się tam żadne obrzędy i uroczystości religijne – śluby, pogrzeby, komunie czy też chrzty obchodzone w obrządku chrześcijańskim są zakazane. Nawet czytanie Biblii jest wysoce ryzykowne. Pismo Święte i inne przedmioty kultu trzeba skrzętnie ukrywać i korzystać z nich tylko wówczas, gdy jest się absolutnie pewnym, że nikt tego nie widzi. Za rozprowadzanie Biblii można stracić życie. To spotkało w czerwcu 2009 r. 33-letniego chrześcijanina Ri Hyon-oka. Kara dosięgła także członków jego rodziny. Zostali oni zamknięci w więzieniu. W Korei Północnej istnieje zasada odpowiedzialności zbiorowej, która może dotyczyć nie tylko najbliższych, lecz także dalszych krewnych, a nawet sąsiadów.

Organizacja Open Doors w najnowszym raporcie dotyczącym sytuacji w Korei Północnej stwierdza, że jeśli Kim Dzong Un utrzyma się u władzy, to „prześladowania wobec chrześcijan w Korei Północnej będą się nasilać”. Cały czas wzrasta działalność komunistycznego rządu Korei Północnej służąca wyeliminowaniu jakiegokolwiek możliwości rozprzestrzeniania się chrześcijaństwa, coraz częściej północnokoreańscy agenci bezpieczeństwa uprowadzają lub pozbawiają wolności misjonarzy w Chinach, którzy pomagają uciekinierom, a Koreańczycy z Północy po ucieczce do Chin są przez władze ChRL deportowani do KRLD. ■



Olga Doleśniak-Harczuk

Niemiecki bastion Erdoğana

Ponad 400 tys. mieszkających w Niemczech Turków, czyli niemal dwie trzecie uprawnionych do głosowania, powiedziało „Evet” (tur. tak) zmianom w konstytucji forsowanym przez prezydenta Recepta Tayipa Erdoğan. Wiadomość, że 64 proc. tureckich imigrantów poparło polityczny, uznawany nad Sprewą za iście diabelski, projekt Erdoğan, wprowadziła w konsternację niemieckich publicystów. Konkluzję poreferendalną można by streścić następująco: jeżeli mieszkający tu od lat 70. Turcy nie dali się ucywilizować na styl niemiecki – czemu dali wyraz, tłumnie popierając budowę „Erdoğanistanu”, to czego możemy się spodziewać po nowo przybyłych imigrantach z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej?

Jeszcze dwa dni po kwietniowym referendum opiniotwórczy dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung” nie mógł się pogodzić z preferencjami politycznymi niemieckich Turków, uznając je za absolutnie nieodpowiedzialne. „Nawet trzy na cztery głosy oddano na autokratę, który pozbawia parlament władzy, a wymiaru sprawiedliwości używa w charakterze instrumentu gwarantującego mu utrzymanie się przy władzy. W państwach europejskich, gdzie obowiązuje wolność prasy, każdy przecież musiał mieć świadomość, że to referendum było wyborem między demokracją a despotyzmem. A tymczasem w Niemczech niemal dwie trzecie Turków opowiedziało się za przemianowaniem ich ojczyzny na Erdoğanistan, co nie stawia w dobrym świetle politycznej kultury żyjących tu Turków” – czytamy na łamach FAZ.

► Nietrafione umizgi

Dziennik nie ograniczył się jednak wyłącznie do krytyki „politycznie niewyrobionych” współobywateli znad Bosforu, lecz także do pewnego rodzaju rozliczenia, podając w wątpliwość wieloletnią politykę wielokulturowości propagowaną głównie przez socjaldemokratów i Zielonych. To te dwie grupy, zdaniem „FAZ”, najmocniej zaszkodziły procesowi integracji Turków, a czyniły to, m.in. przeciwstawiając ideę multi-kulti niemieckiemu nacjonalizmowi, ponieważ „z ich punktu widzenia nie istniało nic gorszego niż niemiecki nacjonalizm”, a „wszystkie zjawiska, które nie pasowały do tego obrazka, były ignorowane lub przedstawiane jako porażka społeczeństwa niemieckiego”. Jako przykład dziennik przypomina wypowiedź Claudii Roth z Zielonych, która, potępiając zwolenników prezydenta Erdoğan w Niemczech, dała jednocześnie do zrozumienia, że ich preferencje wyborcze są pokłosiem niemieckiej, leżącej lata wstecz, niegościnności względem Turków. Roth należała do tych polityków, którzy nalegali, by tureckie dzieci najpierw nauczyły się dobrze tureckiego, zanim rozpoczną naukę niemieckiego, i opowiadali się za podwójnym obywatelstwem dla zamieszkujących Niemcy Turków.

Jak sugeruje „FAZ”, oba te pomysły były podyktowane kalkulacją polityczną, wabieni podwójnym obywatelstwem Turcy stanowili potencjalny elektorat zielono-różowych, elektorat z racji swej demograficznej specyfiki rozwijający się prężniej niż wszystkie inne społeczności w kraju. Co do kwestii językowych – pomysły ideologów multi-kulti zakończyły się quasi-analfabetyzmem turec-

kiej młodzieży, która nie jest w stanie w sposób poprawny wyrazić swoich myśli ani po turecku, ani po niemiecku. Jest to oczywisty dramat tych ludzi, ponieważ zamyka im to drogę do lepszej edukacji, uniemożliwia wyrwanie się z getta rozciągniętego między podwórkowym meczetem a zadymioną kafejką starszyny „Bezirku”, słowem: normalnego życia zamiast vegetacji na jego marginesie w nieustannym poczuciu odrzucenia. Czy zatem „FAZ” ma rację, piętnując pro-Erdoğanowy wybór 400-tysięcznej grupy niemieckich Turków jako pochodną fiaska multi-kulti? Nie do końca. Jeżeli „FAZ” na serio chciałby się zmierzyć z problemem, sięgnąłby znacznie głębiej niż do światłych pomysłów Claudii Roth, czyli do wykładni szkoły frankfurckiej. To tam znajduje się klucz do większości społecznych problemów współczesnych Niemiec promieniujących również na kwestie związane z polityką imigracyjną tego państwa.

► Jesteście przyszłością Europy

Sam wybór Erdoğan, w odczuciu jego mieszkających w Niemczech zwolenników, jest w pewnym sensie odtrutką na frankfurcki wirus, nawet jeżeli nigdy w życiu nie słyszeli o Adorno, Frommie, Horkheimerze i pozostałych, głos oddany na sultana Recepta musi być odczytywany w kategorii niezgody na model zachodni wypaczony ideologią nieuznającą żadnej świętości. A bez wątplenia właśnie taki obraz zachodniej Europy przechowują pod powiekami potomkowie tureckich gasterbeiterów karmieni średnio rozumnymi programami telewizyjnymi niemieckich stacji, obserwujący wokół siebie postępujący rozkład tradycyjnych wartości, zanik potrzeb duchowych etc. Spór na linii Turcja-Holandia i Turcja-Niemcy, kilka tygodni przed referendum, tylko to wrażenie spotęgował. Ale było coś jeszcze. Poczucie osaczenia, niezrozumienia, a co kluczowe – przekonanie, że jest się obywatelem czwartej kategorii, którego przedstawiciele polityczni są zmuszeni całować klamkę europejskich stolic w drodze na spotkania z rodakami – dopełniło dzieła, przesuwając do tej pory niezdeterminowanych wyborców na stronę prezydenta. Na oficjalnej stronie internetowej Erdoğan 5 kwietnia pojawiła się informacja, że przyjął Hüseyina Kurta, Turka, którego holenderska policja poszczuła psami podczas pamiętnych zamieszek przed konsulem holenderskim w Rotterdamie. Takimi zabiegami zdobywa się serca rodaków, zwłaszcza tych, którzy Turcję oglądają zza lady kafejki

internetowej czy tureckiego marketu w Amsterdamie czy Berlinie. I w przypadku referendum manewr ten, jak i kilka innych, zadziałał na korzyść prezydenta. Również 5 kwietnia, raczej nieprzypadkowo, na stronie kancelarii Erdoğan'a opublikowano relację z wizyty prezydenta w Bursie, gdzie ogłosił, że „chorym człowiekiem Europy jest dziś Unia Europejska, która kazała czekać Turcji latami w przedpokojach, ponieważ jest islamofobiczna i rasistowska”. Erdoğan następnie bez ogródek stwierdził: „Oni staną niebawem w obliczu starzejącego się kontynentu, spadających dochodów, rosnących długów, kurczących się rynków. I wtedy przekonają się, kto kogo potrzebuje. Nie odwróć uwagi od tych kwestii, nie wpuszczając do siebie naszych ministrów, odwolując nasze spotkania czy szczupłą naszą obywateli psami. Przyszłość Europy należy do naszych rodaków, którzy tam żyją”. Nie po raz pierwszy przedstawiciel najwyższych tureckich władz zagrał na czułych strunach tureckiej diaspory. Tak jak gol strzelony na wyjeździe liczy się podwójnie, tak Turek na obczyźnie jest bardziej turecki od swoich rodaków w ojczyźnie, a Recep Tayyip Erdoğan – jakkolwiek by patrzeć – na boisku spędził najlepsze, młode lata. I, wbrew opiniom niesprzyjających mu polityków i mediów, nie jest nieokrzesanym cholerykiem, tylko sprawnym strategiem, mistrzem lawirowania na granicy kilku ostrzy. Jak na razie, bez widocznych ran. Jedynym państwem, które mogłoby mu takowe zadać, są dziś Stany Zjednoczone. A te, zważywszy na gorącą sytuację na Bliskim Wschodzie, nie mają dziś interesu, by wojować z sultanem i – co gorsza – pchać go w ręce cara. Sygnałem, że Waszyngton nie zamierza, przynajmniej na razie, rугać Ankary, był telefon z gratulacjami, jaki Trump wykonał do Ak Sarayı po podaniu wstępnych wyników referendum. Podczas gdy Europa lamentowała nad nieprawidłowościami przy urnach, Trump swoim zwyczajem, bez oglądania się na kogokolwiek, zrobił to, co uważał za słuszne. Zaś informacja o gratulacjach dla Erdoğan'a przez kilka następnych dni nie schodziła z czołówek głównych prorządowych mediów tureckich.

► Z przekory

Dlaczego sultan nie szczędzi krytyki przede wszystkim Berlinowi? Powodów jest wiele, ale jeden z najważniejszych nazywa się media. To w Niemczech spokojną przystań znalazł miesiąc przed puczem z 15 lipca (wydarzeniu będącym

fundamentem nowego mitu założycielskiego Republiki Turcji) Can Dündar, były redaktor naczelny lewicowo-centrowego dziennika „Cumhuriyet” (Republika). Dündar prowadzi dziś z Niemiec portal Özgürüz (Jesteśmy wolni), gdzie po tureku i niemiecku publikuje się artykuły krytyczne wobec Erdoğan'a. Portal utrzymuje się z datków.

W styczniu lewicowa „Die Tageszeitung” też uruchomiła podobny portal, informacje są po turecku i niemiecku, treści oczywiście antyrządowe.

Założony w 1986 r. przez środowisko związane z wpływowym kaznodzieją Fetullahem Gülenem (a dziś największym wrogiem Erdoğan'a) dziennik „Zaman” (Czas) po akcji tureckiej policji w marcu 2016 r. i zakazie działalności w Turcji trwał dalej na emigracji, z główną redakcją w Berlinie, która funkcjonowała tam od 2013 r. W listopadzie 2016 r. „Zaman” zaprzestał jednak działalności wydawniczej w Niemczech, redukując swoją obecność w przestrzeni medialnej do portalu internetowego Zaman Online w języku tureckim. Natomiast grupa medialna World Media Group, do której należy portal, posiada jeszcze w Niemczech informacyjny i – jakże by inaczej – antyrządowy dziennik niemiecko-turecki „DTJ”.

Dwa dni przed referendum na stronie DTJ pojawił się artykuł ilustrujący nastroje wśród tureckiej mniejszości w Niemczech. Autor dowodził, że Turcy mają nikły dostęp do rzetelnej informacji, że w domach i odwiedzanych przez mężczyzn kafejkach na okrągło ogląda się telewizję prorządową, co uniemożliwia im wyrobienie sobie rzetelnej opinii o wydarzeniach w kraju. Z drugiej strony, bardzo krytyczny i jednostronny przekaz mediów niemieckich ukazujących Erdoğan'a wyłącznie jako dyktatora zdaniem „DTJ” potęguje w Turkach przekorę. „Nigdy nie byłem za Erdoğanem, nawet nigdy nie chodziłem na wybory. Ale od czasu, gdy niemieckie media dostały świra na jego punkcie, stanąłem po jego stronie” – stwierdza młody Turek cytowany w tekście. Czyli w tym szaleństwie jest, i to całkiem dobra, metoda. Nawet jeżeli Recep Tayyip Erdoğan ma Niemcom za złe, że otworzyli swoje bramy przed jego wrogami, przed mediami z gülenowskim rodowodem, przed dziennikarzami, którzy w Turcji są ścigani listami gończymi, to powinien być Niemcom wdzięczny. Nic bowiem silniej nie zmobilizowało tureckiej mniejszości do wypowiedzenia magicznego EVET, niż zmasowany atak na Ankare połączonych sił medialnych Niemiec i opozycji tureckiej. Jak widać, coś jednak Angelę Merkel i Recepta Tayipa Erdoğan'a łączy. Teflonowa powłoka nie do zdarcia. ■



Ryszard Czarnecki

List z Turkmenistanu

Prawdę mówiąc, nie za wiele jest krajów, o których mogę powiedzieć: tu mnie jeszcze nie było. Z tej listy właśnie ubył następny: po raz pierwszy zawitałem do Turkmenistanu. Z Polski można lecieć tam przez Moskwę, Frankfurt lub Konstantynopol. Udaję się tam przez ten ostatni – choć na tablicy świetlnej destynacji lotniczych na Okęciu widać wszak inną nazwę: Stambuł, a na boardingu mam litery IST od tureckiej nazwy Konstantynopola. Z Warszawy leci się tam nieco ponad sześć godzin. Najpierw prawie trzy do największego miasta imperium Erdoğan, potem przeszło trzy do Aszchabadu – stolicy państwa, które w czasach Związku Sowieckiego nazywane było „Turkmenią”, a oficjalnie Turkmeńską Socjalistyczną Republiką Radziecką. Leci się nad Morzem Czarnym, a potem Kaspijskim. Po lewej w dole jest Rosja, w tym olimpijskie Soczi, potem Gruzja z południowokaukaską Riwierą, czyli Batumi. Wreszcie lecimy nad Zatoką Turkmeńską, pozostawiając wciąż po lewej Oktumkum i szczyt Arlandag (ponad 1880 m n.p.m.) oraz Peski Chilmamedkum. Po prawej jest Balkanabat, dalej w głąb po przeciwnej stronie Kojmatdag. Egzotyczne nazwy, w jakiejś mierze egzotyczny, bo mało znany Europejczykom, kraj. Jego powierzchnia jest półtora razy większa od Polski, ale liczba ludności aż prawie pięć razy mniejsza niż nasza. Po prawej od naszego samolotu Chrebet Karagas, daleko po lewej jezioro Karakum. Schodzimy do lądowania w Aszchabadzie. Po prawej szczyt Tagarew (prawie 2250 m n.p.m.), po lewej pustynia Karakum. Zresztą tu wszędzie jest pustynia: zajmuje ona do 80 proc. powierzchni państwa. Jeszcze rzut oka na mapę przed postawieniem stopy w milionowej stolicy: po prawej kluczowe dla turkmeńskiej demografii i gospodarki przedgórza Kopetdag, gdzie mieszka większość mieszkańców tego środkowoazjatyckiego kraju.

Na lotnisku w Aszchabadzie międzynarodowe połączenia to rzadkość. W oficjalnej nomenklaturze kraj określany jest jako „niepodległy i neutralny” – jest aż tak neutralny, iż przez kilkanaście lat był najbardziej izolowanym państwem Azji postsowieckiej. Za to rządowym silną ręką: posiada system prezydencki niczym w USA – prezydent jest tu szefem rządu. W zeszłym roku kadencję prezydenta wydłużono z pięciu do siedmiu lat – a więc zgola odwrotnie niż we Fran-

cji, gdzie skrócono niedawno z siedmiu do pięciu. Transformacja polityczna po komunizmie była tu podobna jak w sąsiednim Kazachstanie i większości – poza Mongolią – krajów regionu: w postkomunizmie władzę wzięli komuniści. Działacz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Saparmyrat Nijazow został pierwszą głową państwa Turkmenistan, po dwóch latach ogłosił się „ojcem wszystkich Turkmenów”, czyli Turkmenbaszą, po następnych sześciu prezydentem dożywotnim. Panował – to właściwe określenie – przez 15 lat, aż do swojej śmierci w 2006 r.

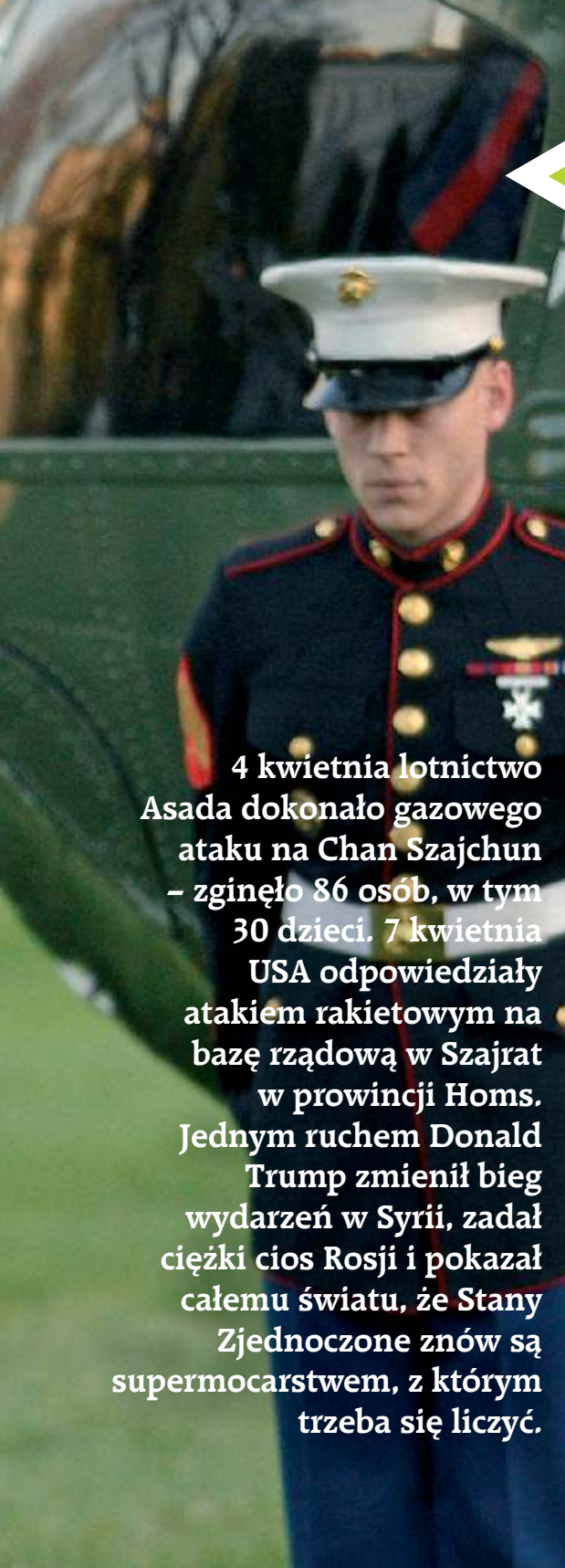
ASZCHABAD, STOLICA TURKMENISTANU,
TO NOWOCZESNA METROPOLIA, TAK
CZYSTA, UPORZĄDKOWANA I BEZ
ŻADNEGO W ZASADZIE ŻYCIA NOCNEGO,
ŻE AŻ NIEREALNA.

Przeciwników torturował, ale kraj, dzięki zasobom naturalnym, gospodarczo rozkwitł.

Aszchabad to nowoczesna metropolia, tak czysta, uporządkowana i bez żadnego w zasadzie życia nocnego, że aż nierealna. Po zmierzchu w okolicach mojego hotelu Yyldyz w centrum stolicy jest tak pusto, jak w weekend w Brukseli, w kwartale unijnych budynków. A ponieważ „życia nocnego” szukać tu ze świecą, mam czas, aby zapoznać się z albumem fotograficznym o turkmeńskich rumakach. Jego autorem jest... prezydent kraju Gurbanguly Berdimuchamedow. To skromny człowiek: występuje osobiście zaledwie na 29 zdjęciach, z czego na 16 jest na koniu, a na paru innych obok konia, z siodłem, z małym białym niedźwiadkiem w rękach. Są też ujęcia za biurkiem w garniturze i w samej koszuli z ludowymi wzorami. Jest również foto z nim i jego... zdjęciem w tle. Głowa Państwa w tym kraju jest człowiekiem renesansu: nie tylko ma smykałkę do fotografii artystycznej, lecz także ostatnio wygrał konkurs (!) na wiersz dla dzieci. Takie oto talenty rodzą się na stepie szerokim Turkmenii. ■

Antoni Rybczyński

TRUMP zaskoczył Rosję



4 kwietnia lotnictwo Asada dokonało gazowego ataku na Chan Szajchun – zginęło 86 osób, w tym 30 dzieci. 7 kwietnia USA odpowiedziały atakiem raketowym na bazę rządową w Szajrat w prowincji Homs. Jednym ruchem Donald Trump zmienił bieg wydarzeń w Syrii, zadał ciężki cios Rosji i pokazał całemu światu, że Stany Zjednoczone znów są supermocarstwem, z którym trzeba się liczyć.

Źródło: OLIVIER DOULIERE/POOL/FAP/EPH

Sygnaly świadczące o zmianie stosunku USA do reżimu Asada dawały podstawę do przewidywań, iż Waszyngton i Moskwa mogą jednak znaleźć wspólny język w Syrii, a fundamentem ich współpracy będzie wojna z Państwem Islamskim. Jednak użycie przez reżim sarinu przeciwko cywilom zmieniło radykalnie stanowisko Donalda Trumpa. A za zmianą stanowiska poszło błyskawicznie działanie, na które nie zdecydował się kiedyś Barack Obama. Pierwszy raz od początku wojny w Syrii Amerykanie dokonali świadomego uderzenia na siły reżimu. Atak raketowy na syryjską bazę pozwolił osiągnąć kilka celów jednocześnie i jest najbardziej błyskotliwym od wielu lat ruchem USA na scenie międzynarodowej. Trump odpowiedział na rosyjskie prowokacje i pokazał determinację amerykańską w Syrii. To pierwszy amerykański nalot na bazę, w której stacjonowały również siły rosyjskie. Waszyngton pokazał też, że na trwale wraca jako główny rozgrywający do regionu, a jego obecność na Bliskim Wschodzie jest długoterminowa i trwała.

Atak na Szajrat ma ogromne znaczenie dla wojny. Z powodów symbolicznych. Zaskoczył Kreml i Asada, dodał otuchy rebeliantom. Teraz Damaszek, Moskwa i Teheran muszą poważnie zastanowić się, jak będzie wyglądała wojna w najbliższych miesiącach. Jeśli Trump raz dał rozkaz do ataku, może to zrobić jeszcze wielokrotnie. A udział USA w konflikcie zmienia układ sił, i to radykalnie. Jeden zaskakujący ruch USA zburzył całą misternie konstruowaną intrygę bliskowschodnią Moskwy, Turcja, Izrael, Arabia Saudyjska i Jordania, a nawet Egipt poparły akcję amerykańską. Nalot udowodnił partnerom USA, że obecna administracja w razie potrzeby jest gotowa na ryzykowne działania w obronie ich interesów. Swoim zdecydowanym posunięciem Trump dał nadzieję syryjskiej opozycji i jej głównym sponsorom: Turcji, Arabii Saudyjskiej, Katarowi. Teraz regionalne potęgi będą oczekiwały na kolejne kroki USA.

Po ataku raketowym USA na bazę wojsk syryjskich Rosja znalazła się w izolacji, bowiem społeczność międzynarodowa poparła atak. A tymczasem Trump zmienia generalny kurs. Skoro na odcinku, gdzie w teorii najłatwiej by było o zbliżenie stanowisk z Kreml, dzieje się tak, jak widać, to i wszędzie indziej można oczekiwać dalszego pogorszenia relacji rosyjsko-amerykańskich. Po rozmowie z Xi Jinpingiem (atak na Szajrat nastąpił podczas wizyty Chińczyków w USA) Trump już nie nazywa Chin „walutowym manipulatorem”. Po rozmowach z sekretarzem generalnym NATO Jenssem Stoltenbergem przyznał z kolei, że wycofuje się z dawnych słów, iż Sojusz to przestarzała organizacja. Dla Putina to fatalne wieści. Rosja obawia się, że w podobny sposób jak

w Syrii Trump będzie działał teraz na innych frontach. Świadczyło o tym choćby wysłanie eskadry US Navy w pobliżu Korei Północnej. A jeśli podobnie postąpi na wschodniej flance NATO czy na Ukrainie? Wszak niekonsultowany z nikim atak na sojusznika Moskwy nie przyniósł Trumpowi niczego poza pochwałami: elity politycznej w Kongresie, mediów, sojuszników w Europie, Izraela, Turcji, Kataru, Arabii Saudyjskiej, Australii, Japonii itd. Chiny też odpowiednio zrozumiały to przesłanie.

Mieszanie się w wybory amerykańskie, a ostatnio przecieki mające kompromitować otoczenie Trumpa faktem kontaktów z Rosją – obróciły się przeciwko Moskwie. Dziś wszystkiego, co rosyjskie, amerykańscy politycy muszą unikać jak ognia, jeśli kariera im miła. W sekretarzu stanu Rexie Tillersonnie, sekretarzu obrony Jamesie Mattisie oraz prezydenckim doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Herbercie Raymondzie McMasterze, którzy zastosowali reguły gry siłowej, zaskakujący ostatnimi laty świat zuchwałością reżyserzy z Kremla znaleźli w końcu groźnych rywali. „To, że tracą złudzenia dotyczące Trumpa i jego ekipy, jest dobrą rzeczą. Ale gra się jeszcze nie skończyła. To dopiero początek” – pisze analityk Dmitrij Trenin na łamach „Financial Timesa”.

► Dramat Chan Szajchun

Zacząło się 4 kwietnia od depeszy agencji Reuters, z powołaniem się na źródło w londyńskim Syryjskim Centrum Monitoringu Przestrzegania Praw Człowieka. Informacja: w mieście Chan Szajchun w prowincji Idlib, w wyniku uderzenia syryjskich lub rosyjskich samolotów, zginęło 58 osób, w tym 11 dzieci. Użyty miał być „trujący gaz”. Rosyjscy i syryjscy wojskowi zaprzeczyli. Później ministerstwo obrony FR ogłosiło, że 4 kwietnia faktycznie rządowe lotnictwo zaatakowało wschodnie przedmieścia Chan Szajchun, niszcząc fabryczkę, w której rebelianci produkowali amunicję ze środkami trującymi, którą dostarczano do Iraku, a także używano w Aleppo. Wszystkie dostępne dowody oraz relacje świadków zadają kłam twierdzeniom Moskwy, która usiłuje kryć swego syryjskiego sprzymierzeńca.

Związani z Amnesty International eksperci przeanalizowali ponad 25 nagrań wideo z Chan Szajchun. Lekarze udzielający pomocy poszkodowanym, sami szybko zaczęli okazywać objawy zatrucia – typowe dla gazu atakującego system nerwowy. Symptomy były u wszystkich takie same: problemy z oddychaniem, utrata przytomności. U rannych i zabitych nie było widać zewnętrznych ran – kolejny dowód na

użycie sarinu. Rozmawiający z mieszkańcami aktywiści Human Rights Watch twierdzą, że nie mogło tam dojść do wybuchu składu broni chemicznej, o czym mówią Rosjanie i Asad. Z relacji świadków wynika jednoznacznie: Su-22 zrzucił cztery bomby: trzy konwencjonalne i jedną z sarinem. Tego typu samoloty (Su-22) mają w Syrii tylko siły Asada i Rosjanie. Rosjanie twierdzą, że do nalotu doszło między 11:30 a 12:30. W rzeczywistości pierwsi ranni trafili do szpitala już o 6:30. Część ofiar zginęła we śnie. Łącznie liczba zabitych sięgnęła 86, w tym 30 dzieci. Miasto było bombardowane już także po ataku chemicznym. Naloty zrujnowały główny szpital, ostrzelani zostali wolontariusze z tzw. Białych Hełmów. USA doszły wstępnie do wniosku, że Rosja wiedziała z wyprzedzeniem o ataku chemicznym sił syryjskich. Rosyjski dron latał nad szpitalem, do którego przywołano ofiary ataku w Chan Szajchun. Później samolot „produkcji rosyjskiej” zbombardował ten szpital, co miało służyć zatarciu śladów po użyciu sarinu. Nie wiadomo, czy Rosjanie bezpośrednio brali udział w ataku chemicznym. Ale rosyjscy eksperci, doradcy, wojskowi byli w bazie, z której wystartował samolot z sarinem. Poza tym odpowiedzialność Moskwy polega na tym, że była gwarantem zniszczenia arsenału chemicznego Asada.

W 2013 r. atak z użyciem sarinu dokonany przez rządowe siły doprowadził do śmierci setek ludzi w Ghoutcie, opanowanej przez rebeliantów przedmieściu Damaszku. Wtedy Moskwa twierdziła, że to prowokacja syryjskiej opozycji. Choć eksperci ONZ mówili coś innego. Ale aby uniknąć wymierzenia kary przez USA (Obama zagroził nalotami i ostrzałem raketowym), Moskwa podpisała z Waszyngtonem we wrześniu 2013 r. w Genewie porozumienie w sprawie likwidacji chemicznego arsenału Syrii. Damaszek miał ujawnić i oddać całą broń chemiczną, którą potem niszczone w morzu. Systemy jej przenoszenia zniszczono na lądzie pod międzynarodowym nadzorem. W styczniu 2016 r. Organizacja do spraw Zakazu Broni Chemicznej (OPCW) zapewniła, że cały zgłoszony w 2013 r. arsenał syryjskiej broni chemicznej został zniszczony; organizacja nadzorowała ten proces w imieniu wspólnoty międzynarodowej. Nawet dziś Putin utrzymuje, że Asad zniszczył wtedy cały arsenał chemiczny. Nie ma już jednak wątpliwości, że syryjski przywódca nie zgłosił całej posiadanej broni. Trudno też uwierzyć, by wprowadził tu w błąd Rosję. Przedzej to Rosjanie pomogli Damaszкови ukryć część chemicznego arsenału. USA sądzą, że w Syrii przywrócono jednostkę wojskową do spraw broni chemicznej, istniejącą przed porozumieniem z 2013 r. „I są oznaki, że reżim syryjski dostaje pomoc z zewnątrz” – stwierdziła CNN,

powołując się na anonimowego przedstawiciela sił zbrojnych USA. Amerykanie analizują teraz wszelkie informacje mogące wskazywać, że Rosja wie o posiadaniu przez władze syryjskie takiej broni bądź udziela im wsparcia w tym zakresie.

► Powrót szeryfa

Każdy kolejny amerykański prezydent, od Billa Clintona poczynając, zaczynał rządy od prób poprawy relacji z Rosją. I każdy po pewnym czasie nie dość, że rezygnował z takiej polityki, to nawet wchodził w konflikt z Kremlm. U jednych zrozumienie prawdziwego oblicza Moskwy zajmowało więcej czasu, u innych mniej. Czym na tle poprzedników wyróżnia się Trump? Z jednej strony, po żadnym dotąd nowym prezydencie nie spodziewano się tak bardzo prorosyjskiej polityki jak po nim (wypadkowa niefortunnnych wypowiedzi podczas kampanii, nieciekawie ludzie w otoczeniu, wrogość liberalnej elity i mainstreamowych mediów, wreszcie oczekiwania samego Kremla). Z drugiej strony, żaden w tak krótkim czasie od zaprzysiężenia nie rozwiał swych wątpliwości co do Rosji. I żaden tak szybko i tak zdecydowanie nie zareagował na zuchwałe poczynania Moskwy. Ostrzeliwując bazę Szajrat, Trump pokazał Moskwie, że Rosjanie nie mogą jednostronnie działać w Syrii i marginalizować tam USA. Bo tym była inicjatywa rozmów w Astanie czy rozejm w Syrii – pomysły rosyjskie mające wsparcie nie tylko Iranu, lecz także choćby Turcji. Atak na Szajrat wzmocnił pozycje negocjacyjne Rexa Tillersona tuż przed jego wizytą w Moskwie. Trump pokazał Putinowi, że potrafi być równie decyzyjny i zdecydowany jak on. I że ryzykuje w razie potrzeby – wszak w ataku mogli zginąć Rosjanie. Dlatego wybrał widowiskowy sposób ataku: pociski samosterujące tomahawk. Choć tę samą ilość bomb przeniosłyby cztery bombowce.

Niezależnie do dalszego rozwoju sytuacji, Kreml poniósł dyplomatyczną klęskę. Rozpoczynając wojсковą operację w Syrii w 2015 r., Moskwa skutecznie szantażowała Waszyngton ryzykiem incydentów w przestrzeni powietrznej z amerykańskimi samolotami. Ale teraz, już za Trumpa, Amerykanie zaryzykowali. I wygrali. Dwie godziny przed atakiem uprzedzili Rosjan. A ci nie próbowali nawet przeszkodzić tomahawkom. Zdaniem części ekspertów wynika to z politycznych kalkulacji Moskwy, ale są i tacy, którzy wskazują, że techniczne parametry rosyjskich systemów obrony rakietowej rozmieszczonych w określonych miejscach w Syrii (Hmejmim, Tartus) nie pozwalały skutecznie obronić bazy Szajrat przed lecącymi na bardzo niskim pułapie pociskami Tomahawk. Jedno jest pewne: Rosja została totalnie zaskoczona.

Jeśli porównać rozgrywkę amerykańsko-rosyjską do pojedynku bokserskiego, to 7 kwietnia Trump znokautował Putina. I przez chwilę – do momentu przyjazdu Tillersona do Moskwy – Putin leżał na deskach. W tym sensie, że Moskwa nie miała pojęcia, co będzie dalej. Trump mógł to wykorzystać, ale jednak pozwolił rywalowi się podnieść. Po pięciu godzinach rozmowy Siergieja Ławrowa z szefem amerykańskiej dyplomacji, a potem jeszcze dwóch godzinach u Putina, Rosjanie doszli do wniosku, że atak na Szajrat nie jest (jeszcze) początkiem jakiegś większej amerykańskiej ofensywy w Syrii. Decyzja Trumpa na tle użycia broni chemicznej miała podnieść notowania prezydenta i wzmocnić pozycję negocjacyjną Tillersona.

W efekcie Moskwa usztywniła stanowisko. W czasie rozmów z Tillersonem Rosja zawetowała projekt rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ potępiającej atak chemiczny w Syrii i wzywającej reżim Asada do współpracy w międzynarodowym śledztwie w tej sprawie. To już ósme weto, które zastosowała Rosja wobec rezolucji wymierzonych we wspierany przez Moskwę syryjski reżim. W nocy i rano nazajutrz po wyjeździe Tillersona zatrzymano w różnych punktach Rosji dziewięciu działaczy opozycji. Doszło do fali rewizji w biurach krytyków władz. Z jednej strony, była to odpowiedź na zorganizowane 26 marca przez Nawalnego antyrządowe demonstracje i forma ostrzeżenia przed tymi zapowiedzianymi na 12 czerwca. Z drugiej strony, to sygnał pod adresem USA. Także w samej Syrii rosyjskie lotnictwo dokonało serii nalotów, w których zginęło pół setki cywilów. Jeśli do tego dodać intensywne konsultacje telefoniczne Moskwy z Teheranem i Damaszkiem, to wyłania się jasny obraz: Kreml nie myśli o ustępstwach w Syrii. A już na pewno nie cofnie poparcia Asadowi, czego oczekują USA i inne kraje Zachodu. Wojskowe wsparcie reżimu syryjskiego pozwoliło Rosji wrócić do gry w Syrii, a następnie ją zdominować. Odwrot na tym odcinku byłby klęską Putina, a na to nie może sobie pozwolić. Będzie raczej prowadził ostrożną grę w Syrii z nowym-starym jej uczestnikiem, czyli Stanami Zjednoczonymi. Na nowych, dużo gorszych warunkach, gdy jedynym sojusznikiem jest Iran.

Okazało się, jak osamotniona jest Rosja, gdy tylko Ameryka pokaże całemu światu zdecydowanie. Chiny, nie chcąc zadzierać z Trumpem, wstrzymały się od głosu w Radzie Bezpieczeństwa i generalnie woła milczeć. Sojusznik Moskwy Kazachstan też wstrzymał się od głosu na forum RB. Najbardziej bolesna dla Putina jest jednak reakcja Erdoğan i Netanyahu. Po użyciu broni chemicznej i próbach obrony przed krytyką USA, Kreml próbował uzyskać choćby nieofi-

cialne wsparcie Izraela (6 kwietnia Putin prowadził rozmowę telefoniczną z premierem Izraela Benjaminem Netanyahuem, a rosyjskie MSZ nieoczekiwanie nazwał Zachodnią Jerozolimę stolicą Izraela). Jednak minister obrony Awigdor Lieberman „ze stuprocentową pewnością” oświadczył, że chemiczną broń w Idlib użyto „na bezpośredni, wydany z premedytacją rozkaz” Asada.

► Nowe rozdanie

Stany Zjednoczone poparła także Turcja, która znów zmienia front. Jesienią 2015 r., po zestrzeleniu rosyjskiego samolotu nad turecko-syryjskim pograniczem, Ankara i Moskwa znalazły się niemal na krawędzi wojny. Potem jednak – latem 2016 r. – Rosja i Turcja doszły do porozumienia, a pod koniec ub.r. Ankara stała się wspólnie z Rosją i Iranem gwarantem rozejmu w Syrii. Jeśli relacje USA–Rosja porównać do bokserkiego pojedynku, w którym Putin po ciężkim nokaucie otarł się, podniósł gardę i myśli o następnej rundzie, to sytuację w samej Syrii można porównać do partii pokera. Tak naprawdę siedzieli przy nim już tylko Rosjanie, Irańczycy i Turek, gdy nagle do salonu wkroczył Amerykanin i jednym kopnięciem wywrócił stół, po czym zażądał dostawienia krzesła także dla niego.

Ankara zlagodziła swoją retorykę antysyryjską – w tym żądanie usunięcia Asada – latem ubiegłego roku, nie chcąc komplikować swojego nowego sojuszu z Moskwą. Sojusz ten pozwolił Turkom wesprzeć rebeliantów i wkroczyć do północnej Syrii (operacja Tarcza Eufratu). Teraz, gdy cele operacji zostały osiągnięte, przede wszystkim zablokowano możliwość powstania jednego terytorium kurdyjskiego, Turcja znów wraca do pierwotnych postulatów ze stworzeniem strefy bezpieczeństwa i usunięciem Asada jako głównych punktów. „Z ustaleń rządu w Ankarze wynika, że władze Syrii nadal mają potencjał związany z bronią chemiczną” – powiedział 11 kwietnia minister spraw zagranicznych Turcji Mevlüt Çavuşoğlu. Dodał, że w Syrii pilnie potrzebne jest sformowanie przejściowego rządu, gdyż ryzyko ponownego wykorzystania broni chemicznej w tym kraju będzie utrzymywać się dopóty, dopóki prezydent Asad pozostanie u władzy. Pełne poparcie Turcji dla działań USA może też wynikać z zapewnienia, jakie Erdoğan dostał od Tillersona podczas wizyty tego ostatniego w Ankarze parę dni przed wylotem do Moskwy. Zapewne jedno z nich jest takie, że Amerykanie nie będą się mieszać w kwestie związane z referendum dotyczącym zmiany ustroju w Turcji na prezydencki. Trump wrócił też do kwestii tworzenia stref bezpieczeństwa w Syrii – na co od dawna naciska Ankara. Według ustaleń Reutersa, w administracji USA jest plan

utworzenia stref bezpieczeństwa zarówno wewnątrz Syrii, jak i w przylegających do niej rejonach, gdzie Syryjczycy, którzy uciekli z kraju, będą mogli czekać na repatriację lub potencjalne przesiedlenie do krajów trzecich.

Zbliżenie amerykańsko-tureckie jest ważne dla przeprowadzenia skutecznej ofensywy na „stolicę” Państwa Islamskiego w Rakce. Wciąż bowiem celem numer 1 dla koalicji międzynarodowej, której przewodzą Stany Zjednoczone, jest zniszczenie IS w Syrii. Po zdobyciu Rakki Amerykanie mogą się obrócić w pełni przeciwko Asadowi (będącemu však sojusznikiem Iranu, który Trump uznał za jednego z największych wrogów) – więc Moskwa od dawna robi wszystko, aby opóźnić działania przeciwko dżihadystom na północy Syrii. Najpierw zgodziła się na wejście tureckich wojsk (a nawet je wspierała), by potem prowokować napięcia między Turkami i ich arabskimi sojusznikami a koalicją SDF (Syrian Democratic Forces), zdominowaną przez Kurdów. To również stawiało w trudnej sytuacji Amerykanów, którzy wspierają SDF i widzą w Kurdach najlepszych wykonawców wyroku na Państwie Islamskim, a z drugiej strony muszą się jakoś dogadać z Ankarą. Teraz można oczekiwać aktywizacji Rosjan na tym niezwykle skomplikowanym teatrze działań wojennych w północno-wschodniej Syrii, gdzie mamy wojska rządowe, Kurdów i SDF, Turków i Wolną Armię Syryjską, wreszcie dżihadystów z IS. A w tle doradcy i siły specjalne Rosji i USA.

Eskalacji na linii Waszyngton–Moskwa w Syrii raczej nie będzie. Nikomu nie zależy na strącaniu samolotów rywala. Można oczekiwać zwiększenia aktywności Amerykanów w rejonie ofensywy przeciwko Państwu Islamskiemu, co będzie o tyle łatwiejsze, że po ataku na Szajrat Asad, Rosjanie, Iran i Hezbollah nie mogą poczynić sobie tak bezkarnie, jak dotąd. W każdej chwili Amerykanie mogą uderzyć w cele reżimu syryjskiego, więc Asad musi uważać z działaniami przeciwko rebeliantom. Głównymi celami Waszyngtonu pozostają likwidacja IS w Syrii oraz osłabienie wpływów Iranu. Kolejność jest oczywiście: po zdobyciu Rakki Amerykanie skupią się na Asadzie. I należy pamiętać, że wrogość Trumpa do dyktatora wynika nie z roli rosyjskiej, lecz z powodu Iranu. Moskwa też zdaje sobie z tego sprawę, więc można oczekiwać nowych podchodów na linii Rosja–Iran. Z punktu widzenia Putina najgorszym scenariuszem będzie zmiana kolejności celów Waszyngtonu: gdy usunięcie reżimu w Damaszku zastąpi zniszczenie Państwa Islamskiego. Raz jeszcze zacytujmy Trenina: „Bez wątpienia w Waszyngtonie są ludzie doradzający prezydentowi pójście w tym kierunku. Gdyby mieli przewagę, Rosja stanie w obliczu upokarzającej klęski lub konfliktu z Ameryką”. ■

To nie w Europie i nawet nie na Bliskim Wschodzie toczy się teraz najostrzejsze starcie między islamem a chrześcijaństwem. Jego miejscem jest Nigeria. A najbardziej zbrodniczą organizacją islamską nie jest ISIS, lecz... Boko Haram.

Tomasz P. Terlikowski

Islamistyczni mordercy z Afryki



CC: NICHOLAS/PAF/EPH

Kolejne zamachy przygotowywane przez Państwo Islamskie mocno wpisały się już w kontekst europejski. Sztokholm, Londyn, Paryż, Berlin, a ostatnio także Aleksandria przebijają się nieustannie przez medialny szum i jazgot. W efekcie wydaje nam się, że najokrutniejszą i najgroźniejszą organizacją islamiścyczną pozostaje ISIS, a główne starcie między chrześcijaństwem a islamem toczy się na Bliskim Wschodzie i w Europie. Ale tak nie jest. W istocie przyszłość starcia cywilizacji muzułmańskiej i chrześcijańskiej decyduje się w Afryce, na pięćdziesiątym równoleżniku, a najważniejszym miejscem walki jest Nigeria. To tam na froncie ścierają się terroryści z Boko Haram i rozmaite chrześcijańskie milicje, które próbują bronić przed szaleńcami prześladowanych przez nich chrześcijan, wyznawców religii tradycyjnych, choć także... bardziej umiarkowanych muzułmanów. Państwo już dawno wycofało się z tego starcia, a organizacje międzynarodowe i media nie informują o ofiarach ani nawet o skali zbrodni, bo najczęściej ich tam nie ma. A jeśli nawet są, to informacje przez nich przekazywane niemal nikogo nie interesują.

Takie podejście jest jednak potężnym błędem, bowiem... tak się składa, że właśnie w Nigerii rodzą się nowe, skrajnie radykalne formy walki z chrześcijańskim światem. Boko Haram testuje tam zamachy przeprowadzane przez dzieci (nawet sześćioletnie); buduje wielkie obozy szkoleniowe, w których wykuwa się nowe kadry islamistyczne (korzystając ze starych, janczarskich wzorców, czyli budując kadry z porwanych dzieci), a także szkoli się wojowników/terrorystów, którzy... później są ekspediowani do innych krajów świata, gdzie odtwarzają to, czego nauczyli się na najbardziej okrutnym z frontów wojny islamistów z chrześcijaństwem. Nigeria jest także miejscem, które pokazuje, że nawet początkowo pokojowo nastawione sekty islamskie mogą błyskawicznie przekształcić się w grupy bojowe, a nawet w prywatne armie. Nie ma w tym zresztą nic zaskakującego, bowiem sam Mahomet – twórca islamu – też wcale nie zawsze prowadził politykę wojny, lecz sprawnie przechodził do budowania wspólnoty, przekazu religijnego do bezlistosnych działai militarnych. Boko Haram jest w tej kwestii jego naśladowcą.

► Miłe złego początki

Początki Boko Haram nie były związane ani z walką o władzę, ani tym bardziej z terroryzmem. Grupa pierwotnie nazywana Yusufitami ukształtowała się wokół charyzmatycznego kaznodziei is-

lamskiego Ustaza Mohammeda Yusufa i obejmowała najbardziej ortodoksyjnych muzułmanów mieszkających w Maiduguri, wielkim mieście lepiank. Jej członkowie głosili kazania wśród najuboższych, sprzeciwiali się korupcji i w miarę swoich możliwości budowali wsparcie ekonomiczne. Jednym słowem, robili to, czego od wyznawców różnych religii często się oczekuje. Jednocześnie sami żyli niezwykle pobożnie i ubogo i bynajmniej nie stosowali przemocy.

Dość szybko radykalnym kaznodzieją i jego uczniami (najmłodszy z nich mieli po sześć lat, bowiem w takim wieku ubogie rodziny oddają w Nigerii chłopców na wychowanie do islamskich szkół koranicznych), których chciał wykorzystać do budowania własnej potęgi, zainteresował się nigerijski polityk Ali Modu Sheriff. To on zaproponował Yusufowi współpracę, on zaczął wspierać go finansowo i on jako pierwszy zaczął w języku politycznym formułować postulaty radykalnie islamskie (choćby wprowadzenie szariat w miejsce prawa państwowego). Współpraca obu panów przyniosła wymierne efekty. Yusuf pobudował wielki meczet, a Sheriff został gubernatorem. I właśnie wtedy ich drogi się rozeszły, bowiem polityk wcale nie miał zamiaru realizować swoich obietnic. Kaznodzieja natomiast ewidentnie wierzył w prawdę radykalnego islamizmu i nie zamierzał się dać wystawić do wiatru. I dlatego po kilku latach bliskiej współpracy Yusufici zerwali z Sheriffem i zaczęli się coraz mocniej radykalizować, tworzyć odrębne od państwa struktury i coraz częściej – najpierw werbalnie – je atakować. Spory potęgowało założenie własnej wioski-obozu, która błyskawicznie weszła w spory z okolicznymi mieszkańcami. Wojowniczy radykałowie uważali ich (niezależnie od tego, że wielu z nich było muzułmanami) za pogan, a niechęć do oddawania im żywności za akt sprzeciwu wobec Boga. Gdy ludzie prowadzili policję i wojsko, by broniły ich przed Yusufitami, ci odpowiedzieli atakami na jednostki wojskowe. A wojsko... po dwudniowym oblężeniu dokonało rzezi na zwolennikach radykalnego islamu. Mohammed Yusuf przeżył i uciekł do Arabii Saudyjskiej, a gdy po dwóch latach wrócił, nie było w nim już nic z pokojowego kaznodziei. Zarówno on, jak i jego zwolennicy, poprzysięgli zemstę państwu.

► Śmierć założycielska

Państwo, nie ma co ukrywać, zresztą także nie chciało ich tolerować. Gdy procesja zwolenników Yusufa przemieszczała się po Nigerii, policja nie-

ustannie ich zatrzymywała. Podczas jednej z takich kontroli (Yusufitów oskarżono o brak kaszków) doszło do zamieszek, w wyniku których zginęło trzech zwolenników sekty, a siedemnastu zostało rannych. Wtedy Yusuf napisał list otwarty do rządu, w których domagał się rozmów. Gdy nie przyniosło to rezultatów, 26 lipca 2009 r. wraz ze swoimi wiernymi wkroczył do jego rodzinnego miasta Maiduguri. Uzbrojeni w łuki, siekiery i noże terroryści nie tylko napadli na posterunki policji i mieszkania policjantów, którym podrzynali gardła, lecz także spalili kilka kościołów. Wojsko i policja odpowiedziały zdecydowanie, ostrzeliwując zajęte tereny miasta. 30 lipca udało się im schwycić Yusufa, którego skuli w kajdanki, a później – bez sądu – rozstrzelali. Ta śmierć stała się fundamentem Boko Haram, które w krótkim czasie, pod przywództwem Abubakara Shekaua, stała się terrorystyczną hydrą, która coraz mniej wspólnego miała z radykalizmem nawet samego Yusufa.

O nowym przywódcy sekty niewiele wiadomo. Wedle jednych – jak to opisuje Wolfgang Bauer w znakomitej książce „Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki” – jest około czterdziestki, inni sugerują, że ma o wiele więcej lat. Jedni twierdzą, że pochodzi ze wsi Shekau z pogranicza Nigerii i Nigru, drudzy sugerują, że to nieprawda, a on sam przybył do Nigerii z Nigru właśnie. Wiadomo tylko, że był uczniem szkoły koranicznej, ożenił się z córką swojego nauczyciela, ale ona miała umrzeć przy porodzie. Później Shekau miał ożenić się z jedną z czterech wdów po Mohammadzie Yusufie, a także przejąć po nim władzę.

Pewne jest jednak, że to on skłonił Boko Haram do ataków już nie tylko na prowincji, lecz także w stolicy Nigerii, oraz wyznaczył nowe cele. To za jego przywództwa zaczęto atakować budynki ONZ, a do tych napaści wykorzystywać zamachowców samobójców. On nakazał masowe palenie kościołów i mordowanie chrześcijan i on wreszcie zaczął w walkach i zamachach wykorzystywać dzieci. Jednocześnie położył fundament pod finansowe powodzenie sekty, którym jest... niewolnictwo, szczególnie kobiet i dzieci. Mężczyźni w wioskach opanowywanych przez Boko Haram, niezależnie od wyznania czy religii, o ile nie przyłączą się natychmiast do organizacji, są mordowani, a ich żony i dzieci przewożone do obozów w głębokiej dżungli, gdzie muszą pracować, a te ładniejsze i młodsze (często wdowy) są wykorzystywane jako środek płatniczy dla najbardziej zasłużo-

nych wojowników. Oni mogą sobie wybierać żony, także spośród dzieci, i wykorzystywać je seksualnie. Dzieci rodzone z takich związków są oddawane na wychowanie sekcje, a ta od najmłodszych lat wykorzystuje je do walki.

► Zdecentralizowana struktura władzy

Boko Haram, i to także jest jego siła, nie ma scentralizowanej struktury władzy, a jakby tego było mało, nikt jej do końca nie zna. Nie jest jasne, kto w niej podejmuje decyzje. Wiadomo natomiast, że na czele organizacji stoi Najwyższy Emir (Shekau), który ma dwóch zastępców, a ci jako jedyni mogą z nim dyskutować. Jednocześnie jasne jest, że najważniejsze decyzje podejmuje rada dowódców (licząca do trzydziestu członków). Poza tym w strukturze istotną rolę odgrywają dowódcy piechoty, a także „ministrowie” skarbu, wywiadu, planowania zamachów samobójczych, zaopatrzenia w broń. Istnieją także odpowiedzialni za pomoc rodzinom wojowników, którzy zginęli w czasie działań terrorystycznych, a także swoista kasa chorych, która finansuje leczenie na najwyższym poziomie dla żołnierzy Boko Haram.

Taka organizacja sprawia nie tylko, że bardzo trudno jest rozbić grupę, lecz także... zapewnia jej spory autorytet na terenach, jakie opanowała. Ludzie, którzy oddadzą się pod jej władanie, przyjmą jej ideologię, otrzymują nie tylko władzę, lecz także poczucie bezpieczeństwa oraz nie najgorsze środki do życia. Nigeria, w ogromnej większości przypadków, nie jest w stanie im tego zapewnić, a wojsko i policja także bywają równie okrutne jak Boko Haram. Coraz większe grupy ludzi przystępują więc do nich, a społeczność międzynarodowa, choć mowa jest już o 7 mln uciekinierów, dziesiątkach tysięcy zamordowanych i setkach tysięcy porwanych i zgwałconych kobiet, nie reaguje. A szkoda, bo warto mieć świadomość, że islamski terroryzm błyskawicznie migruje, a metody „wypracowane” w Nigerii mogą być zastosowane także w Paryżu czy Londynie. Obojętność w tej sytuacji jest więc nie tylko współsprawstwem, lecz także naiwnością, która może się skończyć tragicznie dla Europy. ■

Przy pisaniu korzystałem z książki Wolfganga Bauera „Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki”, tłum. E. Kalinowska, Wołowiec 2017.



Pokuta i modlitwa, czyli życie w epoce tajemnic



Stefan Czerniecki
czerniecki.net





Fatima: 100 lat po objawieniach

Istotę fatimskiego orędzia można dziś streścić w dwóch słowach: pokuta i modlitwa. To pierwsze słowo przywoływany przez Łucję „Anioł z wzniesionym nad ziemią ognistym mieczem” wypowiadał podczas lipcowej wizji aż po trzykroć. Wygląda na to, że tylko w ten sposób możemy uratować siebie i ludzkość. Tutaj w Fatimie jakby o to łatwiej. Nic nie odciąga. Nic nie kusi. Jest czas.



Wnętrze Bazyliki Trójcy Przenajświętszej – czwartego pod względem liczby miejsc kościoła na świecie

Ta była niedziela 13 maja 1917 r. A zatem równiuśienko 100 lat temu. Nasi bohaterowie – troje dzieci: Łucja, Hiacynta i Franciszek – bawili się w portugalskim Cova da Iria, skrawku ziemi należącym do rodziców Łucji. Ta niedziela była niezwykle słoneczna. O co zresztą nie trudno w Portugalii, gdzie statystycznie w ciągu roku tego typu dni mamy aż trzysta. Swoją drogą podobna pogoda była rok wcześniej. Gdy ta sama trójka dzieci miała okazję uczestniczyć w niezwykle spotkaniu. Oto bowiem podczas wypasu trzódki całej trójce objawiła się świetlista postać. Przybysz przedstawił się jako portugalski Anioł Pokoju. Nie wiemy, czy miejscowa ludność uwierzyła dzieciom. Bądź co bądź wyobrażenia małych psotników bywa bujna. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że dzieci pozostawały niewzruszone. Niezmiennie twierdziły, że widziały Anioła. Że z nim rozmawiały. Pamiętały tę postać tym dokładniej, że spotykały się z nią potem przynajmniej kilkakrotnie. Dziś wreszcie miało się okazać, czemu wszystkie te spotkania miały służyć.

– Patrzcie! Co to jest? – mogła zakrzyknąć Łucja, najstarsza z bawiących się dzieci, gdy na horyzoncie pojawił tajemniczy podwójny blask.

– Burza idzie. Musimy wracać – wychowany na niezwykle posłuszne dziecko Franek od razu odstąpił od zabawy.

– Jaka burza?! Przecież nadal świeci słońce! – pisnęła dziewczęco Hiacynta.

– I nie ma nawet najmniejszej chmurki na niebie... – zastanowiła się nieco ciszej Łucja.

Po krótkim śledztwie dzieci doszły do wniosku, że błysk pochodzi z okolicznego drzewa. Pięknie kwitnącego na zielono dębu skalnego. Drzewko miało nie więcej jak metr wysokości. Gdy dzieci podszły bliżej, zobaczyły postać. Tym razem nie był to Anioł. Ale Kobieta...

Stojąca zaledwie półtora metra od dębu Łucja tak opisała potem ujrzaną wizję: „Pani ubrana na biało, bardziej błyszcząca niż słońce, promieniąca światłem czystszy i intensywniejszym od kryształowego pucharu z wodą, prześwieconego promieniami słonecznymi. Jej nieopisanie piękna twarz nie była ani smutna, ani radosna, lecz poważna i malował się na niej wyraz łagodnego napomnienia. Miała dłonie złożone jakby w geście modlitwy, które opierały się na piersiach i które były zwrócone ku górze. Z jej prawej dłoni opadał różaniec. Jej szaty wydawały się całe utkane ze światła. Jej tunika była biała, tak jak i płaszcz ze złotym rąbkiem, który okrywał głowę Maryi, opadając aż do jej stóp. Wizjonerzy byli tak blisko Matki Bożej – w odległości około półtora metra – że znajdowali się w poświacie, którą Ją otaczała lub którą rozciągała wokół”.

Nieco przestraszone, ale i ciekawe zarazem dzieci zaczynają dialog z Kobieta. Gdy dowiadują się, że „Pani jest z Nieba”, od razu pytają o to, co ich najbardziej interesuje. Czy pójdą do nieba. Czy ich niedawno zmarła koleżanka



Miejsce pochówku bł. Hiacynty i bł. Franciszka

już tam jest. Dziś archiwiści odtwarzają pierwszy dialog trojga młodocianych pastuszków z Maryją w ten oto sposób:

– Nie bójcie się, nie zrobię wam nic złego – uspokoiła dzieci piękna Kobieta.

– Skąd Pani jest? – spytała jedna z dziewczynek.

– Jestem z nieba.

– A czego Pani ode mnie chce? – Łucja, jako najstarsza z dzieci, wzięła na siebie odpowiedzialność rozmowy.

– Przyszedłem was prosić, abyście przychodzili tu przez sześć kolejnych miesięcy, trzynastego dnia, o tej samej godzinie. Potem powiem wam, kim jestem i czego chcę. Następnie powrócę tu jeszcze siódmy raz.

– A ja też pójdę do nieba? – domagała się odpowiedzi Łucja.

– Tak, pójdziesz.

– A Hiacynta?

– Także.

– A Franciszek?

– Również, ale musi jeszcze odmówić wiele różańców.

– Czy Maria das Neves jest już w niebie?

– Tak, jest.

– A Amelia?

– Będzie w czyśćcu do końca świata.

Wielu zapala tu świece w sobie tylko znanych intencjach

– Czy chcecie ofiarować się Bogu, aby znosić wszystkie cierpienia, które On zechce na was zesłać, jako zadośćuczynienie za grzechy, którymi jest obrażany, oraz jako wyproszenie nawrócenia grzeszników?

– Tak, chcemy – odpowiedziały chórem dzieci.

– A więc będziecie musieli wiele wycierpieć. Ale łaska Boża będzie waszą pociechą. Odmawiajcie Różaniec codziennie, abyście uprosili pokój dla świata i koniec wojny.

Matka Boża cierpliwie i z uśmiechem odpowiadała na każde z pytań. Wreszcie zaś łagodnie uniosła się w kierunku wschodnim, aż zniknęła w nieskończonej dali. Światło, które ją otaczało, jak gdyby torowało Jej drogę w gęstwinie gwiazd. Dzieci wróciły do domu.

► Pierwsze znaki

Tak wyglądał początek objawień w Fatimie. Objawień, które trwały przez sześć kolejnych miesięcy. To w ich trakcie każdego 13. dnia miesiąca (z wyjątkiem sierpnia, gdy dzieci zostały uwięzione na kilka dni przez burmistrza Fatimy, przez co objawienia „spóźniły się” do czasu zwolnienia dzieci i miały miejsce dopiero 19. dnia miesiąca) Maryja spotykała się z młodzietkami pastuszkami.



Fragment Muru Berlińskiego na placu Fatimskim

kami i mówiła im o swoim orędziu. Orędziu, o którym za kilka lat miało być głośno także na całym świecie. Pro-roctwo właśnie się wypełnia.

Zgodnie z zapowiedzą Maryi, dokładnie miesiąc po pierwszym objawieniu nastąpiło kolejne. Jednak tym razem 13 czerwca 1917 r. dzieci nie były już same. Wraz z nimi pod skalnym dębem oczekiwało około pięćdziesięcioro ludzi. To, co zobaczyli, miało stać się za kilka lat jedną z wizytówek Fatimy. Oto bowiem gdy na umówione miejsce przybyli portugalscy pasterze, w jednej chwili, tuż przed pojawieniem się Matki Bożej, tarcza słoneczna straciła na kilka minut swój blask. Jeszcze inni świadkowie zwrócili uwagę na sam skalisty dąb, na którym dzieci widziały Maryję poprzednim razem. Pokryty listowiem wierzchołek zdawał się ugiąć, jakby był pod jakimś ciężarem. Gdy dzieci upadły na kolana, widząc Matkę Bożą, część obserwujących zaczęła słyszeć dziwny szepot. Porównywali go do brzęczenia pszczoły. Dopiero potem stwierdzili, że szepot pojawiał się dokładnie wówczas, gdy Łucja zaczynała mówić do Maryi.

O czym rozmawiały tym razem? Z pewnością nie wszystkim łatwo było słuchać przepowiedni Matki

Bożej. Ta bowiem przewidywała bliską śmierć dwójki z dzieci. Wkrótce do Nieba mieli pójść Hiacynta i Franciszek. I rzeczywiście dzieci wkrótce odeszły z tego świata. Jedenastoletni Franciszek zmarł na hiszpańską grypę. Dzień przed śmiercią przyjął pierwszą i jedyną w swoim życiu Komunię świętą. Podobno umierał pogodnie. Jego przyjaciółka Hiacynta zachorowała tego samego dnia co on: 23 grudnia 1918 r. Umarła rok po Franku, ofiarowując swoje boleści za nawrócenie grzeszników.

Dla Łucji Maryja przewidywała inną rolę. Dziewczynka miała zostać na ziemi, aby wypełnić misję ustanowienia nabożeństwa do Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny. Łucji została ukazana wizja Niepokalanego Serca Maryi: dziewczynka widziała serce otoczone cierpieniami, znieważane grzechami ludzkości. Serce i oczekujące wynagrodzenia za nie.

Minęło troszkę czasu, zanim Kościół katolicki oficjalnie zatwierdził nabożeństwo, o które prosiła Łucję Maryja. Stało się to dokładnie dwa tygodnie po wybuchu II wojny światowej, 13 września 1939 r. Dopiero od tego momentu pierwszosobotnie praktyki zyskały aprobatę kościelną i zaczęły rozwijać się na całym świecie. Tak jak prosiła o to sama Matka Boża.



„Droga Pokuty” – ścieżka, którą pątnicy pokonują na kolanach

Fatimska Bazylika z szeroko rozpostartymi ramionami kolumnady

► Koperta z Tajemnicami

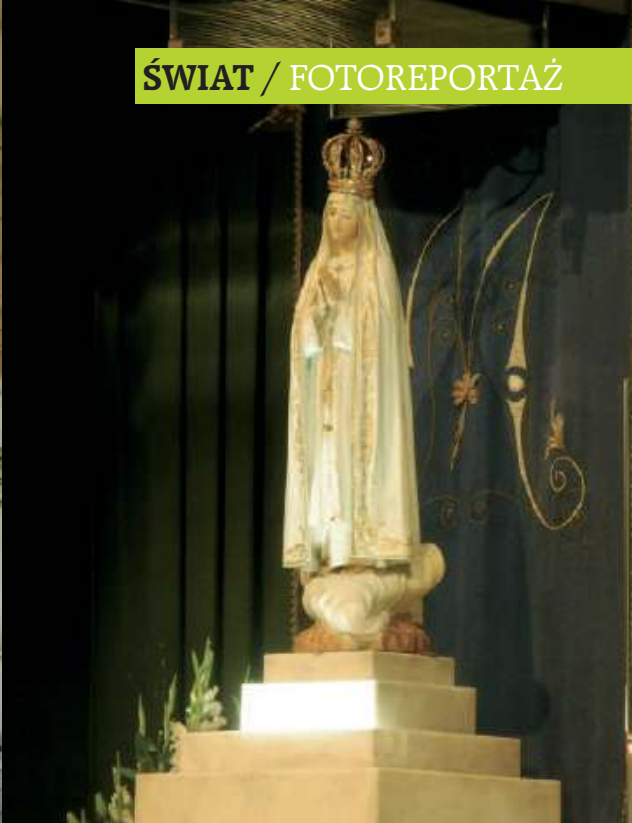
Wreszcie przysłała pora na objawienie lipcowe, trzecie z kolei. Jak podają świadkowie tego najsłynniejszego chyba objawienia, nad zielonym dębem zawisł na ten czas szary obłok. Słońce pociemniało, a orzeźwiająca bryza powiała w górach. Warto nadmienić, że nie były to zjawiska zupełnie normalne. Lipiec w Portugalii to przede wszystkim upały i susza.

W przyszłości to właśnie owe trzecie objawienie miało okazać się tym, które wywołała najwięcej kontrowersji wśród wiernych. Również w samym Kościele. Stanie się przedmiotem zapalonych dyskusji również w światku politycznym. W objawieniu dzieci widzą rzeczy tak straszne, że nie chcą zdradzić nikomu, co zawierały oglądane sceny. O to zresztą poprosiła ich także sama Matka Boża. Dzieci od tego stopnia strzegły powierzonej im tajemnicy, że nie działała na nie nawet wizja uwięzienia, o której wspomniano wyżej. Masoński burmistrz Fatimy nie osiągnął celu. Dzieci musiały zostać wypuszczone. A tajemnica nadal była nieodtajniona.

Musiło minąć 19 lat, zanim świat dowiedział się, co takiego Maryja przekazała trójce dzieci pod skalnym dębem owego 13 lipca 1913 r. Przebywająca w klaszto-

rze w Coimbrze niespełna trzydziestoletnia Łucja – wówczas już karmelitanka bosa – otrzymała polecenie od biskupa swojej fatimskiej diecezji, aby spisać relację z objawień. Posłuszna poleceniu Kościoła siostra zakonna zgodziła się i spisała w sumie aż trzy dokumenty. Każdy z oddzielną tajemnicą powierzoną jej przez Matkę Bożą. Tak skreślony dokument pobożna karmelitanka przekazała do rąk własnych abp. Manuela Marii Ferreiry da Silva. Kiedy biskup odmówił otwarcia listu, siostra Łucja wymusiła na nim obietnicę, że list zostanie ostatecznie otwarty i przeczytany całemu światu albo po jej śmierci, albo w 1960 r., cokolwiek miało nastąpić wcześniej.

Opisem losów koperty, w której przetrzymywane były zapisane tajemnice, można by zapisać kilkadziesiąt stron. Koperta wędrowała od Fatimy przez Lizbonę aż po Watykan. To tutaj spisane przez Łucję tajemnice fatimskie czekały na upublicznienie. Pierwsze dwie tajemnice papież Pius XII oficjalnie przekazał do publicznej wiadomości w 25. rocznicę objawień (13 maja 1942 r.). Pierwsza tajemnica dotyczy wizji piekła, jaka ukazała się dzieciom w lipcu 1917 r., oraz zawierała zapowiedź wybuchu II wojny światowej. Druga tajemnica dotyczyła prośby Matki Bożej o upowszechnienie na świecie kultu Jej Niepokalanego Serca i poświęce-



W miejscu, gdzie objawiła się dzieciom Matka Boża, stoi dziś Jej cudowna figura

nie Jej Rosji. Dwie z trzech tajemnic zostały upowszechnione. Pozostała trzecia.

► Ujawnienie

Ostatnia tajemnica przez kolejne lata przechowywana była w watykańskim sejfie. Zapoznawali się z nią kolejni papieże, nie podając jednak jej treści do publicznej wiadomości, twierdząc, że jej treść dotyczy czasów, w których nie przyjdzie im już pełnić roli Namiestnika Chrystusa na ziemi. Wyjątek uczynił jedynie Paweł VI, który w części wykorzystał treść, by zapewnić pokój na świecie. Nastąpiło to w 1962 r., w okresie tzw. kryzysu kubańskiego, kiedy to świat stanął na krawędzi kolejnej wojny globalnej. Zapoznanie Chruszczowa, Kennedy'ego i Wilsona z treścią Orędzia przyczyniło się do zawarcia porozumienia i podpisania układu ATOMOTOP przez ZSRS, USA i Wielką Brytanię.

Poza tym jednym przypadkiem tajemnica nie była upubliczniona. Aż do 2000 r. Dopiero wtedy, w roku jubileuszowym, papież Jan Paweł II podjął decyzję o jej ujawnieniu. Dziś mamy już ten przywilej poznania wizji, którą zobaczyli Łucja z Hiacyntą i Franciszkiem 13 lipca 1917 r.: „Piszę w duchu posłuszeństwa Tobie, mój Boże, który mi to nakazujesz poprzez Jego Ekscelencję Czcigodnego Biskupa Leirii i Twoją, i moją Najświętszą Matkę. Po dwóch

częściach, które już przedstawiłam, zobaczyliśmy po lewej stronie Naszej Pani nieco wyżej Anioła trzymającego w lewej ręce ognisty miecz; iskrząc się wyrzucał języki ognia, które zdawało się, że podpałają świat; ale gasły one w zeknięciu z blaskiem, jaki promieniował z prawej ręki Naszej Pani w jego kierunku; Anioł wskazując prawą ręką ziemię, powiedział mocnym głosem: »Pokuta, Pokuta, Pokuta!«. I zobaczyliśmy w nieogarnionym świetle, którym jest Bóg; coś podobnego do tego, jak widzi się osoby w zwierciadle, kiedy przechodzą przed nim, biskupa odzianego w Biel – mieliśmy przecucie, że to jest Ojciec Święty. Wielu innych biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnic wchodzących na stromą górę, na której szczycie znajdował się wielki krzyż zbity z nieociosanych belek jak gdyby z drzewa korkowego pokrytego korą; Ojciec Święty zanim tam dotarł, przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżące, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała napotykał na swojej drodze; doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku i w ten sam sposób zginęli jeden po drugim inni biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice oraz wiele osób świeckich, mężczyzn i kobiet różnych klas i pozycji. Pod dwoma ramionami krzyża były dwa Anioły, każdy trzymający w ręce ko-

newkę z kryształu, do których zbierali krew Męczenników i nią skrapiali dusze zbliżające się do Boga”.

► Modlitwa może zmienić wszystko

Wypełnienie się trzeciej tajemnicy fatimskiej zwykło się wiązać z zamachem na Ojca Świętego Jana Pawła II. Twierdzi się, że przypuszczalnie sam papież zapoznał się z fatimskim orędziem wkrótce po swoim wyborze. Jedno jest pewne. Gdy 13 maja 1981 r. został ciężko ranny w zamachu na swoje życie na placu św. Piotra w Rzymie, już następnego dnia zażądał dostarczenia mu do kliniki Gemelli tekstu trzeciej tajemnicy, z którą się zapoznał. Doszedł wówczas do przekonania, że zamach na papieża opisany w rękopisie siostry Łucji dotyczy jego osoby. Dokładnie rok później papież odwiedził Fatimę w pielgrzymce dziękczynnej. Nie miał żadnych wątpliwości, że swoje życie i zdrowie zawdzięcza Niepokalanemu Sercu Maryi, której cały czas był wielkim czcicielem. Czy Ojciec Święty znał treść trzeciej tajemnicy fatimskiej? Czy wiedział o szykowanym na niego zamachu? Czy miał świadomość tego, że ma zginąć? Czy się o to modlił? Tego nie wiemy.

Są w Kościele jednak i takie głosy, że trzecia tajemnica wcale nie dotyczy zamachu na Jana Pawła II. Zwolennikiem takiej teorii jest chociażby Robert J. Siscoe, publicysta pisma amerykańskich tradycjonalistów katolickich „The Remnant”. Zastanawiający według niego jest fakt, że Łucja wspomina nie tyle o papieżu, ile o „biskupie w bieli”.

Nad wyjaśnieniem symboliki trzeciej z fatimskich tajemnic głowią się najteższe umysły Kościoła. Większość znawców przestrzega jednak przed patrzeniem na ujawnioną tajemnicę jako na pewnego rodzaju wyrok. Pięknie pisał o tym kardynał Ratzinger w komentarzu do trzeciej tajemnicy, przygotowanym przez Kongregację Nauki Wiary: „Nie należy treści tej tajemnicy brać dosłownie. Ona nie przedstawia nieuniknionej przyszłości, ukazuje tylko zagrożenia. Przyszłość nie jest przesądzona. Proszę zwrócić uwagę, że w przepowiedni papież ginie, podczas gdy w rzeczywistości Jan Paweł II przeżył zamach na swoje życie. W wierze i modlitwie jest siła, która może wpłynąć na losy świata”.

► Gdy można posiedzieć

Dziś na miejscu, w którym Maryja ukazywała się dzieciom, stoi niewielka, półotwarta Capela das Aparições, czyli Kaplica Objawień. Tuż za ołtarzem w centralnej części kaplicy stoi na podniesieniu figura Matki Boskiej z Fatimy. To właśnie w koronie tej figury Jan Paweł II zadecydował, aby umieścić kulę, która 13 maja 1981 r. przeszła jego ciało na placu św. Piotra. To raz jeszcze pokazuje, że Ojciec Święty nie miał wątpliwości, komu zawdzięcza życie. Sam zamachowiec mówił przecież po zamachu jasno, że wystrzelona przez niego kula nie miała prawa chybić celu. A jednak w iście niewiarygodny sposób prześwidrowała



fot. Joanna Stanczak

Początek fatimskiej Drogi Krzyżowej w Cova da Iria

ciało przyszłego świętego w taki sposób, że nie naruszyła śmiertelnie jego organów wewnętrznych. Proroctwo zostało zastopowane. Przez samą Maryję – dodają niektórzy.

Do samej kaplicy prowadzi dziś ze środka gigantycznego placu tzw. Droga Pokuty – wybrukowana specjalnymi płytami wąska ścieżka, którą przybywający do Fatimy pątnicy pokonują na kolanach. Jak choćby w tej chwili pewna pani. Równoległe do niej z dzieckiem na ręku idzie pchający wózek mężczyzna. Zgaduję, że mąż. Kobieta co pewien czas przystaje, aby odpocząć. Za kilkanaście minut dotrze do kaplicy. Akurat pada deszcz. Kobiecie to jednak nie przeszkadza. Dzielnie na klęczkach pokonuje kolejne metry. Wie, po co tu przyjechała.

Podobnie jak wiedzą to wszyscy zgromadzeniu w Kaplicy Objawień wierni. Są tu przedstawiciele praktycznie wszystkich stanów i struktur społecznych. Pani ze śpiącym na ręku dzieckiem. Jest elegancki pan w garniturze z teczuszką w ręku. Jest para zakochanych. Siostry zakonne. Czarnoskóry ksiądz. Pani z dredami. Starszy pan w okularach pomagający sobie podczas wstawania z ławki drewnianą laską. Wszyscy przyjechali tu dla Niej. Nie potrzebują specjalnych wygód. Nie muszą być najedzeni. Nie przeszkadza im rzęsy deszcz ani palące słońce. Są tu z potrzeby serca. Po modlitwie u Matki Bo-



Pomników małych pastuszków znajdziemy w Fatimie bez liku

żej Fatimskiej udadzą się do domu siostry Łucji. Stoi w oddalanej od Fatimy o zaledwie 3 kilometry miejscowości Aljustrel. Większość z pielgrzymów uda się tam na piechotę. Pójdą nawet ci najstarsi. W niewielkim białym domku znajdą skromne łóżko. Potem wierni udadzą się do gaju, w którym „rośnie” pomnik Anioła Pokoju. To ważne miejsce na pątniczej drodze pielgrzymów fatimskich. Tutaj Anioł przygotowywał trójkę dzieci na spotkanie z Matką Bożą. Pomnik jest naprawdę zjawiskowy. Jakby nieco schowany przed ciekawskim światem. Między głazami i drzewkami gajowymi. Trójka pastuszków pokornie klęczy przed Niebiańskim Wysłannikiem. Obok na wpół pęknięte drzewo. Jakby uderzone piorunem od pojawiającego się Gościa. Tutaj pątnicy lubią posiedzieć nieco dłużej. Pomodlić się.

► Dobytąjąc miecza

Jednak większość z nich przyjeżdża tutaj dla orędzia. Dla jego wypełnienia. Istotę owego orędzia, które przekazała światu Maryja w Fatimie, można dziś streścić w dwóch słowach: pokuta i modlitwa. To pierwsze słowo przywoływany przez Łucję „Anioł z wniesionym nad ziemią ognistym mieczem” wypowiadał podczas lipco-

wej, trzeciej z kolei, wizji aż po trzykroć. Wygląda na to, że tylko w ten sposób możemy uratować siebie i ludzkość. Tutaj w Fatimie jakby o to łatwiej. Nic nie odciaga. Nic nie kusi. Jest czas.

13 października 1917 r. podczas ostatniego spotkania dzieci z Maryją świadkiem objawień był tłum liczący 70 tys. ludzi. Znacznie więcej niż mógłby pomieścić stojący dziś w Fatimie kościół Trójcy Przenajświętszej – czwarty pod względem wielkości na świecie. Dziś w to miejsce przybywa jeszcze więcej ludzi. Szacuje się, że bazylikę odwiedniają rocznie około 4 mln pielgrzymów. Część przybywa z ciekawości, aby na własne oczy przekonać się, jak wygląda miejsce objawień Maryjnych. Inni z intencją. Część właśnie tutaj pragnie odmówić różaniec. Każdego wieczora na placu gromadzą się wierni z paciorkami. Po zmówieniu Różańca rozpoczyna się procesja wokół placu. Większość pielgrzymów oświetla sobie drogę pochodniami i unosi je podczas refrenu pieśni. Na początku procesji jest niesiony wielki krzyż skonstruowany z zapalonych jarzeniówek. Mimo całej aury mistycyzmu nie można oprzeć się wrażeniu, iż ten świecący symbol przypomina taki świetlny miecz. Miecz do walki z wrogiem. Do walki, do której wezwany jest dziś każdy z nas. O to przecież prosiła sama Maryja. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Bankruci na życzenie

W Europie żyje dziś około 5 milionów Turków. Połowa z nich jest uprawniona do głosowania. To o wsparcie tej grupy przed kluczowym dla Recepa Tayipa Erdoğan'a referendum konstytucyjnym zabiegali ministrowie tureckiego rządu na spotkaniach z rodakami w Niemczech i Holandii. Wiemy już, jaki był finał tych występów na wyjeździe. Dyplomatyczny skandal i porażka. Nie, nie tylko strony tureckiej.

To nie jest kiepski żart. Niemcy, którzy od 2014 r. na własną rękę i dobrowolnie ściągali z Syrii imigrantów, ręcząc za nich przed organami państwa swoim majątkiem, dziś żalą się w prasie, że w związku z ponoszonymi na rzecz swoich gości wydatkami, stoją na krawędzi bankructwa.

Ci sami ludzie, którzy jeszcze rok i dwa lata temu zgłaszali się do różnorakich fundacji, by koniecznie poręczyć za imigranta z Bliskiego Wschodu, dziś mają pretensje do państwa, że nie chce ono przejąć finansowej odpowiedzialności za ich podopiecznych. I tak trwa przedziwna wojenka między urzędnikami a obywatelami, a długi prywatne... rosną.

► Ochotnicy płacą w euro

Martin Keune, pisarz, artysta, właściciel agencji reklamowej, wpadł w marcu 2015 r. na pomysł, by założyć organizację pożytku publicznego, za pośrednictwem której chętni i dobrze sytuowani Niemcy mogliby przejmować finansową odpowiedzialność za sprowadzanych do kraju Syryjczyków. Organizację nazwano Flüchtlingspaten Syrien i wyruszone na poszukiwanie chętnych „rodziców chrzestnych dla uchodźców”. Sam Keune zaadoptował w tym czasie syryjską parę, 86-letniego mężczyznę i jego 72-letnią żonę, a w wywiadzie dla magazynu „Die Zeit” z września 2015 r. opowiadał o tym, jak prawnik odradzał

mu ten krok i że ma świadomość, że do końca życia będzie już odpowiedzialny za dwoje obcych ludzi. Do tej pory organizacja Martina Keune sprowadziła do Niemiec – legalnie, samolotami i na koszt darczyńców zaangażowanych w projekt – 187 syryjskich imigrantów. Deklarację poręczenia podpisało 140 Niemców, a pomoc finansowa płynie od 3,8 tys. osób. Na utrzymanie sprowadzonych można poza tym wpłacać już od 10 euro miesięcznie, to znaczy w przypadku pomocy niezobowiązującej, ponieważ ci, którzy na papierze deklarują, że od tej chwili będą łożyć na utrzymanie konkretnego imigranta, muszą się liczyć z kosztami rzędu 600–800 euro miesięcznie, zazwyczaj przez pięć lat, ale niektórzy godzą się na pomaganie bezterminowo. I cała filozofia.

► Łączenie rodzin

Aby móc wspomagać imigranta, wpięć trzeba jednak wykazać swoje dochody w Urzędzie ds. Cudzoziemców, wymagane jest co najmniej 2200. euro netto. Niektórzy tak jak Keune podpisują kontrakt bezterminowo, ale – przy całym szacunku dla jego szlachetnych pobudek – inaczej chyba wygląda sytuacja opiekuna, który decyduje się na dożywotnią adopcję pary osiemdziesięciolatek, a inaczej kogoś, kto bierze pod swoje skrzydła młodego chłopaka. A już poza

konkursem – młody chłopak będzie chciał za chwilę sprowadzić swoich bliskich i dla nich też trzeba będzie znaleźć źródło wsparcia, czyli kolejnych opiekunów, a zatem karuzela z dobrowolnym finansowaniem imigrantów będzie się kręcić jeszcze bardzo długo. Zwłaszcza że fundacje zaangażowane w pomoc imigrantom, takie jak Pro Asyl, od początku kwietnia tego roku w alarmistycznym tonie donoszą, że Bundestag musi odstąpić od obowiązującej dziś zasady łączenia rodzin wyłącznie w przypadku osób z terenów wojennych lub zagrożonych wojną i rozszerzyć możliwość sprowadzania swoich bliskich na wszystkich imigrantów przebywających w Niemczech. I to jak najszybciej, ponieważ zdesperowani członkowie rodzin syryjskich, nie mogąc się doprosić wstępu dla swoich rodzin do Niemiec, na własną rękę wracają do Syrii i giną w morskich odmetach. Opisy tak dramatycznych obrazów znajdziemy na stronie internetowej organizacji Pro Asyl, są tam również teksty projektów ustaw złożonych do Bundestagu przez Zielonych i postkomunistyczną Die Linke. Oba dotyczą zniesienia obostrzeń prawnych przy łączeniu rodzin. Trudno sobie wyobrazić, by przed wrześniowymi wyborami do Bundestagu Angela Merkel była skłonna naginać i tak elastyczne zasady dotyczące łączenia imigranckich rodzin, ale opozycja ma swoje prawa i z nich korzysta.

► Bądź jak Thorsten, nie narzekaj

Thorsten jest menedżerem średniego szczebla w dużym niemieckim koncernie. Mieszka w Berlinie. Półtora roku temu wraz z matką i siostrą postanowili sfinansować pobyt w Niemczech dla wtedy jeszcze 18-letniego Ahmeda. Pytany o powód, odpowiada: „Tam jest wojna, a nam wiedzie się bardzo dobrze, szukaliśmy kogoś młodego, kto mógłby w Niemczech bez trudu skończyć edukację i zacząć nowe życie. Ahmed był strzałem w dziesiątkę. Uczy się pilnie, w przyszłym roku będzie już w stanie podejść do matury. Mieszka z nami, ma swój pokój, jest typem mola książkowego” – opowiada Thorsten. Ale nie wszyscy „ojcowie chrzestni” są zadowoleni z dokonanego wyboru. W Hesji po raz kolejny zawrzało w połowie kwietnia. Ludzie, którzy w 2015 r. podpisali poręczenie za imigrantów z Syrii, nie rozumieją, dlaczego mają na nich dalej łożyć, skoro ich sytuacja prawno-pobytowa została wyjaśniona. Umowa z landem Hesja była taka, że gdy syryjski podopieczny otrzyma azyl i status uchodźcy, koszt jego dalszego pobytu w kraju bierze na siebie państwo. Tymczasem opiekunowie Syryjczyków, którym już przyznano azyl, są w dalszym ciągu zasypywani wezwaniami do zapłaty na

ich utrzymanie. Mimo iż ludziom tym przysługuje prawnie zasiłek dla bezrobotnych i wszelkie dodatkowe formy finansowego wsparcia oferowane przez niemiecki system socjalny. Ze skrzynek pocztowych teoretycznie byłych już opiekunów co miesiąc wysypują się więc koperty z Sozialamt, a w nich rachunki opiewające na 600–800 euro. Niektórzy mają już z tego tytułu po kilka tysięcy długu u państwa i komornika na karku. Kilkadzieścią pokrzywdzonych domaga się sprawiedliwości w sądzie, ale i te najwyraźniej głowią się, co z tym fantem zrobić. Urzędy zaś nieugięcie domagają się zaległych wpłat, i to mimo poświadczenia na piśmie z ministerstwa spraw wewnętrznych Hesji, że odpowiedzialność prywatnych opiekunów zaproszonego imigranta ustaje w momencie uzyskania przez niego azylu. Tylko że pismo jest z 2015 r., a w czerwcu 2016 r. przepisy nieco się zmieniły i okres opieki nad podopiecznymi z Syrii przedłużono do lat... pięciu. O czym gospodarzy nie poinformowano, a przepis zadziałał wstecz!

► Dajmy z siebie wszystko

Martin Keune powściągliwie odnosi się do sprawy oburzonych opiekunów z Hesji. Na swojej stronie internetowej, odnosząc się do skandalu, stwierdza, że osoby zaangażowane w pomoc podpisują w ich berlińskim biurze kontrakt na pięć lat lub bezterminowy, a opiekunowie w Hesji faktycznie zobowiązali się do pomocy swoim gościom, ale tylko do czasu zakończenia przez urzędy procedury azylowej. I tyle na ten temat pomysłodawca całej cokolwiek by mówić: inicjatywy. Czyli teoretycznie pechowcy z Hesji mają rację. A w praktyce mogą sobie dokumentem z heskiego ministerstwa co najwyżej pościarać kurz z parapetu.

Dla państwa to w sumie wygodna sytuacja, koszt utrzymania imigrantów obniżony, obywatele sami, bez pośrednika z fiskusa, finansują politykę migracyjną Berlina, a pracę mają nie tylko urzędnicy, lecz także komornicy. Bezrobocie pikuje, cały naród z poświęceniem angażuje się w imigracyjne przedsiębiorstwo. Nauczyciele, wychowawcy, pracodawcy, uniwersytety, windykatorzy, psychologowie, panie z okienek urzędniczych i bankowych, policjanci i artyści – wszyscy dają z siebie wszystko. A niektórzy nawet więcej, niż by chcieli. Znany z przebiegłości Bismarck lepiej by tego nie zaplanował. ■

Szanowni Państwo, w ostatnim „Tyglu” pojawił się błąd. We fragmencie zatytułowanym „Szwajcarskie podejście do demokracji” zamiast słowa „członków” powinno być „partnerów”. Niby nic, a jednak robi ogromną różnicę. Za ten błąd serdecznie Państwa przepraszam.

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

► Chiny–USA

Tuż przed kwietniową wizytą prezydenta Chin Xi Jinpinga w USA, amerykański Departament Stanu opublikował raport dotyczący łamania praw człowieka w Państwie Środka w 2016 r. Dokument stwierdza, że Chińczycy nadal pozbawieni są prawa do wybierania swojego rządu, ich głos ograniczony jest do decydowania o najniższych lokalnych poziomach władzy. Choć nawet w tych przypadkach władze nie dopuszczają do startu niezależnych kandydatów. Obywatele mają także ograniczone możliwości odwołań w przypadkach nadużyć ze strony oficjeli partyjnych. Raport mówi również o wciąż pojawiających się przypadkach pozbawiania życia przeciwników politycznych i egzekucjach bez odpowiedniego procesu, nielegalnych zatrzymaniach w nieoficjalnych, tzw. czarnych, więzieniach, torturach, wymuszanych na więźniach przyznaniach się do winy, zatrzymaniach i nekaniach dziennikarzy, prawników, pisarzy, blogerów, dysydentów czy osób składających petycję do władz.

W dokumencie podanych jest kilka przykładów śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach. Na przykład przypadek z maja zeszłego roku, gdy w trakcie zatrzymania przez policję zmarł 29-letni ekolog Lei Yang. Oficjalnie władze ogłosiły, że Lei umarł na atak serca, ale raport z autopsji, do którego dotarła rodzina, stwierdził, że przyczyną zgonu było uduszenie. W wyniku protestów władze zgodziły się przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci ekolog. W grudniu ogłoszono, że choć przy aresztowaniu Leia policjanci zastosowali przemoc wobec zatrzymanego i opóźnili udzielenie mu pomocy medycznej, to te „wykroczenia były niewielkie”, a policjanci „wyrazili skruchę” i sprawę umorzono.

Departament Stanu USA stwierdza, że choć większość z ponad 300 chińskich prawników i obrońców praw człowieka zatrzymanych w 2015 r. została zwolniona, to 16 jest nadal w areszcie tymczasowym bez dostępu do prawników i członków rodziny. Czterech z prawników i działaczy na rzecz swobód obywatelskich zostało skazanych na kary pozbawienia wolności od trzech lat do siedmiu i pół roku w procesach, które były pogwałceniem podstawowych zasad praworządności. Raport stwierdza, że „osoby i grupy uważane przez władze za politycznie niewygodne dotykają restrykcyjne ograniczenia swobody, praktykowania religii i podróży zarówno w Chinach, jak i poza granicami kraju”. Komunistyczne władze nadal stosują cenzurę i ściśle kontrolują publiczny dyskurs w internecie, prasie i innych mediach.

Dokument przygotowany przez Departament Stanu dużo miejsca poświęca też przymusowym aborcjom i sterylizacjom stosowanym w Chinach. Mimo że w zeszłym roku komunistyczne władze Chin zezwoliły parom na posiadanie dwojga dzieci zamiast jednego, to polityka kontroli urodzeń „nadal polega na presji społecznej, edukacji, propagandzie, karach ekonomicznych oraz na działaniach takich jak obowiązkowe badania ciążowe i przymusowe aborcje oraz sterylizacje”.

► Filipiny

Na początku kwietnia prezydent Filipin Rodrigo Duterte nakazał armii zająć niezamieszkane wysepki i rafy na Spratlejach na Morzu Południowochińskim. O te tereny Manila toczy spory m.in. z Chinami. Duterte stwierdził, że jego kraj – tak jak już robią to Chińczycy – zbuduje tam instalacje wojskowe. W odpowiedzi dziennik Komunistycznej Partii Chin „Global Times” stwierdził, że pre-

zydent Filipin „uległ presji rodzimych sił proamerykańskich”. Kilka godzin po oświadczeniu Duterte filipińskie ministerstwo obrony uspokajało, twierdząc, że „zapowiedziane przez prezydenta działania filipińskiej armii na niezamieszkanym wyspach na Morzu Południowochińskim będą dotyczyć jedynie naprawy istniejącej infrastruktury”. Rzecznik armii Restituto Padilla stwierdził zaś, że prezydentowi chodziło o działania jedynie na zajętych już terytoriach. Wszystko to działo się w momencie, gdy chiński prezydent Xi Jinping spotykał się na Florydzie z prezydentem USA Donaldem Trumpem i eksperci uważają, że był to sygnał, iż Duterte chce naprawy relacji z USA. Uległy one pogorszeniu za administracji Obamy. Poprzednik Trumpa ostro krytykował prezydenta Filipin za jego ostrą rozprawę z dilerami narkotyków. Na to Duterte odpowiedział zwrotem w kierunku Pekinu.

Prezydent Filipin odwiedził Chiny w październiku zeszłego roku. Wizyta poprawiła napięcie po wyroku międzynarodowego trybunału w Hadze relacje obu krajów. W lipcu 2016 r. trybunał na podstawie filipińskiego wniosku postanowił, że Chiny nie mają podstaw do roszczeń terytorialnych na Morzu Południowochińskim. Sąd uznał, że sporne terytoria archipelagu Spratly (Nánshā) nie są wyspami i nie tworzą wyłącznej strefy gospodarczej. Chiny nie uznały tego werdyktu. Zaraz po wizycie w Pekinie Duterte ograniczył współpracę wojskową z USA, ogłaszając, że wstrzymane zostaną filipińsko-amerykańskie patrole i ćwiczenia morskie na Morzu Południowochińskim.

Kilka dni po wypowiedzi Duterte dotyczącej wysłania armii na wyspki na Morzu Południowochińskim pełniący obowiązki szefa MSZ Enrique Manalo sugerował, że relacje z nową administracją w Waszyngtonie mogą ulec poprawie. „Ważne jest, by nie dopuścić, aby pewne trudne momenty w naszych relacjach wpływały na podstawy naszych stosunków” – stwierdził Manalo.

W najbliższych tygodniach ma dojść do spotkania szefa MSZ Filipin z amerykańskim sekretarzem stanu Rexem Tillersonem. Eksperci uważają, że administracja Duterte zdaje sobie sprawę, że budujące sztuczne wyspy pod bazy wojskowe na Morzu Południowochińskim Chiny na dłuższą metę są zagrożeniem dla Filipin. Chiński rząd rości sobie prawa do około 85 proc. obszaru Morza Południowochińskiego. W 2014 r. zaczął budować sztuczne wyspy na rafach Fiery Cross, Mischief i Subi, wyposażając je w pasy startowe i latarnie morskie. Władze ChRL jasno oświadczają, że mają prawo do tworzenia na tych wyspach obiektów wojskowych.

► Japonia

Wydawało się, że po tym, jak Donald Trump ogłosił, iż USA nie przystąpią do Transpacyficznej Umowy o Wolnym Handlu (TPP), porozumienie umrze śmiercią naturalną. Jednak w połowie kwietnia premier Japonii Shinzo Abe, który zawsze był głównym orędownikiem tego porozumienia, zasugerował, że zamierza wrócić do rozmów nad jego wprowadzeniem w życie z pozostałymi 10 państwami, które dwa lata temu przystąpiły do umowy. Kraje te to Australia, Brunei Darussalam, Kanada, Chile, Malezja, Meksyk, Nowa Zelandia, Peru, Singapur i Wietnam. Ich przedstawiciele mają się spotkać w maju w Kanadzie i kontynuować negocjacje na temat przyszłości Porozumienia Transpacyficznego.

Japonia chce też nadal prowadzić rozmowy z Waszyngtonem w sprawie TPP, a w przypadku nieobecności USA w porozumieniu chce odgrywać czołową rolę w projekcie.

► Tajwan

W odpowiedzi na rosnące zagrożenie militarne ze strony Chińskiej Republiki Ludowej Tajwan zamierza wybudować własne okręty podwodne. „Wzmocnienie zdolności walki podwodnej jest największą potrzebą obronną Tajwanu” – twierdzi prezydent Tsai Ing-wen. Do stworzenia nowoczesnych okrętów Tajwan, który nie ma doświadczenia w tego typu konstrukcjach, będzie jednak potrzebował zagranicznych technologii. Oczekuje się, że administracja Trumpa dokona sprzedaży wyspie nowego pakietu uzbrojenia, który obejmować ma m.in. kluczowe technologie budowy okrętów podwodnych. Łącznie na Tajwanie ma powstać osiem jednostek podwodnych. Projekt ma być gotowy już w przyszłym roku, a wszystkie okręty mają znaleźć się w służbie do 2027 r.

Na uroczystości podpisania umowy między największym przedsiębiorstwem stoczniowym na wyspie, CSBC Corporation, oraz Narodowym Instytutem Nauki i Technologii Chung-Shan (National Chung-Shan Institute of Science and Technology/ NCSIST), który opracuje systemy bojowe przyszłych jednostek, prezydent Tsai powiedziała, że program budowy łodzi podwodnych to „część rodzimej polityki obronnej” i podkreśliła, że „Tajwańczycy zawsze podejmują się nowych wyzwań i przezwyciężają trudności”.

Pekin uważa Tajwan za swoją zbuntowaną prowincję. Cały czas zwiększa liczbę rakiet balistycznych wycelowanych w wyspę – w tej chwili jest ich około 1,6 tys. ■



Estoński kontrwywiad o Rosji

Na początku kwietnia estońska Policja Bezpieczeństwa (Kaitsepolitsei), czyli odpowiednik polskiej ABW, opublikowała, już po raz dziewiętnasty, roczny raport – teraz za rok 2016. I znów lwia część dokumentu zajmuje Rosja i płynące z jej strony zagrożenia. Raport opiera się na analizie zebranych informacji. Poniżej prezentujemy fragmenty dokumentu służby uznawanej za jedną z najlepszych w Europie Środkowej i Wschodniej.



tłumaczył Antoni Rybczyński

Jednym z charakterystycznych czynników, które miały wpływ na bezpieczeństwo Estonii i Europy, było pogłębienie się sprzeczności między Zachodem a Rosją z powodu agresywnej polityki zagranicznej tej drugiej. W kontrolowanej przez Kreml rosyjskojęzycznej przestrzeni informacyjnej Zachód jest opisywany jako wróg lub co najmniej zagrożenie dla rosyjskich interesów. Te interesy nie są jasno i otwarcie zdefiniowane, ale istnieje z pewnością sfera polityki wpływu, która próbuje utrzymać dziedzictwo Związku Sowieckiego, a fundamenty tej polityki zostały wyrażone co najmniej w 1992 r. jako tzw. doktryna Karaganowa. Ten dokument jest źródłem koncepcji „bliskiej zagranicy”, do której zaliczono kraje, które nie powinny mieć niezależnej polityki w ich kwestiach wewnętrznych, zagranicznych czy też bezpieczeństwa. Z tej samej doktryny wyrasta też inny cel Rosji, jakim jest użycie rosyjskojęzycznych mniejszości w innych krajach jako narzędzia politycznej manipulacji. Niedawne wydarzenia pokazały jednakże, że Rosja jest też gotowa prowokować agresję w celu wdrażania jej sfer polityki wpływu. Aby osłabić rzekomych wrogów i obrócić sytuację na własną korzyść, Rosja używa starej zasady „dziel i rządź”, w której cel usprawiedliwia środki. [...] Moskwa usiłuje osłabić jedność Unii Europejskiej i NATO, podważać relacje pomiędzy sojusznikami, wystawiać na niebezpieczeństwo poszczególne społeczności i zmusić je do pozytywnego nastawienia wobec aktywności Kremla. Rosja jest niespójna i oportunistyczna w kwestii stosowania metod do osiągnięcia tych celów oraz używa ich w zależności od poszczególnych sytuacji i opcji w każdym z państw członkowskich UE i NATO. Aby szkodzić stosunkom między sojusznikami i dzielić społeczeństwa, Moskwa dokonuje cyberataków, kontrolowanych przecieków informacji, dezinformacji i zwykłych kłamstw w celu wpływania na opinię publiczną oraz dyskredytowania procesów demokratycznych wyborów. W pewnych krajach UE i NATO, mających słowiańską większość, Rosja próbuje dostać kredyt zaufania poprzez szerzenie pansłowiańskich idei, utrzymywanie kontaktu z organizacjami działającymi na rzecz „tradycyjnych wartości rodzinnych”. Metodą destabilizowania państw i wywoływania napięć jest wspieranie politycznych ekstremistów i w pewnych przypadkach pomaganie im poprzez finansowanie ich działalności.

► Diaspora rosyjska

Dlatego też polityka dzielenia prowadzona przez Moskwę ma wiele aspektów. Specjalną jej formą, którą Rosja nazywa polityką wspierania rodaków za granicą, są wyżej wymienione manipulacje z wykorzystaniem diaspory rosyjskiej. Konkretniejszym celem tej aktywności jest dalsza segregacja rosyjskich mniejszości i w efekcie poszerzanie społecznego podziału. Organizacje i instytucje, które są formalnie podmiotami badawczymi, w rzeczywistości wypełniają taką samą misję.

Kreml stale wspiera i finansuje ludzi, którzy promują antyestońskie propagandowe narracje podczas wydarzeń organizowanych przez międzynarodowe instytucje. Na przykład przedstawiciele Centrum Informacji Prawnej Praw Człowieka oraz Szkoła Rosyjska w Estonii znów brały udział w dorocznym Spotkaniu Wdrażania Wymiaru Ludzkiego organizowanym przez Biuro OBWE do spraw Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka w Warszawie w dniach 19–30 września 2016 r. Fundusz kremlowskich operacji wpływu kolejny raz opłacił ich udział. Finansowani rosyjskimi pieniędzmi ci „niezależni przedstawiciele estońskiego społeczeństwa obywatelskiego” nakreślili obraz Estonii, który w pełni spełniał oczekiwania sponsora: Estonia narusza prawa rosyjskich dzieci kształconych w ich ojczystym języku, ma „potężny” problem z mieszkańcami bez obywatelstwa itd.

Kreml usiłuje także kupować władzę. W bardziej ekstremalnych przypadkach oferuje pieniądze (zwykle w zawołowany sposób) partiom politycznym obcych krajów lub lukratywne stanowiska byłym politykom w zarządach spółek należących do rosyjskiego państwa lub przez nie kontrolowanych. Różne rosyjskie państwowe fundacje i holdingi medialne opłacają też zagraniczne organizacje non profit, w tym w Estonii. Sumy wydawane na ten cel w Estonii nie są duże; takie wsparcie można liczyć raczej w setkach tysięcy euro niż w większym wymiarze. Jakkolwiek rywalizacja o te ograniczone środki jest twarda i nie brakuje tych, którzy chcą zarobić łatwe pieniądze. Jednym ze sposobów ich uzyskania jest wypracowanie dobrego, bezpośredniego kontaktu z urzędnikami stojącymi za kremlowskimi funduszami. Tajemnicą Poliszynela wśród prokremlowskich propagandystów w Estonii jest to, że pewni członkowie

Rady Koordynacyjnej Rosyjskich Rodaków, która jest zarządzana przez rosyjską ambasadę, dostają większość grantów opłacanych z rosyjskich funduszy państwowych. Najkrótszą drogą do otrzymania grantów jest podzielenie się nimi z rosyjskimi urzędnikami i dyplomatami. Charakterystycznym przykładem finansowego schematu Kremla jest opłacanie publikacji organizacji Bałtijskij Mir, która ma grupę współpracowników w Estonii. Rosyjska ambasada w Tallinie wpłaciła 30 tys. dolarów na publikację Bałtijskiego Mira w 2016 r. Tyle że publikacja ta w ogóle nie została w 2016 r. wydana. [...]

► Skinhead na wyjeździe

Odnotaliśmy tendencję wysyłania prawicowych ekstremistów z Rosji na różnego rodzaju publiczne wydarzenia w Estonii, aby obnosili się z nazistowskimi symbolami, co daje pretekst do medialnego nagłaśniania tego „społecznego problemu” w Estonii. Jednym z najlepszych przykładów w ubiegłym roku była próba prowokacji, kiedy skinhead z Sankt Petersburga, niejaki Aleksiej Maksimow, został wysłany do Estonii, żeby nagrać go jako „lokalnego nazistowskiego działacza”. Gdy Maksimow przekraczał granicę, był ubrany w taki sposób, by zakryć ramiona i nogi. Jednak gdy tylko pojawił się na imprezie upamiętniającej poległych w bitwie na Linii Tannenberg, zmienił ubiór, tak by wyeksponować swoje neonazistowskie tatuaże, w tym swastykę. Oczywiście kontrolowane przez Kreml media nagrały go i w relacjach z Estonii użyły jako dowodu na problem neonazizmu w tym kraju. Fakt, że dla odegrania roli trzeba było wysłać kogoś z Sankt Petersburga, sugeruje desperację rosyjskiej strony. Podczas wyborów do rosyjskiej Dumy „ekspert od zamrożonych konfliktów” Konstantin Zatulín, z leżącego bardzo daleko od Estonii Soczi, wystawił swoją kandydaturę w małym wyborczym okręgu i w czasie kampanii przyjechał do Narwy. Zatulín, który ma zakaz wjazdu do wielu państw, twierdził w związku ze swą estońską wizytą, że zwykłą praktyką w Estonii jest represjonowanie przedstawicieli rosyjskojęzycznej społeczności, że Estonia zajmuje rusofobiczne stanowisko w swojej wewnętrznej i zagranicznej polityce oraz zakłóca nadawanie rosyjskich kanałów telewizyjnych na poziomie narodowym. Wszystko to oczywiście fałszywe tezy lansowane przez Kreml. Cała wizyta Zatulína była relacjonowana przez rosyjską telewizję Cargrad, która należy do oligarchy Konstantina Małofiejewa, znajdującego się na unijnej liście osób objętych sankcjami z po-

wodu zaangażowania w wydarzenia na Ukrainie. Małofiejew finansował działalność separatystów na wschodzie Ukrainy oraz europejskich prawicowych ekstremistów. Szefem wydawców w Cargrad TV jest znany rosyjski szowinista Aleksandr Dugin, będący również założycielem i liderem Ruchu Euroazjatyckiego.

W swych antyzachodnich i antyestońskich operacjach wpływu Kreml próbuje w większym stopniu wykorzystywać internet i media społecznościowe. Wynika to bardziej z chęci redukcji kosztów niż nowych pionierskich możliwości. Warto zauważyć, że antyestońskie projekty wpływu Kremla miały w 2016 r. finansowe kłopoty. Podczas gdy zachodnie kraje poświęcają coraz więcej uwagi ujawnianiu kłamstw Kremla, projekty rosyjskich mediów postrzegają to jako oznakę rosnącej antyrosyjskiej propagandy. Odważniejsze twierdzenia mówią nawet o tym, że zachodnie kraje uświadomiły sobie swą niezdolność do porażenia sobie z rosyjską piątą kolumną, więc musiały zacząć formować szóstą kolumnę ze świeżej rosyjskiej emigracji, którą wykorzystają do antyrosyjskich operacji. Jest oczywiste, że rosyjscy emigranci, którzy poprosili o azyl na Zachodzie, są dla Kremla problemem nawet za granicą. Aktywni ludzie, którzy osiedli w Estonii i mówią o prawdziwej sytuacji w Rosji oraz o nowym domu na Zachodzie, utrudniają Kremlowi „sprzedawanie” – w kraju i za granicą – narracji o rzekomych masowych represjach wobec rosyjskojęzycznych i ich ciężkim życiu w Estonii.

► Tuby propagandowe

Rosyjskie medialne projekty powstają po to, by wpływać na rosyjskojęzyczną ludność w innych krajach oraz na politykę ich krajów zamieszkania. Choć często nie udaje się osiągnąć zamierzonego celu, takie próby nie są zarzucone, ale wręcz bardziej konsolidowane. Aktywność propagandowego portalu Baltnews, która jest ukierunkowana na rosyjskojęzyczne społeczności w krajach bałtyckich i jest wymieniana we wcześniejszych dorocznych raportach KaPo, jest koordynowana przez grupę pracowników agencji informacyjnej Rossija Segodnja. Zarządzają oni pracą całego portalu i narzucają tematy. Praca ta jest opłacana przez firmy kontrolowane przez Rossija Segodnja. Aleksandr Korniłow, lider portalu baltnews.ee i baltija.eu, co miesiąc otrzymuje 11,4 tys. euro od zwolnionych z podatków spółek. Wspomniani wcześniej koordynatorzy regularnie komunikują się w sprawie

rekomendowanych tematów z biurami Sputnika, oficjalnej struktury Rossija Segodnja. Komunikaty Rosji dystrybuowane poprzez całą sieć są w ten sposób właśnie koordynowane. Rossija Segodnja obliguje też estońskie, łotewskie i litewskie portale Baltnews do współpracy z biurami Sputnika oraz powtarzania informacji przez niego publikowanych.

W nadziei na zwiększone finansowanie, baltija.eu (Kornilow), bfro.be (Belgia, z Siergiejem Pietrowskim na czele) oraz russkoepole.de (Niemcy, z Jurijem Jeremienką na czele) planują wspólne założenie nowego centrum informacyjnego jednoczącego rosyjskich propagandystów. W ramach projektu pilotażowego liderzy wspomnianych portali podpisali w Brukseli w listopadzie 2015 r. umowę o współpracy „w przeciwdziałaniu antyrosyjskiej wojnie informacyjnej krajów zachodnich”. [...] Ten prokremlowski sojusz planuje założenie rosyjskojęzycznego centrum medialnego w Europie, składającego się z sieci dzielących się informacjami oraz wspólnej platformy multimedialnej. Medialny sojusz jest postrzegany jako zdecentralizowana sieć. W jego skład wejdą rosyjskojęzyczne portale informacyjne w krajach UE. Warunkiem wstępnym jest rejestracja prawnego podmiotu czy też „międzynarodowej organizacji non profit”. Ma to chronić projekt i jego uczestników przed naciskami ze strony władz UE i poszczególnych krajów. Aby unikać zarzutów o powiązania z Rosją, projekt ma być finansowany przez fundację w innym kraju, której kapitał mają zapewnić nierosyjscy inwestorzy i firmy. Pakiet kontrolny powinien być w rękach inwestorów mających powiązania z Rosją. W zamian inwestorzy będą mieli pierwszeństwo reklamowe. Główne biuro takiego medialnego sojuszu ma być w Brukseli, biuro i agencja reklamowa w niemieckim Erfurcie, a regionalne biuro wydawców w Tallinie. [...]

► Pod okiem GRU

Z informacji posiadanych przez Kaitsepolitsei wynika, że rosyjskie służby wywiadowcze i bezpieczeństwa szpiegują estońską sferę obrony i jej agencje, podobnie jak robią to w sąsiednich krajach. Ten odcinek działalności szpiegowskiej koordynuje GRU (wywiad wojskowy Rosji), ale operacje wywiadowcze prowadzi też FSB. Wszystkie rosyjskie służby specjalne zbierają informacje o NATO. Interesują się polityką zagraniczną i bezpieczeństwa, planowaniem obronnym oraz wzajemną współpracą w obszarze obrony obcych państw oraz rozwojem sił

zbrojnych, przemysłu obronnego, zbrojeń i wprowadzania nowych technologii w poszczególnych krajach. Jeśli chodzi o Estonię, Rosjanie szczególnie interesują się Estońskimi Siłami Obrony [regularna armia – przyp. tłum.], Estońską Ligą Obrony [organizacja paramilitarna – przyp. tłum.], siłami sojuszniczymi i prowadzonymi przez nie ćwiczeniami oraz kluczowymi osobami i personelem sił obronnych. Rosyjskie służby specjalne są zainteresowane zarówno zbieraniem informacji, jak i wpływaniem na decyzje ważne dla Estonii. Rosyjski wywiad i służby bezpieczeństwa prowadzą antyestońskie operacje wpływu, w tym operacje psychologiczne, wpływając na siły obronne i całą ludność potencjalnego wroga. [...] Oprócz typowej tajnej działalności, Kaitsepolitsei i jej służby partnerskie stwierdziły fakt fotografowania i filmowania struktur obrony i ćwiczeń wojskowych oraz odnotowały loty dronów nad obiektami wojskowymi lub podczas ćwiczeń. Biorąc pod uwagę sytuację bezpieczeństwa, należy oczekiwać, że takie incydenty będą się powtarzać. [...]

Podczas gdy GRU działa zarówno na terytorium obcych państw, jak i z obszaru Federacji Rosyjskiej, jedną z głównych metod FSB jest werbowanie agentów i współpracowników wśród ludzi odwiedzających Rosję. To metoda znana z czasów KGB jako „wywiad z terytorium”. Szybkiej i łatwej zidentyfikować i zwerbować potencjalny cel na własnym terenie, ponieważ oficerowie FSB nie są narażeni na kontradycje miejscowych służb. Werbując ludzi za granicą, pracownicy FSB narażają się na niebezpieczeństwo schwytania przez przeciwnika, w Rosji są bezpieczni. Jako agencja bezpieczeństwa FSB zbiera informacje o Estonii w różnych obszarach. Jest szczególnie zainteresowana naszą polityką zagraniczną i wewnętrzną oraz siłami obronnymi i zdolnościami obrony. Na celowniku są też struktury siłowe i ich personel. Celem FSB są też urzędnicy rządowi oraz dziennikarze i przedsiębiorcy. FSB jest stale zainteresowana mieszkańcami terenów przygranicznych, którzy często jeżdżą do Rosji. Sprawę ułatwiają jej sytuacje, w których mieszkańcy Estonii łamią prawo podczas wizyty w Rosji lub ma inne administracyjne problemy – wówczas pojawia się pretekst do zbliżenia się do takiej osoby, wywarcia na nią presji i zwerbowania z pozycji siły. Ludzie, którzy popełnili przestępstwo na terytorium Rosji, są szczególnie łatwymi celami, mogą być zmuszeni do popełnienia przestępstwa przeciwko Estonii w zamian za obietnicę ułaskawienia lub zmniejszenia wymiaru kary. ■



Marcin Wolski

Zdziczenie obyczajów

Zastanawiam się nad początkiem. Kiedy nasze życie polityczne stoczyło się w otchłań chamstwa, kiedy zatriumfował w publicznym dyskursie język menela, nawet w PRL-u niewpuszczany na salony? Owszem, za komuny wróg był rytualnie opluwany – epitety na temat warcholów wszelkiej maści, psów łańcuchowych czy karłów reakcji klebiły się na łamach „Trybuna” i „Żołnierzy Wolności”, ale z rzadka schodziły do życia codziennego. Gnojący i gnojeni żyli między sobą, świadomi, że role zawsze mogą się odmienić, a wspólnym barakiem i tak rządzą Sowietci.

Zresztą prywatnie wszyscy od dysydenta po członka KC myśleli z grubsza to samo.

Jednostki, które się zbyt wyochoły, jak Janusz Przymanowski czy Albin Siwak, nie cieszyły się estymą nawet wśród swoich.

były dziełem doradców Tuska, którzy w ten sposób znaleźli pomysł na odreagowanie klęsk i odzyskanie pola. Wszystkie organizacje totalitarne, a Platforma z wolna stawała się taką, odwołują się do odczłowieczenia wroga i odwołania do najniższych uczuć, takich jak poczucie wyższości, nienawiść i pogarda. Tragedia smoleńska stworzyła dla tego eksperymentu rewelacyjną pożywkę.

A że przy okazji poświęcono państwo polskie? Tym gorzej dla państwa. Elita mająca według swych obietnic zaprowadzić Polaków do Europy, wiodła ich w najdalsze rejony Trzeciego Świata. Eskalacja walki kazała deptać najwyższe wartości i pojęcia jak Bóg, ojczyzna, śmierć. Petru, który grozi Trybunałami Stanu polskim patriotom, Niesiołowski, który życzy liderowi opozycji śmierci w kanale ściekowym... Ciekawe, czy specjaliści od przemysłu

DZIELENIE POLAKÓW I ESKALACJA KONFLIKTÓW BYŁY DZIEŁEM DORADCÓW TUSKA, KTÓRZY W TEN SPOSÓB ZNALEŻLI POMYSŁ NA ODREAGOWANIE KLĘSK I ODZYSKANIE POLA. WSZYSTKIE ORGANIZACJE TOTALITARNE, A PLATFORMA Z WOLNA STAWAŁA SIĘ TAKĄ, ODWOŁUJĄ SIĘ DO ODCZŁOWIECZENIA WROGA I ODWOŁANIA DO NAJNIŻSZYCH UCZUĆ, TAKICH JAK POCZUCIE WYŻSZOŚCI, NIENAWIŚĆ I POGARDA.

Paradoksalnie zmianę przyniosła wywalczona wolność słowa. Skorzystał na niej najbardziej „Goebbels stanu wojennego” Urban – pierwszy szkodnik III RP. Otworzył on szeroko łamy swego „Nie” na wulgarność, chamstwo, obrzydliwość. Ideologia „panświnizmu” z czołową tezą „czarni nie są lepsi od czerwonych” trafiła do przekonania wielu tym, którzy nie przeszli przez komunę całkowicie suchą stopą.

Skończyło się szybciej za sprawą afery Rywina. Równocześnie upadek obyczajów wspomagał kłoczny język, który kultura popularna – na przykład filmy „Psy” czy „Dzień świra” – nobilitowała na ekranie. Kolejnym etapem chamienia Polaków stał się projekt polityczny, który można śmiało nazwać „palikotyzmem”. Komunistyczne resentymy zniknęły za sprawą biologii, trzeba było wykreować coś, co miało pozory nowoczesności, postępu. Dzielenie Polaków i eskalacja konfliktów

pogardy wiedzą, że wpuścili się w ulicę jednokierunkową. Nawet jeśli kiedyś wygrają, przeciwnik, chcąc nie chcąc, zacznie korzystać z ich wzorców. Dokąd to doprowadzi? Strach myśleć.

Zresztą – i nie jest to wcale pocieszeniem – barbaryzacja jest procesem ogólnosiwiatowym. Dekonstrukcja osiągnęła wszystkie składniki życia. Bezpieczniki w rodzaju religii, tradycji, rodziny, obyczaju są skutecznie niszczone. Rozmontowano tradycyjny model zdobywania wiedzy. A przecież w świecie wartości żadna poprawność polityczna nie była potrzebna, osobista kultura wskazywała, co się robi, a czego nie.

Prawo, które nie jest oparte na Dekalogu, jest jedynie instrukcją obsługi, którą można dowolnie modyfikować przy pomocy zmiennej większości. Czy ten trend jest do zatrzymania, czy nieuchronnie czeka nas nowe średniowiecze? Pewnie jest. Choć to cholernie trudne. ■



Tomasz Sakiewicz

Siła Polonii

Ogromną zdobyczą amerykańskich wyborów jest przesunięcie oceny Polonii z elektoratu pasywnego na języczek u wagi. Wygląda na to, że Polacy mogą się ustawić w tej roli na wiele lat, o ile sami nie zmarnują tego potencjału.

Kiedy w czasie mojej ostatniej wizyty w USA mieszkający tam Polacy pytali, na kogo głosować, tłumaczyłem, że kogokolwiek by wybrali, niech nie oddają swoich głosów za darmo. Trzeba najpierw jak najwięcej uzyskać od kandydatów i doprowadzić do licytacji pomiędzy nimi na sprawy istotne dla Polaków.

O głosy polskie słabo się do tej pory starano. Polacy, podobnie jak reszta społeczeństwa amerykańskiego, połowicznie brali udział w wyborach. Były to najwyżej 4 mln głosów w nich oddanych. Liczbę Polaków ocenia się w USA na 10–12 mln. Mają wpływ poprzez małżeństwa na kolejnych kilka milionów Amerykanów. Większość spośród głosujących (ocenia się, że 60 proc.) wybierała do tej pory demokratów i stanowiła konserwatywne skrzydło tej partii. Ostatnie wybory zmieniły te proporcje. Według Donalda Trumpa, który dysponuje szczegółowymi wycenieniami, większość Polaków poparła właśnie jego. Oznaczałoby to przesunięcie sympatii prawie pół miliona polskich wyborców z demokratów na republikanów. To około 10 proc. spośród głosujących rodaków. Jeżeli tak było, to rzeczywiście głosy polskie zaważyły.

Tak naprawdę nie jest istotne w wyborach na prezydenta USA, ile ma się głosów w całym kraju, lecz ile jest ich w tzw. stanach wahających – *swing state*. Największe polskie skupiska, czyli w Chicago i Nowym Jorku, nie mogły przegłosować demokratów, bo tam ich przewaga była zbyt duża. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w Wisconsin, Michigan i Pensylwanii. Występowały tu zaledwie kilkuprocentowe różnice głosów i przeciągnięcie jakiejś grupy było drogą do sukcesu. Wprawdzie od 30 lat wygrywali tam demokraci, ale niewielka różnica głosów kusiła, by poszukać jakiejś mniejszości, która może posłuchać republikanów. Z pewnością bardzo kuszącą propozycją byli Polacy. Lekceważenie, jakie wobec Polaków zaprezentował

sztab Hillary Clinton, ułatwiło sprawę. Trump kilkakrotnie spotkał się z przedstawicielami Polonii i obiecywał to, co chcieli usłyszeć: zniesienie wiz dla nas, ochronę militarną Polski i pomoc w zwrocie wraka tupolewa. Czy to mogło mu dać te setki tysięcy głosów? Nie musiało, bo wystarczyło 100 tys. w trzech kluczowych stanach. To jeden procent wszystkich Polaków w USA i około 2–3 proc. tych z naszych rodaków, którzy tam głosują. Tego już naprawdę nie da się wykluczyć. Przy aktywności w polskich środowiskach jest to wręcz pewne. Tak niewielkie liczby w skali całej grupy bardzo trudno wyłapać badaniami, ale obserwatorzy w tych stanach twierdzą, że widać było zmianę nastrojów w polskich środowiskach na rzecz republikanów. Polonia nie jest tam tak skłócona, jak w Chicago i Nowym Jorku. W Pensylwanii wokół obchodów rocznic Smoleńska i Katynia udało się wręcz zjednoczyć środowiska patriotyczne. Były to kluby „Gazety Polskiej”, Rodziny Radia Maryja, miejscowy Kongres Polonii Amerykańskiej oraz organizacje weteranów. Działały one w amerykańskiej Częstochowie, gdzie pewnie duchowa opieka Królowej Polski dała właściwy klimat do porozumienia.

Z niewiadomych przyczyn większość polskich mediów próbuje bagatelizować ten sukces Polaków. Przypominanie o naszej roli w amerykańskich wyborach leży w naszym narodowym interesie. Nawet gdyby ta analiza przeszacowała nasze głosy, to powinniśmy zrobić wszystko, żeby jej nie odrzucano. A wiele wskazuje na to, że głosy polskie rzeczywiście decydowały. Tylko stałym przypominaniem tego politykom w USA możemy coś od nich uzyskać. Trzeba prowadzić licytację o polskie głosy.

Wywiad Trumpa w tej sprawie dla telewizji Polonia może być potężnym atutem, niestety, na razie przemilczanym. Drobne interesiki rozparcelowują polskie interesy. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna
niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna
zależna niezależna niezależna niezależna

